This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Miał przystojną żonę Tadeusz Belina Węgierski pułkownik wojsk i koniuszy hetmana W. K. Branickiego. — Kiedy sobie książę Wojewoda Wileński na nowy rok 1764 podpił, to wjechawszy konno z generałem Mokronowskim do sali widzów na operę, przysiadł się do pani Węgierskiéj i téj cudowne rzeczy a bardzo tłuste gadał. Pan pułkownik, gdy Austryacy zabrali go pod rygor swój, legitymować się musiał w Grodzie Halickim z szlachectwa swojego, a z nim legitymowali się: Mikołaj, Antoni, Marcin, Piotr i Onufry. — Inna gałąź, także Belina przydomku, Władysław Karol, wnuk Mikołaja, legitymował się w r. 1782 w Wydziale Stanów. Téj podlaskiéj szlachty znaczenie za ostatniego króla było wcale niepokaźne. — Może najwięcéj się wybija na wierzch, X. Antoni, Koadjutor Biskupa poznańskiego, a od r. 1769 kanonik.

Inny duchowny, Barnaba Węgierski, drukował r. 1772 we Lwowie kazania. — Był także proboszcz buczacki Tomasz Węgierski, drukujący r. 1778 i 1784 „Ody“ na cześć Seweryna Rzewuskiego, Mikołaja Potockiego i Maryi Borzęckiej i inne, dziś już nie znane. — Miała więc rodzina Węgierskich w swym

University of
Michigan
Libraries

Węgierski. Tomasz Kajetan.

PISMA

WIERSZEM I PROZĄ

KAJETANA WĘGIERSKIEGO.

WE LWOWIE

KSIĘGARNIA F. H. RICHTERA

(H. ALTENBERG)

188

B A B E C K I
Ś-to Krzyska 44.

Slav 7092.2.

691.560
W412
1892

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

01-343617

SPIS RZECZY.

	Str.
T. K. Węgierski, przez *Estreichera*	I
Dodatek do biografii	LIII
Hillas i Celeryna	3
Do A. Naruszewicza	5
Do St. Trembeckiego	8
Do Tegoż	9
Do Ogińskiego	11
Do Aleksandry Potockiej	12
Do Jędrzeja Zamojskiego	16
Do Wojny	17
Do Bielińskiego	19
Do Ignacego Potockiego	21
Do Księcia K. Poniatowskiego	22
Na wjazd senatora	23
Do księdza Węgierskiego	26
Do Łubieńskiego (z wieży)	30
Do Nakwaskiego	31
Do Józefa	33
Do Monitora	35
Pszczoła i pająk	41
Kraska i sroka	41
Mysz młoda i kot stary	42
Młody ptaszek i kraska	43
Gwoździk	44
Wróble i kościół	45
Sztuka i natura	45
Dwa strumyki	46
Lasek	47
Dwa wróble	50
Kozłowie	50
Róża i lilia	54
Moja ekskuza	57
Do człeka łączącego smak z umiejętnością	60
O równości losu ludzkiego	64
O potwarzy	69
Do wierszopisów	73
Ostatni wtorek	75
Kolaska	78
Żona	79
Jaka ma być żona moja	81
Żądania moje	82
Do pana porucznika	84
Na anniwersarz wesela Elżbiety	85
Portrety pięciu Elżbiet	86
Mój świat	88
Obywatel prawy	89
Złe czasy, nie ja	92
Melancholia	93
Próżny usiłek	94

	Str.
Podział czułego z młodym	95
Fanatyzm	97
Próżność świata	98
Filozof	100
Poprawa Warszawy	102
Przypadek w piwnicy	103
Mądrość	104
Nice	106
Co kto lubi	108
Do Rozyny	108
Myśl o poezyi	109
Na śmierć margrabiny du Chatelet	110
W Karlsbadzie, napis	110
Rozwaga	110
Do	111
Napis na domku	111
Inny	111
Nagrobek Bielawskiemu	111
Snycerz	112
Potok	112
Do autora, wierszy moich broniącego	113
Do Bonafini (Bielawskiego)	114
Do Tejże	114
Do Węgierskiego (Bielawskiego)	115
Odpowiedź Bielawskiemu	115
Do męża zalotnicy	115
Pszczoły	116
Na bal księcia Lubomirskiego	118
Bielany	121
Sąd czterech ministrów	125
Rozum bez przesądów	127
List z Warszawy	130
Do przyjaciela na wieś	132
Wyrok wieży	134
Do popiołów księdza Węgierskiego	135
Trzej tylko szczęśliwi	135
Zdarzenie opuszczone	136
Oszczędność chwalebna	137
Wyznanie	137
Przeciwko cudzołóztwu	137
Zagadki	137
Organy	139
Pigmalion	175
Mowa do króla	194
Porównania Karola V z Franciszkiem I	197

TOMASZ KAJETAN WĘGIERSKI.
(1755—1787).

PRZEZ

ESTREICHERA.

DIGITIZED BY
University of Michigan Libraries
1817
HORTUS SCIENTIA VERI

Węgierski. Tomasz Kajetan.

PISMA

WIERSZEM I PROZĄ

KAJETANA WĘGIERSKIEGO.

WE LWOWIE
KSIĘGARNIA F. H. RICHTERA
(H. ALTENBERG)
188[illegible]

JOHN TADEUSZ
[illegible]
e miasto ul. Serafitek, No. 9
Kupno, sprzedaż i zamiana
ZNAKÓW POCZTOWYCH
DO ZBIORÓW
KSIĘGARNIA
BABECKI
Warszawa, ul. Ś-to Krzyska 44.
Świętokrzyska 36 tel. 127-[illegible]
PRAWDZIWA ENGLERA
Księgarnia i Antykwarnia

Inny był to wiek, inne obyczaje. To, co owemi czasy wygłaszano z rubasznym śmiechem, to dzisiaj wygłaszają z zasłonięciem gazą domyślności i z farbowanym rumieńcem wstydu na twarzy. Co jest większem zgorszeniem, czy otwartość i zasłona, to jeszcze rzecz wątpliwa.

Powiadają, że *Węgierski* nauczył się rozwiozłości wiersza od *Woltera* i w ogóle od Francuzów. Jest-to prawdą tylko względną. Istotnie w „Organach“ oświadcza, iż niektóre moralizacye bierze z szacownego dzieła „La Pucelle d'Orleans“, to oświadczenie jednak otwarte nikogo wówczas nie gorszyło, bo swawola pióra już przed Węgierskim była w naszym kraju pospolitą i nawet modną.

Pisarz dzisiejszy, zarumieniłby się stokrotnie pierwej, niżby się wyznać ośmielił, że czytał ów poemat *Woltera*, gdy owocześni wierszopisowie Stanisławowscy, nawet poważny *Minasowicz*, w odach do pań wielkiego świata owoczesnego, używają porównań, powołując się z wszelką swobodą na „*Pucelle*“ Woltera, oddając to wyrazem wcale dobitnym.[1])

Były to czasy, kiedy piękne panie a wielkie damy, nie zasłaniały swoich piersi przed pierwszy raz widzianym gościem; kiedy po kolei były królowemi na dni kilka; kiedy z obnażonemi nogami przychodziły na bale, świecąc pierścieniami uczepionymi u palcy do nóg. Były to czasy rozwiozłości niczem nie osłanianej, życia utracyuszowskiego, hulaszczego, karnawałowego, którego wskazówki łatwo dopatrzeć można w *Bernouillim*, *Karpińskim*, *Ochockim* i innych współczesnych pamiętnikarzach. Były-to chwile wyuzda-

[1]) *Minasowicz*. Wiersz do Lucyndy. Penitentka.

nej swawoli, które domagały się chłosty i to potężnej.[1])

Nie pierwszy zresztą *Węgierski* szczepił swawolny rym w poezyi polskiej. *Rej* w figlikach, *Kochanowski* we fraszkach, *Potocki* w Jowialitates, wreszcie *Wesp. Kochowski* o wiele szpetniejsze puszczali pisma, niżeli to co *Węgierski* drukował.

A jakże wyglądają owe najrozwioźlejsze biesiadne gadki, któremi się roskoszowali przez kilka wieków naddziadowie; owe dzisiaj nieznane nawet bibliografom „Facecye polskie, albo żartowne a trefne powieści biesiadne", których dwie edycye z XVI. wieku bez daty miałem w ręku, a które pojawiają się jeszcze r. 1650, 1661, i które się później ukazywały jako „Żarty, albo krotofilne facecye". (Toruń 1695.)

Nie sięgając tak daleko, współcześni *Węgierskiemu* pisarze, nie przebierali w osnowie poezyi. Darować można *Trembeckiemu*, że pisał o wróblu z czarną łatką, ale jakże darować według dzisiejszych wyobrażeń tytularnemu kanonikowi kijowskiemu, napisanie przypowiastki o dziewczynie u spowiedzi, tak swobodnej, że chętnieby ją *Węgierski* pomieścił obok swoich swawolnych dowcipów („Żona sen", „Przypadek w piwnicy", „Dwa wróble", „Podział czułego z młodym", „Nice", „Zagadki", „Zdarzenie opuszczone", „Oszczędność chwalebna", „Przeciwko cudzołóztwu".)

Była to zresztą moda za przykładem edukacyi

---

[1]) Satyry tylko w czasach zgorszenia i zepsucia moralnego się rodzą, jak mamy przykład na Juwenalisie; wiek Stanisława Augusta musiał wydać satyry *Węgierskiego* i pamiętniki *Kitowicza*.

(Wiszniewski. Hist. lit. I, 36.)

francuzkiej, że najpoważniejsi silili się na tego rodzaju humor, nie tając się z tem.

Jak Wolter jawnie puścił w obieg Dziewicę Orleańską, a illustrowana figurowała w buduarach; jak Piron lub Lafonten dowcipkowali nie osłaniając nagości, tak i najpoważniejsi pisarze Stanisławowscy, nawet duchowni, pozwalali sobie wybryków zbyt rozkiełzanego humoru.

Występek był jawny, powszechny, zaraźliwy. Dla tego nie raził tak, jakby dziś raził, ani tak gorszył, jakby dziś był zgorszeniem. Jeżeli ksiądz biskup smoleński mąż wielce poważny, wielkiej pracy i zasługi, pozwalał sobie na takie wybryki humoru, nic dziwnego że młodzi zapatrywali się na niego i chcieli mu dorównać.

Na chwałę jednakowoż względnej skomności pióra polskiego, to powiedzieć można, że gdy Włosi lub Francuzi wywlekli pod prasę drukarską cały hufiec literatury rozpasanej, u nas rym nieobyczajny wędrował tylko w rękopiśmie, nie przekazany ku publicznemu zgorszeniu. [1])

---

[1]) Że nie bez podstawy zmniejszam winę Węgierskiego, zwracam uwagę tylko na niektóre wybryki pióra owoczesnych pisarzy. Zatracone, więc nieznane. Węgierski był w dobrej szkole. Oto są piszący za Stan. Augusta:

Trembecki St. Łożnica, śpiew Dorantowi i Klemenie. — Oda Pirona. Wróbel. Przypadek siostry starszej. Do Hier. Radziwiłła. Kąpiel. Kur i kokosz. Powązki. Cztéry żywioły. Już nie możesz. Na Elżbietę.

Naruszewicz. Czyściec. Uleczenie. Słowik. Do żeniącego się młodzieńca. Pierścionek. Głuszec włoski. Do Rocha Kossowskiego. Przypadki starości. Do Ign. Zapolskiego. Łożnica Izraela. Pielgrzym. Świętość reguły.

Jeżeli więc przeniesiemy się wśród owoczesne pojęcia, wśród owoczesne wybryki zbyt dobrego humoru, nie będziemy ciskać kamieniem na jednego tylko wierszopisa. Ciśniemy na cały ich poczet.

Węgierski nie stworzył gorszącego słowa, nie był jego przodownikiem; on szedł z drugimi i za drugimi. To go nie usprawiedliwia, lecz wyjaśnia że nie był jedynym, i że zastał grunt przygotowany już przez starszych, poważniejszych dygnitarzy. Słuchano ówczas chóru pieśniarzy bez rumieńca. Jaki był upadek polityczny, taki też był moralny upadek. — Król dawał przykład, poddani szli za nim.

Węgierski pisał rozwiozły wiersz, nie czując nawet, że on jest taki, a przynajmniej dziś za taki uchodzi. I tak napisał w dobrej wierze wiersz do Elżbiety. Z tego powodu do liczby utworów rozwiozłych nie zaliczam wiersza ślicznego *Na aniwersarz wesela Elżbiety*. Napisany on na cześć Elżbiety Potockiej, o której zapewne w bajce jednej powie-

---

Niemcewicz. Spotkanie południowe (z Owidyusza).

Molski. Cytryniarka. Hasło. Śmieszka. Sąd przeora. Trafność spowiednika.

Ancuta Jan. Skarga Kupidyna. Podróż Kupidyna. Do snu. Wróble.

Ksiądz Bohomolec. Wab powszechny.

Czyż Jan. Szczęście. Życie dworskie. Pokusa. Zdarzenie Młodziejowskiego.

Chrzanowski. Przedwieczorze.

Korytyński Onufry. Pomiarkowanie. Cerograf.

Rogaliński. Rywale. Upodobanie.

Rzewuski Seweryn. Rada dla mężów. O tęgości wieku.

Woyna Stan. Kołek. Na przysłowie swej żony „Mon mari".

dział, że kiedy sztuka przechwalała się o swej wyższości nad naturą, że:

Odżywiam płeć skażoną,
Ukrywam marszczki oblicza,
Jam dyktowała wiersz Naruszewicza!
Na odpowiedź: natura *Elżbietę* stworzyła,
Sztuka się ze wstydu skryła.

Wiersza *na aniwersarz* nie poważyłby się dzisiaj żaden poeta ofiarować kobiecie, takie tam malowidło jaskrawe, a jednak widocznie był on ofiarowany na seryo Potockim, jako nowo pobranemu małżeństwu, ofiarowany nie jako paszkwil, ale jako szczerego przyjaciela życzenie, wyrażone w końcu:

Budujcie piękne ciałko, duszę dadzą nieba,
Waszego nam plemienia gwałtownie potrzeba;
Póki się nasza kiedyś nie zagoi rana,
Potomność nie zapomni o tej smutnej dacie:
Wtedy była dopiero ojczyzna przedana,
Gdy żadnego z Potockich nie było w senacie.

Cały wiersz arcy misternie zbudowany, treść tak słabo przysłonięta, że dzisiaj odczytana podobna poezya w obec niewiasty, byłaby dla niej obelgą. Wówczas zaś, była tylko wytwornym komplimentem. Tak to zmieniają się wyobrażenia!

Nie do nas należy oceniać *Węgierskiego* z wierszy, które doszły do nas pod jego firmą, a których nie drukował. Jeżeli pisał „Katarynejdę“, to nie winić go o to, że bohaterkę w prawdziwem, choć obrzydliwem świetle malował; jeżeli pisał „Pięć Elżbiet“ (Branicka, Czartoryska, Lubomirska, Potocka, Sapieżyna), to pytanie jeszcze, o ile chłosta była zasłu-

żoną. Wiersz ten nie był dotąd drukowany.[1]) Głoszono, że to jakiś potworny wybryk rozwiozłości, a to tymczasem ostra charakterystyka osób. Przytaczamy go w tekście. Kiedy był pisany, trudno dociec. — Elżbiety królujące w Warszawie głośnemi były od wielu lat. Wiemy o nich już w r. 1773. W tym bowiem roku Hetman polny kor. wyprawił fajerwerk i bal dnia 18. listopada na cześć JJ. OO. i JJ. WW. Elżbiet. Wyszedł z tej okoliczności wiersz wydrukowany w wierszowanym Tygodniku, wydawanym p. t. Muza ukryta pod znakiem Serokomli, a tym Serokomlą, że był Kajetan Kościałkowski, domyślam się tylko.

Jednakże satyra czy paszkwil, jak kto chce uważać, powstała później, może równocześnie z głośnym wierszem: Portret Trybunału 1780 zaczętego a 1781 kończącego się; być może obadwa z jednej wyszły kuźni. Podejrzywano Węgierskiego, iż paszkwilował kobiety, ztąd to daje mu Trembecki lekką naukę, gdy wyjeżdżał z Potockim, starostą Urzędowskim.

W ucinku o pięciu Elżbietach, jedna, to jest Potocka wcale nie dotknięta, inaczej być nie mogło, bo tej rodziny był szczerym wielbicielem (wiersz do *Alexandry z Lubomirskich Potockiej.* Do *Ign. Potockiego* po stracie syna.) Pomnijmy, że Kaj. Potocki zabrał go ze sobą do Paryża, czego nie uczyniłby, gdyby poeta zawinił co przeciw rodzinie jego.

Jest równie w obiegu rękopism komedyi jemu lub Naruszewiczowi przypisanej, ale są inne podobne, ze znacznie późniejszej daty; pytanie kto ich rzeczywi-

---

[1]) Zatem nie prawda iż był palony przez kata na rynku warszawskim.

stym autorem? Co nie drukowane i czego autorstwo nie udowodnione, o to winić go nie możemy.

Nie rozwiozłość, ale uszczypliwość wiersza stwarzała mu nieprzyjaciół. W epoce, kiedy jeszcze pamiętano, że ślepy *Bieżanowski* wydrukował półtorasta panegiryków i otrzymał chlubny tytuł Ojca pisarzy; w epoce, w której krocie drobnej szlachty czapkowało przed kolasą opasłego wojewody; zuchwałością, co więcej, zbrodnią wydawało się, że jakiś tam pisarczyk, kancelista, gołowąs, waży się biczować pochlebców, naśmiewa się z choroby panegiryzmu:

I żaden mi dotychczas nie zarzuci jeszcze,
Abym miał pochlebstwami podlić dary wieszcze;
Biskupi, kanonicy, świeccy i pisarze
Czyńcie jak ja, bazgrajcie, drukujcie co chcecie,
Ale wszystko bez braku nie chwalcie tak przecie.
(Do wierszopisów.)

Nierównie srożej obruszał umysły, gdy ważył się pisać satyry, jak np. „Na wjazd senatora“ (r. 1778), bo to nie były satyry w guście *Naruszewicza* lub *Krasickiego*, którzy bohaterów ustrajali w Arystów i Damonów, ale były satyry wskazujące niejako imiennie osoby godne pośmiewiska, wytykające bydlęce życie magnatów, ich głupotę i pychę, wtrącające kraj do przepaści.

Ta otwartość, to rys charakterystyczny odwagi *Węgierskiego*, na jaką żaden ze współczesnych nie zdobył się; to cecha niepospolitości charakteru męża, który nie byłby zmarniał, gdyby był urodził się w innej epoce.

Nie była to bynajmniej nikczemna złość lub zawiść, bo widno z ducha poezyi jego, że nie zazdrościł

nikomu. Owszem, kto godzien był uwielbienia, tego on wielbił. W trzech epokach pisarstwa swego, okazuje zawsze cześć wysoką talentowi Trembeckiego. Nie mniej czci on Ign. Potockiego.

Węgierski już nikomu prawdy mówić nie chce,
Już tylko na pochwały usta swe otwiera,

mówi doń i użala się boleśnie, że go prześladują za prawdomówność.

Z jakiemiż szczeremi słowy, a bez słówka pochlebstwa przemawia około r. 1778. do *Jędrzeja Zamojskiego*, z okazyi ułożenia Zbioru Praw:

Komu naród układu praw swoich powierza,
Kto szacunek publiczny zasługą wymierza,
Kto umie złożyć urząd tak, jak go sprawować,
Temu może Węgierski imienin winszować.
Nikogo chwalić szczéry język mój nie umie;
To sobie za największą poczytuję sławę,
Kiedy mi przyznać raczą umysły łaskawe,
Że gdy gniew nieprzyjaciół jad swój we mnie sączył,
Pochwałąm Zamojskiego, pisać wiersze skończył.

Złośliwa a straszna muza Węgierskiego walczyła bronią prawdy, bronią wewnętrznego przekonania, bronią żądzy poprawienia gnijącej społeczności. Nie gardłował według powiewu chorągiewki, nie był świętoszkiem o wilczej pokorze, słodkiem słowie w oczy, a wilczemi zęby za oczami, ale był mężem zasad; — te zasady godne są uczczenia. Współcześni mogli go mianować paszkwilantem, dzisiejsza społeczność winna go nazwać kaznodzieją prawdy.

Nienawidzono go, ale się lękano. Czemu? powiada on:

Ten jednak takiej doznać mógł najlepiej proby,
Kto miał nieszczęście możne rozgniewać osoby.
Słabe z niemi umysły i czeladka podła
Będzie mu dopiekała i będzie go bodła.
I ten motłoch, co ledwie godzien jest spojrzenia,
Będzie się z zacniejszego urągał stworzenia.

Zabawny czynią mu zarzut, iż prześladował Bielawskiego fligel-adjutanta Buławy Wiel. lit., poufnika X^cia^ Adama Czartoryskiego i króla. — Ależ ten dworak był celem rymowanych żartów jeszcze sroższych ze strony Trembeckiego, Mich. Wyszkowskiego, Stan. Potockiego, Jul. Niemcewicza i innych.

Węgierski raz tylko dotyka go:

Od Baltyckiego morza ku śnieżystym Tatrom
Wiedzą, że pan Bielawski otworzył teatrum,
I słuszenie się tym chełpi zaszczytem niezmiernym,
Że był pono na ten czas, jak mówią, odźwiernym.

Ostatni wiersz, odmawiający mu autorstwa, byłby dotkliwym i dla X^cia^ Czartoryskiego, gdyby można dociec, jaki tenże mógł mieć udział w daniu na scenę *Natrętów*. Książę bowiem był duszą i twórcą teatru polskiego, bodaj ażali nie on wysunął swego totumfackiego Bielawskiego, aby w przerobieniu Moliera „Les facheux“ zaprodukować dowcip nieco za gruby i za tłusty. — Przynajmniej Sowiński Wojc. wymienia w swojej po francuzku napisanej historyi teatru, sztukę „Natręci“ jako pióra Czartoryskiego. Mogła tu być w grze próżność autorska magnata, który zawięzywał stałą scenę polską w kraju. Gdy jednak próba nie powiodła się, sztukę wyśmiano, wyśmianym też został jej firmowy, a autor istotny przycichł. Gdyby to (może dalekie od prawdy) przypuszczenie

okazało się kiedy istotnem, ówczas zaczepka *Natrętów* przez Węgierskiego dotykałaby pośrednio wszechwładnego potentata.[1]) —

Szydzenie z Bielawskiego było modą. Głośnym był swojego czasu rym łaciński Bened. Hulewicza: Ode ad J. Niemcewicz de meritis Bielavii incorrecta per authorem: correcta et variantibus notis illustrata per Bielavium, 1789. Do tego żartu przyłożyli rękę Stan. Potocki, Jul. Niemcewicz i Onufry Kopczyński.

Również okrutnie z *Bielawskim* obchodził się *Trembecki*, bo wydawał pod jego firmą wiersze ironiczne, a nikt tego nie brał mu za złe. Pomiędzy tymi wierszami są dwa przeciw paszkwilantom, snadź tak pisane na urząd, jak pisał *Albertrandy* broszurę: „Uwagi nad wolnością drukowania i przedaży ksiąg publicznych“ (folio, kart 2.[2]) Mylnie one stosował L. Siemieński do *Węgierskiego*, bo pisał je *Trembecki*

---

[1]) Chodźko „La Pologne“, str. 298. Że jednakże i sam Bielawski mógł być autorem tej lichej komedyi, nie ulega wątpliwości, bo rzemiosłu literackiemu oddawał się, fabrykując wiersze, jak: Bukiet na imieniny Grabowskiej. — Dzień 3. maja 1792. Dzień 17. stycznia 1792. Na dzień 6. grudnia 1791. Hymn do Barb. Sanguszkowej. Pienie na zdrowie L. Chodkiewiczowej. Pienie na zaślubiny Tadeusza Czackiego 1792. Na powrót Czartoryskiego 1791. Na powrót Czartoryskiej 1791. Portret Czartoryskiego 1796. Spustoszenie Polski od Moskali 1791. (Rzeź humańska). Wiersz Lud. Zyberkowej. Wiersz do Trembeckiego. Wiersz na imieniny J. Kr. Mości. Na śmierć Gustawa III. Zachwycenie oczom. Okrucieństwo paryskie. Zbiór wierszy. Komedya Dziwak. Très benignes remonstrances, 1787 i. t. d.

[2]) Zapewne w r. 1776—7, bo do tego zdaje się odnosić wiersz w Organach:

Co gdybym był Biskupem lub Officyłem.

w r. 1791, zatem po śmierci poety. Są inne wiersze *Trembeckiego* przeciw *Węgierskiemu*, ale te pisał jako *Bielawski*, nie zaś jako *Trembecki*, już dla tego samego nie można ich rozumieć literalnie i na seryo. Wiedział, że bronił sprawy niesłusznej, skoro położył podpis nie swój, ale osławionego i oszydzonego bazgrały.

Są w zbiorze *Trembeckiego* różne poezye, odnoszące się do *Węgierskiego*. Z tych trzy piorunujące, lecz nakryte błazeńską czapeczką *Bielawskiego*. Jakoż więcej tam ironii przeciw Bielawskiemu, niż chłosty dla poety, i sądzę z ich tonu, że *Węgierski* przed puszczeniem wierszy przez *Trembeckiego* w obieg, sam mógł dawać im aprobatę. Jedne tylko zakończenie jest nieco przyostre; które jednak ściągać się może do obrażonego jako przestroga, okazując, jak samowolnie wymierzano sobie sprawiedliwość. Przestrzega on go, że niebezpiecznie jest zaczepiać możnych.

Gdyś na Doświadczyńskiego nie skąpił potwarzy,
Ledwo, żeś cudzej ręki na twej nie czuł twarzy,
Literat cię poskromi piórem, ale możni
Będą w obraniu kary może trochę różni.

Wiersz ten widocznie odnosi się do Czartoryskiego, który pisywał pod pseudonymom Doświadczyńskiego. Kiedy i jaką satyrę puścił Węgierski przeciw księciu, nie umiem wskazać. Czyżby wiersz *Na wjazd Senatora* wziął był książę do siebie, a w skutek tego, poeta broniąc się wytłumaczył, że to odnosi się do Szydłowskiego, a nie do księcia.

Źródła pamiętnikowe, a jest ich dosyć, jak np. Żywot Czartoryskiego, Autobiografie Niemcewicza,

B. Michałowskiego, Kitowicza, Ochockiego, Karpińskiego, lubo zajmują się anegdotyczną kroniką stolicy, nie zajmują się wcale Węgierskim. Jeden Michałowski (T. IV, str. 6, wyd. 1857) nawiasowo wspomina, że Węgierski ciągle wierszami prześladował Bielawskiego. Że zaś Węgierski puścił w obieg tłumaczenie listu Woltera, zataiwszy autora, a wiersz jako prześliczny podobał się, Bielawski odkrył autora i tłumacza epigramem znanym:

Byłbym cię nie znał, ale pióro cię wydało,
Co z kiepska po węgiersku Woltera przebrało,
Żałuję jego losu, że w tak śmiesznym stroju,
Pójdzie na papiloty ciemnego pokoju.

Tym epigramem tak zachwycił króla, że go aż do obiadów czwartkowych przypuścił. Tak twierdzi Michałowski, lecz wiersz ten figuruje jako utwór Trembeckiego. Kto więc ma racyą?

Przytaczanem bywa za dowód, że Trembecki chłostał Węgierskiego wierszem, ogłoszonym pod firmą Bielawskiego:

Teraz czarni ojcowie dla wsparcia swej sławy
Chcieliby cię z Marselli przewieźć do Warszawy.

Nikt atoli nie zastanowił się nad znaczeniem całej ironii tkwiącej w poezyi Trembeckiego, szydzącej wyłącznie z Bielawskiego. — Nie mógł się ówczas natrząsać z Węgierskiego, bo ten już dawno nie żył, nie był więc szkodliwym. Jezuici nie mogli kwapić się o ciało jego, dla tego, że Węgierski z nich szydził wielokrotnie. Poezya ta ma znaczenie czysto polityczne, owocześnie zrozumialne. Napisaną została przeciw bezimiennej broszurze p. t. Władysław

Laskonogi, rok 1206 dziejów narodu pols. Ułomek historyczny. Warszawa, druk Dufoura, 1790 w 8ce, str. 53.

W broszurze tej przedstawiono dyalog Węgierskiego z królem Władysławem. Wyrażono tam: „Uczony Węgierski, którego król (Władysław) umiejący szanować talenta i geniusz, swoją zaszczycić raczył poufałością i król, będą dawać wyroki święte i nieodwołalne. Wpół tysiąca lat po śmierci Władysława żył sławny Węgierski, którym Helikon polski szczycił się.“

W broszurze tej przedstawiono zepsucie duchowieństwa, a Węgierski często przemawia rymami. Czyżby to były jakie ułamki z jego satyry jakiej nie drukowanej?

Jak więc ta broszura miała czysto polityczne znaczenie, tak też i do tego odnosiła się odpowiedź Trembeckiego. Z broszury tej jednakże czerpiemy świadomość, że wielkie przywiązywano znaczenie do Węgierskiego jako poety. Były widać do tego powody, czy w jego patryotycznej muzie, której zaledwie zapewne część się dochowała, czy w jego niepodległym charakterze nie znoszącym pochlebstwa.

Że Trembecki żył ściśle z Węgierskim i zapewne podzielał z nim hulaszcze wybryki, mamy wskazówki w jego poezyach kilkakrotnie zwróconych do niego, a które dołączam w końcu biografii.

Tej życzliwość dowodem jest wiersz Trembeckiego pisany w r. 1782 do X. Bisk. Krasickiego, w którym chwali Węgierskiego, że nie pochlebiał dla jakichkolwiek widoków:

Ja — com gorzej wiersz pisał niżeli Bielawski,
Czuję odmianę pióra mego oczywistą.
Śmiem się siągnąć do ciebie z słodkim Organistą,
Który przejęty mnogich twoich pochwał lękiem,
Choć nie myślał Warmińskim zostać kanonikiem,
Przecież dzieląc słuszności swoje dłuto-łupem
Czcił z rozumu biskupa i rozum z biskupem.

Lecz zdaje się, że nie w owym 1782 r. Węgierski ofiarował Krasickiemu *Organy* swoje. Choć Organistę wspomina Trembecki w r. 1782, jednakże *Organy* znał już Krasicki od chwili ich tworzenia, bo w dedykacyi mówi poeta, że za bytności Biskupa w Warszawie (zatem w r. 1775), już mu je odczytywał w ułomkach, co było zachętą do wykończenia dzieła. Sława poezyi tej widać rozeszła się, skoro, acz nie drukował jej, zjednała mu rozgłos, a odpisy w licznych krążyły egzemplarzach. Że przez lat wiele w druku nie skazała się, przyczyną tego były zapewne alluzye do Króla, Albertrandego, Łuskiny i innych.

Do Łuskiny odnosi się w pieśni VI, wiersz 794—815. (Cały poemat ma 828. wierszy numerowanych w rękopiśmie autora.)

Opisuje tam uszczypliwie osnowę gazet wydawanych przez X. Łuskinę.

Że Łuskina nie był dłużnym zaczepki, zdaje się wypływać z tego, co Węgierski pisze do Ogińskiego:

Nie wiem prawdziwie mospanie Hetmanie,
Co się na tamtym świecie ze mną stanie,
Ksiądz Łuskina powiada i wierzyć mu trzeba
Że ja pójdę do piekła, on prosto do nieba.

Podobnie w wierszu do X. Ant. Węgierskiego:

Pełny śmiesznych konceptów, pocieszny Łuskina,
Fanatyzmu nam jeszcze czasy przypomina
Za to, że Jezuitów wyrokiem obala,
Zły na Ganganellego, szkaluje Pombala
I będąc w ostrzeżeniu każdej wady pilnym
Powiada, że choć papież, Klemens był omylnym.

Kiedy ten wiersz pisany, możnaby dojść; wspomina zjawienie Truskolawskiej,[1]) gabinetu lektury Lexa,[2]) zaś Pombalem zajmuje się najwięcej Łuskina od r. 1778—1780.

Był to może poczciwy ksiądz, takim go bowiem maluje Adam Naruszewicz w Odzie II, chwaląc jego naukę i wymowę, lecz był niedołężnym redaktorem. Tchórzem podszyty, łasił się przemocy, bił pokłony przed władzą. To ściągnęło na niego gromy wierszopisów. Dobrze go opisał Julian Bartoszewicz, lecz srożej się z nim obchodzili współcześni.

Inny wiersz równej obszerności i równej osnowy, lecz dobitniejszy w wyrażeniach, także bezimienny, przypomina wielce zakrój wierszy Węgierskiego. Jest w nim toż samo wytknięcie bajania o Pombalu, które znajdujem w wierszu do X. Węgierskiego, jest też w uderzający sposób streszczenie osnowy gazet Łuskiny takie, jakie przeprawadza w Pieśni VI. Organów.[3])

To samo, że Węgierski lubo za życia drukował tylko tłumaczenia, a jednak słynął jako poeta nie-

---

[1]) Grywała od r. 1775—9 i od 1783 r.

[2]) Entrepreneur du Cabinet litteraire. — Avril 1782.

[3]) Celem porównania, przytoczony w końcu rozprawy.

zwyczajny, nasuwać może domysł, iż puszczał w obieg jakieś poezye, które kraj elekryzowały, zjadliwe może, dogryzające, piętnujące zdradę, ale nie zawsze były paszkwilami, bo ten rodzaj pisma nigdy sławy i czci w narodzie nie zjedna.

A jednak, czego współcześni nie zarzucili mu, to późniejsi biografowie nie wachali się wymyślić.

Jakże go ujemnie maluje J. Ig. Kraszewski w życiu Ign. Krasickiego! (str. 144. 250. 366.) Widzi w nim tylko trzpiota (w Reducie), drwiącego egoistę, siebie wszędzie stawiającego na pierwszym planie... „Bawi się poezyą, ale jej nie bierze na seryo; kładnie ją jak żabot i fryzury, aby mu się na ulicy dziwowano; jest ona dla niego rozrywką, popisem, narzędziem pomsty.“

Gorzej się z poetą obchodzi Luc. Siemieński, a za nim idzie Walery Przyborowski. Ci orzekają, iż pisał nie satyry, lecz paszkwile. Siemieński mniema, iż chciał tą drogą sławę pozyskać. Osobliwa to byłaby droga.

Były wprawdzie już wówczas paszkwile w całej pełni. Pisał Naruszewicz z tej okazyi „Odę do Potwarców“:

Niechaj swe gryzie potwarz i szarpie pochodnie:
Wszak to jej żywioł, z cnoty nawet czyni zbrodnię.
Nie są wolne od jej strzał monarchów stolice,
Bije bez braku w domy ludzkie i świątnice.

Doszło do tego, że bankier Piotr Tepper ogłosił (w marcu 1778), iż złożono u niego olbrzymią sumę, bo tysiąc dukatów w nagrodę temu, ktoby mógł wskazać autora lub tego, co rozrzucał kartki na

Reducie ostatniego wtorku zapust.[1]) Jednakowoż nie ma u współczesnych śladu, by istotnie Węgierski paszkwile obmyślał.

J. Niemcewicz[2]) powiada tylko, że „w Satyrach naśladując Woltera i Boala (dotąd bowiem kształcono na łacińskich), przesadzał z obrazą nieraz religii, obyczajów i sławy bliźniego". — Bart. Michałowski wyraża się, iż był to „pisarz dowcipny, ale pełen żółci", — zaś Zabłockiego objaśnienie satyry „Na odjazd literata" cechuje go jako geniusz rymotwórczy, który gdy ustał chłostać satyrą, duch literatury ostygać począł.

Michałowski mógłby coś wiedzieć o tem, bo ciekawie wglądał w sprawy literackie, a oburzając się w kilku miejscach na paszkwile, fabrykantem tychże mianuje tylko Zabłockiego. — Sam Węgierski pisze wiersz przeciw potwarcom:

Próżniactwa i zazdrości płód niezagubiony,
Potwarz rozciąga swoję moc na wszystkie strony.
Skrzydlata ta poczwara w każdej płci przesiada,
Zawsze mile słuchana. —

Jeżeli paszkwilów nie pisał, a nawet ohydę ich malował, nie skąpił szyderstwa osobom, które bądź kraj wtrącali do przepaści, bądź u dworu dawali przykład zepsucia. Chłosta dotykała osób, a choć zasłużona, budziła przeciw niemu nienawiść.

Na groźby i zżymania się obrażonych odpowiedział on bardzo pięknym, wiernie szlachetność usposobień swoich malującym wierszem: „Ekskuza moja".

---

[1]) Gaz. War. N. 26. r. 1778.
[2]) Pamiętniki 1848. str. 12. 90.

Rękopis wiersza tego jest zachowany w rodzinie *Węgierskich*. Nie różni się on od tekstu drukowanego. Powiada w nim poeta:

Nie mam w ustach czułości, nie bzdurzę o cnocie,
Nikt mnie jednak przy podłej nie zastał robocie,
Dla zysku nic nie czynię, prawdę mówić lubię,
Nieprzyjaciół skrytemi podstępy nie gubię,
A lubo na mnie czarna zawiść się oburza,
Nie zrobię karła wielkim, ani Marsem tchórza.

Z tego, co wypowiedziałem o *Węgierskim*, jako o poecie, wynika, że bezwarunkowo nie zgadzam się z poprzednikami, którzy o nim według z góry powziętego uprzedzenia pisali. Był to poeta nie tyle misterny formą co *Krasicki* lub *Trembecki*, ale wyższy nad nich co do otwartości uczucia, co do miłości kraju, co do pogardy wszystkiem, co upadla i poniża godność narodową. Wiersz jego hartowny, ostrem tnie żelazem; wysłowienia często są przysłowiowe. Zaleca go również wytworna proza; styl to cięty, energiczny, otwarty. Takim był bez wątpienia i charakter jego. Nie zdjął on czapki przed senatorem, dla tego, że jest senatorem, ani wybijał pokłony miłośnicom dworskim.

Dosyć jest przeczytać przedmowę, którą napisał do *Ignacego Krasickiego*, dedykując mu d. 22. stycznia 1777 roku, tj. w 22. roku życia swój poemat: „Organy“. Z jaką godnością przemawia, ani słówkiem nie uniżając się przed potentatem pióra i dygnitarstwa. Jakże otwarcie chłoszcze złych fabrykantów wiersza:

To szaleństwo już wszystkie ogarnęło stany,
Poważne nawet piszą wiersze kasztelany,

I których, jako dawna przypowieść nam niesła,
Ani głowa do rady, ani tył do krzesła.

Organy nie były naśladowaniem Monachomachii Krasickiego, bo ta ukazała się w druku później od pory w której Węgierski czytał rękopis swój Krasickiemu. — Węgierski, gdyby Monachomachia istniała, byłby ją w dedykacyi wspomniał, tak, jak wymienił Myszeidę i Doświadczyńskiego.

Przeciwnie, Organy zapewne nasunęły Krasickiemu myśl napisania Monachomachii tak, jak znowu później pożyczył do innej swej poezyi tytułu, od poematu Węgierskiego.

Jakkolwiek „Organy“ pisane były w latach 1775—77, ukazały się one w druku w r. 1784, zatem w siedm lat później. Wydał je *T. Teodor Weychardt*, doktór nadworny Potockiego starosty, a to bez wiedzy za granicą bawiącego autora.

Weychardt znawy jest w literaturze z wielu dzieł bardzo piękną pisanych polszczyzną.[1]) Starał się on rozpowszechnić dzieło czytywane w rękopismach; krytyka pochlebna niebawem wyraziła się o tej pracy:

„Pod niezgrabnym tytułem i pożyczonym imieniem, autor (pewnie sławny *Węgierski*) zawarł w tych pieśniach swoich dowcipną i zabawną krytykę niektórych wad, postępków i obyczajów naszych.“

(Magazyn Warszawki 1784. Cz. IV.)

---

[1]) Rada dla matek 1782. Do mojej żony 1783. Ligurya 1785. Przyczyny, dla których się nie żenię 1787 (na to odpisał Krasicki). Anatomia, przekład z niemieckiego, Ludwiga 1786.

Był więc już za życia sławnym, mimo że król uporczywie odmawiał mu orderu.

Gniewał się *Węgierski*, że wydawca zapewne błędnie wydrukował dzieło; nie wina to wydawcy *Weychardta*, bo on dokładał usilności, aby dzieło wyszło jak należy. Rękopis „Organów“ zachowany w Bibl. Jagiell. jest nieco odmienny co do luźnych wyrazów, ale nie ma tam zboczeń rażących. Ten rękopis jest częścią zbioru poezyi *Węgierskiego*, bo zaczyna się od karty 185^tej^, zatem tom 1^szy^ mający kart 184, w 4^ce^, gdzieś przepadł u ludzi. Autor miał go w podróżach ze sobą, bo są na nim daty po francuzku *2 i 3 Juin 1785 r.*

Poemat ten należałoby porównać krytycznie z poezyą *Boileg o „Le lutrin“*, i wykazać, o ile tu poeta polski jest samodzielnym, a że jest samodzielnym, dość jest przeczytać pieśń piątą, lub zaczęcie czwartej, w której ostro przymawia królowi:

Gdybym był sobie królem byłbym sprawiedliwym,
Złych bym z dwora wyganiał, nadgradzał cnotliwym,
Nie brałaby dostojeństw zasłudze intryga;
Źle w tym kraju, gdzie obrót prostotę wyściga.
Każdybym dzień jak Tytus dobrodziejstwy liczył,
Więcej szczęścia ojczyźnie, niż sobiebym życzył,
Nad próżnemi rzeczami czasubym nie trawił.
(Organy P. IV. w. 429—436).

Przymawia i gburowatemu bibliotekarzowi, biskupowi Albertrandemu:

Co gdybym był biskupem lub officyałem,
Oto bym usiłował staraniem nie małem,
Żebym sam z siebie przykład dając nader rzadki,
Nie był nigdy zgorszeniem Chrystusa czeladki;

Nigdybym nic nikomu nie bronił drukować,
Tym się w narodzie rozum może polerować. [1])

Dla tych przygryzków nie mogły „Organy“ długo okazać się drukiem i wymagały obcej pomocy i nieobecności autora w kraju.

Są jeszcze w rękopiśmie rozrzucone poszyty notat *Węgierskiego;* miał je w roku 1867 wierszopis *Michaux (Miron)* w Warszawie. Nie powiodło mi się uzyskać ich do przejrzenia. Zapewniał mnie atoli, że nic nie ma na tych notatach. Wierzyć potrzeba, skoro sprawdzić nie jest możliwem.

Pojedyncze poezye, nie wcielone w zbiór, napotkać możnaby we współczesnych pismach. Zna-

---

[1]) Że napaść na Albertrandego nie była bez podstawy, widno z współczesnych wierszy, które go smagały. I tak St. Trembecki w wierszu: Do Albertrandego z powodu kazania, pisze między innemi:

Wyzuwszy się z świętych praw kapłana,
Znieważyłeś obmierzłym kłamstwem ołtarz Pana.
I gdzieś ludzi nauką miał oświecić czystą,
Stałeś się z kaznodziei zbrodniarzem, jurystą.

Drozdowski Jan, swój wiersz do Albertrandego z r. 1795 zaczyna:

Podły pochlebco! wodzi-małpie plemię!
Lubieżny starcze, podły hipokryto,
Tę, co cię żywi, chciałbyś zgubić ziemię,
Cieszysz się, że jej rodaków pobito.

kończy:

Jeszcze cię mogę zapewnić zły popie,
Że jeszcze na cię zrodzą się konopie.

Wobec tych wierszy, muza Węgierskiego jeszcze wcale wydaje się oględną.

czył je głoskami K. W. S. K. Te, które pomieścił w „Zabawach przyjemnych“, wynotowałem.

Jest broszura pod tyt. „Xiądz pleban dyecezyi X. B. W.“ Brunsberg 1788, w 8ce. — Pod tym tytułem wyszła druga edycya „Organów“, w której jest dedykacya krótszą, niżeli w edycyi *Weychardta.* Osobliwie stylizowany tytuł tej drugiej edycyi, w której X. B. W. są głoski księdza Biskupa Warmińskiego, tak jak się zwykł Krasicki na wydawanych przez siebie poezyach podpisywać, znamionowałby, że tę drugą edycyę przysposobił sam Krasicki z egzemplarza sobie ofiarowanego.

Resztę źródeł podaję na końcu w bibliografii tego przedmiotu.

Teraz przystępuję do wyjaśnienia, co mogło spowodować wyjazd *Węgierskiego* z kraju.

Zaszła katastrofa, o której tylko możnaby domyślać się z nadpisu jednej poezyi. Jest w zbiorze wiersz: „Do Łubieńskiego z wieży“. Zatem poeta siedział w wieży, czy dla rozrywki? Bynajmniej. Zdaje się, że karany był wieżą. Rzecz się tak miała.

Na Podlasiu, w powiecie *Wizkim*, mieszkała o 20 mil od Warszawy rodzina *Węgierskiego.* Ojciec *Kajetana* dziedziczył wioskę wyprocesowaną. *Węgierscy* to rodzina może zamożna, lecz nie przemożna. Nie spełniali funkcyi obywatelskich, nie kusili się o urzęda, siedzieli w zaciszy hreczkosieje. O ścianę z nimi, opierali się w Ziemi Wizkiej gęsto rozrodzeni Wilczewscy.

Józef Ludwik Wilczewski, orderowy kasztelan podlaski, komisarz skarbowy, starosta grodowy Wizki i Wąsocki, Wacław stolnik, Jan cześnik, Antoni stolnik, Waleryan sędzia ziemski, i najprzemożniejszy

gwałtownik Franciszek podkomorzy, dziedzic Czerniowa, który w r. 1753 będąc oberstleitnantem, popierając Czartoryskich, był tyle czelnym, że sam siebie i braci szlachtę obwinił, iż dali się przekupić przez Prusaka. Miał on odtąd wielkie zachowanie u *Familii* i temu to przypisać, że trybunał koronny lubelski, ferując w r. 1763 wyrok w sprawie jego przeciw magistratowi gdańskiemu o porwanie z jego domu rzemieślnika, skazał Magistrat gdański na koszta 214.000 złp., komendanta miasta *Patzera* na karę śmierci, a wykonanie wyroku dozwolono przez pospolite ruszenie i pomoc hetmanów. — Był to jeden z wielu czynów samowoli magnatów, które miastom Prus Wschodnich czyniło panowanie bezprawia obmierzłem, a ojczyznę podkopywało.

Nie dość, że Stanisław August dał Wilczewskim prawem emfiteutycznem miasteczko Grabowiec, lecz jeszcze, gdy d. 25. maja 1774 kasztelan odstąpił Chorągiew Petyhorską i litewską na rzecz podkomorzego Alexandrowicza, otrzymał w r. 1775 Franc. Wilczewski za zasługi dla kraju z uszczerbkiem swej fortuny położone, ze skarbu koronnego sumę sto tysięcy złp. na zaspokojenie długów.

W samej kancelaryi królewskiej siedział bardzo użyteczny i lubiany, bo sekretu nie zdradził, głuchoniemy Wilczewski.

Wilczewscy więc byli groźni, bo ocierali się o króla i mieli prawo do jego wdzięczności. Z nimi zadzierać nie było bezpiecznie. Mieli głos w Senacie i w Sejmie.[1])

---

[1]) Mowa JW. JMP. Franc. Wilczewskiego posła ziemi Wizkiej na delegacyi, na podane consilium permanens d.

Józef Wilczewski zaledwie wszedł między senatory, napadł na włość *Węgierskich*, roszcząc sobie do niej prawo. Zdaje się, że *Węgierski* ojciec pożyczył pieniądze *Wilczewskiemu* i wziął wieś w zastaw, a lubo dłużnik ni procentu ni kapitału nie zwrócił, wieś przemocą wierzycielowi zabrał.

Węgierski syn, zawiadomiony o tem, wygotował memoryał gwałtowny do Króla i Rady nieustającej, i takowy w ciągu jednej nocy, z poniedziałku na wtorek, wydrukował u *Dufoura*. Działo się to w roku 1777.

Memoryał ten, jako wzór polszczyzny i wymowy, godzien uwagi. Nieznany on był, bo zapewne przez stronę interesowaną z mocy kondemnaty zniszczony został. Brzmi on:

Uwagi w sprawie Węgierskiego z Wilczewskiemi.

„Kiedy mi kto powie, że kupa *Huronów*, spotkawszy się z drugą kupą *Irokéw*, biją się i zabiwszy pieką, gotują i jedzą się: ubolewam nad tem, że nie dosyć jeszcze rozeszło światło, któreby tem dzikim znać dało narodom, że zabijać niewinnie człeka podobnego sobie, jest rzecz okrutna, że jeść go obrzydliwa, i że lepsze są daleko pieczenie na świecie, niż uda albo łopatki; kiedy mi kto mówi, że w Litwie głębokiej szaleniec jakiś możny i bogaty, już trzydziestu

---

16. kwietnia 1774 r. w 4ce, kart 2. — List Franc. Wilczewskiego podkomorzego Najj. J. K. M. z Warszawy 15. stycznia 1764 r. względem znieważenia osoby swojej przez magistrat Gdański, w 4ce, kart 4. — Decretum inter Wilczewskie et Magistratum Gedanensem. Lublini 1763, fol., k. 8. — Mowa p. Wilczewskiego 19. Sept. 1774. *Toż* 23. Sept. o ewakuacyą wojska cudzoziemskiego. *Toż* 2 grud. 1774. — *Toż* w materyi dyssydentów 27. Febr. 1775. — *Toż* 1. marca 1775.

ludzi zabił, że człeka z psami i niedźwiedziami rozjadłemi zamyka, że każe babom kukać i potem strzela do nich: dziwię się cierpliwości obywatelów w sąsiedztwie mieszkających, czczości i niemożności praw naszych, i temu, że ten jegomość albo jak szalony nie jest gdzie do ściany przykuty łańcuchem, albo jak występny nie daje głowy pod miecz wykonywawczej sprawiedliwości; ale kiedy mi doniosą, że o 20 mil od Warszawy, starosta sądowy Wizki, zebrawszy kupę najemnej hałastry, łotrów zbrodniami znajomych, najedzie spokojnie siedzącego obywatela we wsi, którą mu prawo sprawiedliwie przysądziło; kiedy napadłszy na bezbronnych, rąbie, siecze, kaleczy, strzela, zabija; kiedy sam na czele tak godnego korpusu i ręką swoją waleczną razy zadaje, a to wszystko bezkarnie: wtenczas się krew burzy we mnie, wtenczas mi się wszystkie dawnej przemożności przypominają występki i poznaję z boleścią, że prawa nasze dla słabszych są tylko robione, a mocniejszym pokrywką są i zachęceniem do popełnienia niegodziwości. Uważmy tu krótko, jak honory i godności, wlewają w słabe dusze chęć górowania i nadużycia przywilejów, do nich, mniemaniem ludzkiem, przywiązanych. Ledwie Jmć Pan Wilczewski, osobliwszą JKMci łaską krzesło senatorskie zapełnił; ledwie biodro przepasał wstęgą, która zasłużonych zdobi, zapomniał zaraz, że był kiedyś szlachcicem równym, że jak senator jednakie ma z obywatelami innemi sprawiedliwości i słuszności przepisy, i że ani z poręczem krzesło wygodne, ani wstęga czerwona, nie dają mu prawa pożyczonych sobie na dobrą wiarę pieniędzy nie oddawać i w nagrodę usłużenia obywatela, który mu niemi wy-

godził, sposobami znajomemi go pieniać, a kiedy prawo nawet do uskutecznienia mu zamysłu tego nie służy, kazać przez synów gwałtem własność odbierać, i życie jego w niebezpieczeństwo podawać. Nie będę tu do was Mości panowie Wilczyccy mówił jak filozof, jak przyjaciel narodu ludzkiego, bo ceny życia ludzi znać w stanie nie jesteście; nie będę mówił jak Chrześcianin, bo rozumiecie powszechnie, że kilka dni przeposzczonych i kilka złotych na mszą danych, potrafią wam tej winy odpuszczenie otrzymać; ale jeśli znacie albo słyszeliście przynajmniej o obowiązkach obywatelów wzajemnych, o ogniwach, które społeczność wiążą, o występkach, które ją mieszają, o karach, które aż nadto są niewczesne, uważcie sami, czy sprawiedliwa rzecz jest, tego, który zebrawszy potem swego czoła sumę pewną, wam ją pożycza, i nie odebrawszy przez lat kilka kapitału, ani prowizyi, o nie się upomina, prawnie własności swojej dochodzi, czy sprawiedliwa rzecz jest, tego nie tylko pieniać, do kosztu go przewodzić. ale najeżdżać jeszcze i chcieć mu życie odebrać.

Radbym wiedział Mości Panie starosto Wizki, jak po tej akcyi zasieść na sądy swoje będziesz miał czoło: każdy zbrodzień, który po drogach rozbijał, przed twój sąd przyprowadzony i wyrokiem twoim skarany, będzie ci miał prawo powiedzieć: „Jaką „masz śmiałość potępiać mię za to, czegoś się sam „stał uczestnikiem. Jak możesz karę śmierci mi za„dawać, kiedy sam w podobnym uczynku znalazłeś „dosyć wymówek winę twoję pokrywających; jak „śmiesz mnie, którego potrzeba i nędza do odbiera„nia majątku ludziom przymusiła, karać, kiedy ty „bogatszym tysiąc razy odemnie będąc, za toś kilku

„ludzi zabił i ranił, że ich pan o swoję się własność „dopominał: ta tylko na nieszczęście moje między „nami jest różnica, że ja bez familii i wsparcia, a „ty masz krewnych i protektorów możnych“: toby ci każdy zbójca powiedział, to ci głos powszechny, to ci wewnętrzne przekonanie, które sumieniem zowią, codzień powtarza.

Ale na co ja tu próżnej wymowy zażywam, na co słowa tracę daremnie, twoje serce nie jest zdatne przyjąć tych uczuciów, które są u ciebie przeciwnym osłabione zwyczajem: Zabić człeka, krzywdę uczynić słabszemu, niewinnego ucisnąć, są to zasługi twoje, są to drogi do sławy. Inaczej ktożby wiedział, że był jakiś starosta Wizki na świecie. Jesteś żołnierzem, Mospanie starosto, jesteś walecznym, jak powiadają, boś swoją ręką dogoniwszy bezbronnego człeka kaleczył; chwalę tę cnotę, która jest tobie dziedziczną, ale powiedz proszę, na co jej tak na złe zażywasz, czemu ją tak expensujesz, używając jej tak często na obywatelów wśród pokoju, nic ci się z niej w przypadku wojny na nieprzyjaciół nie zostanie.

Kochany Narodzie, którego cząstką drobną jestem, którego sława jest mi droga, uważ proszę, jakaby nowa dla ciebie hańba była, gdyby zszedł bezkarnie ten występek, to praw najświętszych przewrócenie, to zgwałcenie obywatelskiej spokojności, ale wszystkie bojaźni znikają we mnie przed słodką nadzieją, gdy uważam, że ta rzecz cała idzie pod wyroki sprawiedliwego i oświeconego Pana, pod roztrząśnienie rady jego. Mężowie zacni, którym pełen ufności naród, mocy strzeżenia i wykonywania praw swoich powierzył, zastanówcie się nad wielkością winy ich i

krzywdy naszej; sprawiedliwość wam środki ukarania jednej i drugiej nagrodzenia pokaże, a mnie zostanie słodka wdzięczności powinność.

Jeżeliby kto obrażał się mocniejszemi wyrazami, których w tych uwagach zażyłem, niech pomni, że nie są mierzone jeszcze ani do krzywdy, którąśmy ponieśli, ani do Jmć PP. Wilczewskich wykroczenia: kto najechawszy obywatela, człeka jednego na miejscu zabija, dwóch rani śmiertelnie, a wielu innych pokaleczy, wartże ochrony jakiejkolwiek? I mamże ja zachować granicę pomiarkowania skarżąc się, kiedy oni ludzkości nie znają przepisów: Pókiż będziem zasługiwać na imię grubych Sarmatów? pókiż się będą obce narody i słabości i okrucieństwu naszemu dziwić sprawiedliwie? Pókiż życie obywatelów słabszych od mocniejszych woli i rozkazów zależeć będzie? Ale niech jak kto chce myśli, żadne uwagi ust mi zamknąć nie potrafią, kiedy o sprawiedliwość, o całość obywatela chodzić będzie, i jeżeli mię kiedy przemoc, czego się nigdy nie spodziewam, przyciśnie, z pod ciężaru jej usłyszy świat skargi moje." —

Gwałt powstał w Warszawie na zuchwalca, który poważył się ulubieńcowi króla zarzucać rozbój i najazdy. Wytoczono proces *Dufourowi* i *Węgierskiemu*, w nim objęto ośm punktów skargi:

1) Porównanie rządu z kupą *Huronów.*
2) Żądanie miecza katowskiego na magnata litewskiego.
3) Że prawo tylko dla słabszych istnieje.
4) Że Wilczewski zapomniał, że był kiedyś szlachcicem równym.
5) Że przez synów kazał gwałtu dopuścić się.

6) Że nie znają ceny życia.
7) Że nie będzie miał Wilczewski czoła usiąść na Sądy.
8) Że byłoby hańbą dla narodu puszczenie występku płazem.

Gdzie magnat i chudopachołek do sądu stają, tam o sprawiedliwości mowy być nie może. Sądy Wolnej Rzeczypospolitéj były w niewoli możnowładców. Uznały więc winę poety, skazały go na wieżę i pozbawiły go posady, którą blisko lat dwa w Radzie Nieustającej piastawał, próżno oczekując awansu.

Za jednym zamachem skazano i Piotra Dufoura cudzoziemca, drukarza, na wieżę i grzywny, mimo obrony tem, że Węgierski osobiście skargę złożył do rąk Króla i Radzie Nieustającej.

Nie spodziewał się cywilizowany paryżanin, lat 40 drukujący za granicą, a od stycznia 1775 r. osiadły w stolicy ludu chełpiącego się równością szlachecką, że niebawem odsiadywać będzie w wieży i płacić grzywny za drukowanie Procesu cywilnego Meisnera, za afisze tłoczone na żądanie dyrektora teatru Guillarda i za okrzyk zdeptania praw obywatelskich, wzniesiony przez poetę. Snadź słońce wolności miało się już dobrze ku schyłkowi.

Że podobnego rodzaju wyroki były na porządku dziennym, świadczą bezimienne wiersze, lub jak komu zechce się nazwać paszkwile, obiegające Warszawę. Jeden z nich pod tyt. *Lament* mówi:

Sądzenia spraw najwyższa oddana jest władza
Tymto, u których wszystko na tem się zasadza,
By tylko kaprysowi dogodzić swojemu.
Choćby wydrzeć fortunę i honor drugiemu.

O nieszczęśliwy kraju, co masz sędziów takich,
Którzy są bez rozumu, sumień ladajakich.

W innym wierszu: „Do gniewających się na te wiersze“, odzywa się bezimienny:

Cała Wielka i Mała Polska o nich gada,
By takich Trybunałów nie mieć. wszędzie rada.

Co czynił z sobą Węgierski po odsiedzeniu wieży, nie wiadomo. Mniemam, że aż do wyjazdu swego z kraju, przez lat dwa nie próżnował. Może kiedyś wyśledzić się dadzą jakie poezye jego, zawarte po rękopiśmiennych miscellaneach, w których mieści się niezliczona moc wierszy okolicznościowych. Powinny wyjść kiedyś drukiem te nieznane i bezimienne wiersze, choćby jako materyał do historyi wewnętrznych stosunków stolicy.

Z listu jednak, który Węgierski pisał w r. 1785 do Rogalińskiego, że blisko ośm lat, jak wierszy nie pisze, wnosićby można, iż w końcu r. 1777 przestał zajmować się poezyą.

Czy to jednakowoż nie pomyłka? Czy w oryginale nie stało może lat 5, zamiast 8, bo zdaje się, że znane jego wiersze późniejszej niż r. 1777 sięgać mogą daty, jak np. na Wjazd Senatora, 1778. Przekład Pigmaliona z r. 1778. Wiersz do X. Węgierskiego, gdzie wspomina czytelnię Lexa (a tej istnienie odszukałem od roku 1782), także wiersz: Na zgon księdza Węgierskiego.

Gdyby możliwem było sprawdzenie tych dat, i gdyby one istotnie na lata 1780—82 przypadały, ówczas byłby słuszny domysł, że wyjechawszy w r. 1779 do Spa, ztamtąd w listopadzie pojechał do Włoch (Werona, Padua i Wenecya), i tam bawił od 13. listo-

pada do 8. grudnia, poczem wrócił do kraju. Dopiero w drugą podróż wyruszył w r. 1783, aby już nie wrócić do kraju.

Tę myśl nasuwa rękopis tych podróży, oprawny w jeden tom i zaopatrzony ogólnym nadpisem, — tak jak był w roku 1793 do druku przygotowany. — Gdyby był odbywał w latach 1780—82 podróże jakie, byłby je równie spisywał, i byłyby wcielone do tego oprawnego zbioru.

Są to oczywiście przypuszczenia, które tylko czas wyświecić może, jeżeli przypadek zdarzy, iż się reszta rękopismów odnajdzie.

Na pierwszą podróż zabrał go ze sobą Kajetan Potocki, starosta urzędowski, o którym tylko wiadomo, że miał kochankę panią Etoubville. Ten Potocki, syn Eustachego, był bratem Urszuli Sanguszkowej, Ignacego kanonika warmińskiego, a później Pisarza W. Lit. i Jana podróżnika.

O tem zabraniu Węgierskiego w podróż, dowiadujemy się z wiersza Stan. Trembeckiego:

Gdy odjeżdżasz Węgierski za łukowskie bory,
Gdzie ładne dziewczę domu wyrządza honory,
Całuj, które się godzi ucałować członki.

Jaka spuścizna z rękopismów jego dochowała się, opowiada Siemieński Lucyan. Ocalał jeden tom, a pozostawił ich poeta siedem, wypełnionych podróżami i angielskimi, tudzież francuzkimi wyjątkami poezyi. Nic tam prawie polskiego nie było.[1]) Strata zatem dla literatury nie wielka.

Rękopis ocalony jest dzisiaj własnością Żegoty

[1]) Baliński — Życie Śniadeckiego, str. 134.

Paulego, pilnego zbieracza pamiątek. Kiedy bowiem w d. 7. listopada 1849, zmarła w Krakowie Justyna Węgierska, wdowa po Michale Węgierskim, papiery po niej pozostałe poszły na żydy. Były między nimi listy wierszem i prozą Niemcewicza do Węgierskiej i wzmiankowany rękopis. Tak zwykle bywa z familijnymi papierami, nie mają wartości, bo nie są gotówką; banknoty chowają się w kalecie, a dokumenta na tandecie.

Treść rękopisu podaje L. Siemieński, więc nie powtarzam jej. — Pierwsza część obejmuje listy z Włoch, stron 131 i od strony 213—219 w 4ce.

Tom 2de 1er Partie. Listy z Martyniki od 22. maja 1783 do 28. lipca, stron 61 w 4ce. — Dalej zeszyt 2. do 4go w 8ce od str. 29—125, z daty 17. października do 20. listopada 1783.

Dalej: Lettre VI, 7. Fevrier 1804 (właściwe 1784) do Hr. Boufflers pisany z Cork w Irlandyi ($1^1/_2$ karty).

List z Filadelfii 7. Sept. do prezydenta Pensylwanii, Jana Dickinsona.

18. Octob. do Gener. Washingtona.

3. Decemb. z Bostonu do J. Dickinsona.

8. Stycznia z Londynu do króla Stanisława Augusta (streszczony).

Do księcia Stan. Poniatowskiego (w streszczeniu).

Do księcia Galii.

Do Miss. Mathew.

Do Bukatego, Rezydenta w Londynie, 19. Decembra.

Z Bath do Dra Turton, 22. Decembra.

Do P. Tudor, w Bostonie 1785.

Z Londynu 8. kwiet. 1785, do Rogalińskiego.

Z Aix la Chapelle, do Bukatego.

Te 12. listów obejmują stron 26, w 8ce, kończą kart 4 pamiętnika przedśmiertnego, nie dokończone. Z niego widno, że musiał podobny pamiętnik i dawniej prowadzić. —

Z listów jego okazuje się, że pragnął wrócić do kraju, ale z honorem. Wygnany z komisyi sprawiedliwości, czyni starania u księcia Poniatowskiego, aby mu wyjednano miejsce w komisyi skarbu na lat dwa, że nie wróci do kraju, dopóki nie będzie miał oznak życzliwości króla. Książę na te listy nie udzielił odpowiedzi.

Przed królem chwali się przyjaźnią następcy tronu angielskiego.

List do księcia Wallii świadczy o zażyłości z nim. Obadwaj chorowali i obadwaj leczyli się, lecz Dr. Turton nic nie umiał poradzić na katarowe cierpienia Węgierskiego. To mu jednakowoż nie przeszkadza upijać się winem i prawić ówczas miłosne oświadczenia Pani Mathew, a potem ją listownie przepraszać w sposób, że podwójnie był pijany, lecz gdy otrzeźwił się z wina, jest oszołomiony ciągle jej wdziękami.

W liście do Bukatego wyraża się, iż dlań obojętną jest myśl, iż ma być narażony na proces za lichy nabytek zrobiony, lecz więcej się troszczy o to, że kończący się sejm nie wynagradza usług Bukatego. —

Od początku grudnia bawiąc w Bath na kuracyi, próżniacząc, odzyskuje zdrowie. Doktorowi Turtonowi donosi, że ledwie 12. styczenia wróci do Londynu. Użycie wód i życie religijne wskrzesiły go, lubo jegomość żołądek nie jest jeszcze w przyjaźni z pacyentem. Zastanawia się nad tem, ile żołądek

źle trawiący sprawił w świecie odmian. Prosi doktora, aby kłaniał się Milordowi Mansfieldowi.

W liście do Rogalińskiego rozbiera kwestyą procesu Ryxa o mniemany zamach na księcia Czartoryskiego. Uważa za niedorzeczność wyłączenie Stanisława (Potockiego?) od świadczenia, gdy przyjęto zeznania Taylora i domowników — i dziwi się lekceważeniu doświadczeń proszku znalezionego w kieszeni Ryxa. Zapytuje go o powód wyjazdu St. Trembeckiego do Królewca, dla czego uciekł, czy pobiera jeszcze płacę i jaką drogą mógłby list do niego wysłać?

Byłby Bukaty kontent z swej pozycyi, gdyby płacę dostawał regularnie. — „Pani Potocka była przez cztery miesiące w domu policyi (sergeant), a teraz jak się zdaje siedzi w więzieniu w Newgate. Nie miałem od niej wieści od trzech tygodni. Wyczerpała kieszeń moję i cierpliwość.“ —

Miał listy od Hylzena o jego wyjeździe do Nicei i Genui. — W końcu kwietnia 1785 opuści Anglią, aby zwiedzić Stany zjednoczone, potem wrócić do Spa i Paryża.

Opowiada że wygrał tego roku około 5000 funtów (50.000 złreń.), z czego wydał już połowę.

W liście do Bukatego z Aix la Chapelle, donosi, że na kwiecień wróci do Anglii. Sześć tygodni pobytu nie ustaliło mu zdrowia, a mimo umiarkowanego życia, objawiają się symptomata zatrważające, które i dla lekarzy są zagadką. „Mniemam, że twoja silna konstytucya nie doznała uszczerbku z powodu długiej podróży i młodej żony. Radzę ci, pielęgnuj zdrowie, bo to jest jedynem źródłem naszych przyjemności. Czas tutaj jest zarówno lichy jak i

towarzystwo. Przybyłem tutaj w niedzielę, a odjeżdżam dziś do Spa, gdzie zabawię dwa lub trzy dni. Pani Potocka przybyła tutaj drugiego dnia, ze swoim młodym mężem i swoim szwagrem (który ożenił się z młodą księżną Lubomirską.[1]) Zamierzyli udać się do Anglii ku końcowi miesiąca wraz z hr. Tyszkiewiczową, której zdrowie widocznie nadwątlone. — W najbliższej jesieni będziesz miał liczną kolonię Sarmatów, jeżeli hr. Ogiński uda się do Anglii, o czem mnie zapewnił za widzeniem się w Hadze. Na 17go będę w Bruxelli".

Wzmiankowana Pani Potoka dwukrotnie, byłażby to Cetnerówna z domu, żona Kajetana (później za czwartym mężem Karolem Lambese), z którym wyjechała z Polski. Czy tylko przez wdzięczność ratował ją w jej kłopotach pieniężnych?

W jego dzienniku przedśmiertnym, lubo wie, że już śmierć zbliża się, widnem jest interesowanie się wszystkiem, co po drodze ogląda. Opisuje Aix i drogę do Marsylii i samą Marsylią. Dziennika tego treść podał L. Siemieński.

Oprócz tych rękopisów, da się odszukać manuskrypt, zachowany w Szczorsach niegdyś u Chreptowicza. Obejmuje on podróż w języku frankuzkim w dwóch częściach. Oglądał go Lud. Sobolewski.

Testament Węgierskiego jest z d. 27. lutego 1787. Umarł zaś 11. kwietnia t. r. Osnowę testamentu podaje K. Wł. Wójcicki w Archiwum domowem 1856 str. 127, i L. Siemieński.

---

[1]) Synowie Eustachiusza Potockiego, Ignacy i Stanisław mieli za żony Lubomirskie. Tu zapewne mowa o Stanisławie, bo Ignacy zajęty był ówczas służbą w kraju.

Podałem, co można było odgadnąć z zagadkowej przeszłości poety. Starałem się nie powtarzać błędnych szczegółów dotąd o nim rozpowszechnianych. Tak np. pisano, że pobierał płacę szambelańską, że pracował w kancelaryi króla, że dowcipkował na obiadach monarszych. Wszystko to wymysły.

Bezimienny biograf Węgierskiego (w edycyi Bobrowicza) przytacza szczegół, iż na balu u hetmanowej Ogińskiej, trzymając bank na żądanie dam, wygrał od jednego magnata przeszło 10000 dukatów i że z temi pieniądzmi wyjechał do Paryża. Szkoda, że nie wiadomo, kto tę biografią pisał i źródła nie podał. Sądzę, że Węgierski co do swego stanowiska był za małą figurą w stolicy, aby mógł krocie ryzykować i bratać się z magnatami. Póki był w kraju, nikt na niego nie zwracał uwagi. Wiedziano o nim wtedy dopiero, gdy w Anglii wygrywać zaczął, i gdy wszedł w stosunki z księciem Wallii.

Znali go tylko przyjaciele, znali młodszego pokolenia poeci, ci, którzy talent swój rozwijali na lekkiej muzie francuzkiej, zapowiadając tem jutrzenkę poezyi z czasów księstwa Warszawskiego. Węgierski wiódł ten hufiec; nie chcieli o nim słyszeć rymotwórcy Stanisławowscy, zaprawieni na łacińskich klasykach i ich formy przeżuwający. Sam nawet wyższy nad nich Krasicki, pisząc obszernie o rymotwórcach, zastanawia się nad współczesnymi sobie, chwali nawet miernoty Szymanowskiego, a o Węgierskim milczy. Podobnie Czartoryski Adam, w dziele o pismach polskich i Dmóchowski w Sztuce rymotwórczej. Ostatni tylko przestrzega pisarzy, aby nie chcieli za przykładem Węgierskiego być poprawcami wszystkich stanów.

Józef Ep. Minasowicz, najwydatniejszy reprezentant owej łacińsko-polskiej muzy, autor Zbioru rymów 1755 i 1782, wydał pod tym rokiem: *Wiersz Muzofila wierszpolskiego o poetach żyjących pod berłem króla Stanisława.* Wszystkich nagromadził i oto są: Naruszewicz, Nagurczewski, Koblański, Sakowicz, Jaśkiewicz, Piotrowski, Turkowski, Eysmont, Skrzetuski, Jakubowski, Fontana, Zabłocki, Kniaźnin, Sekretarz Józ. Sosnowskiego oznaczony imieniem: Michał. Nawet o Bielawskim woła:

> Piszący wiersz z kopyta duchem Pisorymie
> Feba tchnący Bielawski, Fligel-Adjutancie,
> Coś się pięknej podobać umiał Atalancie.

Jedynie tylko o Węgierskim nic nie wie. — A prawda — przemilcza i o Ig. Krasickim, to już pewnie naumyślnie.

Znajduję w Dykcyonarzu Muzyków polskich wzmiankę, że Węgierski tłumaczył Woltera listy; to Sowiński napisał w edycyi francuzkiej swego dzieła, zaś w edycyi polskiej powiada, że tłumaczył listy filozoficzne Roussa. Zapewne co do ostatniego omyłka jakaś zachodzi.

Biograf Węgierskiego w edycyi Bobrowicza, usprawiedliwia lubieżność słów poety, zwracając uwagę na to, że Naruszewicz również szpetne pisał wiersze, dodaje ten uwagi godny szczegół, że źródłem wierszy uszczypliwych i rozwiozłych była chęć podobania się gustowi publiczności, nie zaś skażone serce. „Oso„biste bowiem postępowanie poety za świadectwem „współczesnych, którzy go znali, było zawsze proste „i szlachetne, tak w towarzyskiem, jako i obywatel„skiem życiu“.

Szczegóły te, które biograf podpisany *O.* podał w edycyi Bobrowicza, jeżeli pochodziły od Pani Węgierskiej, ówczas mieszkającej w Krakowie, mogłyby mieć cechę prawdopodobieństwa. Bobrowicz wydawca, mógł jako krakowianin znosić się z nią, skoro wiedział i nadmienia o rękopismach podróży, w jej ręku będących.

Co do drukujących się w tej edycyi poezyi, chętniebym wypuścił cztéry poezye, które rażą swawolną myślą. Wydawca je powtarza, dla tego zapewne, że je znalazł w innych edycyach.

Autentyczność wszystkich utworów nie może być dowiedzioną. Już Mostowski, acz bliższy czasów Węgierskiego, ostrzega, iż być może, że trzy lub cztéry krótsze płody są bezimiennego pióra Też wątpliwości widzę, gdy porównywam tu zebrano poezye z dwoma zbiorami rękopiśmiennymi współczesnie i tak: wiersz „Do S. Trembeckiego“, współczesni mieszczą między utworami Trembreckiego „Do Naruszewicza“ [1]), wiersz do Kaź. Poniatowskiego także ma być Trembeckiego pióra; wiersz: Próżny usiłek, uchodził za Kniaźnina; Próżność świata za utwór Józ. Szymanowskiego; Poprawa Warszawy i Pszczoły, za poezyą S. Trembeckiego, Fanatyzm za Karpińskiego.

Nawzajem, pewnie wiersz niejeden uchodzący za utwór Trembeckiego, a wiele innych politycznych, mianowicie w rękopismach XVIII wieku, są Węgierskiego. Dziś trudno tego dochodzić, skoro autorowie puszczali wiersze bez podpisu.

[1]) Jest drukowany w poezyach Trembeckiego, edycya z r. 1820 T. I, str. 87, i w Poezyach Węgierskiego z r. 1803, str. 368. — Co więc jest prawda?

Również pewności nie mam co do autentyczności przekładów niektórych Marmontela, choć je Mostowski i Bentkowski przyznają Węgierskiemu. Sądzę, iż oni się mylą, twierdząc iż Szczęśliwa familia, Belizariusz, są pracą Węgierskiego. Sama data wyjścia tych przekładów wskazuje prawie niemożliwość. W r. 1769, kiedy te przekłady drukiem ogłoszono, miał Węgierski lat 14 i jeszcze uczył się w konwikcie jezuitów. Trzebaby przypuścić, że już jako student zatrudniał prasę drukarską. Byłoby to fenomenalnem zjawiskiem.

W pierwszej edycyi Węgierskiego powiedziano, że poemat Popego Alex.: „Heloiza i Abelard“ tłumaczony z francuzkiego przekładu Colardeau, a wydany pod imieniem K. Węgierskiego, nie jest jego pióra. — Szkoda, że nie powiedziano, na czem opiera się to zaprzeczenie, bo wiersz wcale gładki i energiczny, znamionuje dobrego pisarza. Gdyby nie to zaprzeczenie, powinienby poemat ten wejść w poczet obecnego zbioru pism Węgierskiego.

Zbiór poezyi jego pomnożony, cały przejrzałem, sprawdziłem z współczesnym rękopismem, według niego niejakie różnice, choć drobne znalazłem. Uważałem też za odpowiednie tu i ówdzie objaśnienia dołączyć w przypisach. Rzucają one światło na czas powstania utworu, lub na jego pierwotne źródło. Jest więc pewna różnica między tą a dawniejszemi edycyami, zwłaszcza, że kilkanaście nieznanych utworów dołączyłem.

Domieszczam w dodatku do Biografii, poezye Trembeckiego, Zabłockiego i Bezimiennego do X. Łuskiny, bo one mają związek z treścią biografii. Poezya Zabłockiego rozjaśnia, jak zapatrywano się na ubytek tego talentu poetyckiego.

DODATEK DO BIOGRAFII.

I.

STANISŁAW TREMBECKI.

A. DO KAJETANA WĘGIERSKIEGO.

Phaebo sua semper apud me munera.
Virgil.

Lubom nie jest wierszopis wiersz poważam wiele,
Nim Malarz, lecz w szacunku u mnie Rafaele,
Zawszę wielbię Homera, wiem że kraj zdziczony,
Miłym jego być może pieniem oswojony.
Jak złoto ogień czyści, tak wydoskonala
Obyczaje narodu Satyr Juwenala,
Męztwo i Patryotyzm, zgoła wszystkie cnoty,
Gdy do nich wiersz zachęcał, kwitły przez wiek złoty,
Kocham Polskę a gdyby mieszkał w niej Horacy,
Ustaćby mogła podłość, znikli Hajdamacy,
Dość podobno Węgierski masz z tego rysunku,
W jakim u mnie są wiersze Poetów szacunku,
Ciekawyś pewnie czyli w liczbie cię ich stawiam?
Bądź pewny, miedzy niemi miejsce ci zamawiam,
Dawniej tegom nie myślał lecz wiesz jak na świecie,
Jeden powie na wiarę drugi za nim plecie,
Płeć piękna, miły dowcip, nie są bez zazdrości,
Ta wada bierze z własnej początek miłości,

Niegdyś się z roży oset urągał wyniosły,
Ta przecie ludziom miła, a on tuczy osły,
Daruje ja prywatnym, naród ma nagany,
Że w nim Pisarzów dowcip mało szacowany,
Wszakże myśląc i pisząc, lud się doskonali,
Niech będzie wolno ganić, choć kto co pochwali,
Gdy pióro z piórem pójdzie w rozumne zawody,
Zniknie dzikość, opadną zabobonne brody.
W twierdzach, błędów zniszczonych dowcipu taranem,
Na tron się wzniesie prawda, prawo będzie Panem,
A ciemność z rozwiozłością nie mogąc znieść światła,
Pójdą tam gdzie zabobon z nierządem się tatła,
Może być mój Węgierski, że wiersz twój ma wady,
Lecz za to chcieć cię zgubić, ach coż to za rady!
Prosty rolnik zawstydza nas uczonych ludzi,
Niegubi swej pszenicy, choć ją śniadka zbrudzi,
Młynkuje ziarno prawda i czyste wystawia,
Aby miał zawsze wybór, wadną rolę sprawia.
Twój dowcip wierszopiski już na śmierć sądzony
Bez względu, że obfite mogłby wydać plony,
Ojczyznie, gdyby znała sposób rozkrzewienia
Twych przymiotów, szczepionych ręką przyrodzenia.
Lecz w jakiejże cię zbrodni w tym czernią obrazie?
Oto żeś wiersz poświęcił Satyry urazie,
Horacy, Juwenalu! dobrze że powieki
Zamknęliście, nie dla was dzisiejsze są wieki,
Wzmożone błędy jawne takie mają prawa,
Iż zginie, kto im podłych ofiar nieddawa,
Kto dumnego Junaka śmiałą postać bierze,
Z walecznym Annibalem w jednej stoj mierze,
Tego, co chcący mówić ledwie gębą ziewa,
Trzeba wielbić że mądrze i że miło śpiewa,
A który ledwo słońca dojrzy blask w południe,
Temu dowieść ciemnoty byłoby dziś trudnie.
Katullu! cóżby z tobą w Polsce się nie działo
Coś tak w Rzymie z Cezara natrząsał się śmiało,
Gdzie przecie za swe wiersze teś odebrał kary
Żeś z Cesarzem wieczerzał i pozyskał dary.

Polsko! jakież ztąd dla cię mam wywodzić wnioski,
Iż rozum błotne błędów zmulają nanioski.
Lecz Węgierski! pod berłem żyjemy Augusta,
Ty śpiewaj, a me mówić śmiało będą usta,
Uczmy więc, kiedy Polska mniej od nas uczona,
Ty tonem Horacego a ja Focyona,
Nie zważaj na niewdzięczność, po nocy zaświta,
Gdy ciemny przejrzy, wtenczas, wdzięcznie cię przywita.
Jak mieczem dzielnym ścigaj krajowe narowy,
Tępiące obyczajność, cnotę rozum zdrowy,
Rzuć się na dusz przedajność, których kują młoty,
Nam kajdany żelazne, a sobie wiek złoty.
Już nad brzegiem Gangesu świetleją umysły,
A dziczeć zaczynają Ziomki naszej Wisły,
Długoż będziem przez nierząd nieczułym tak trupem,
Sami sobie nieznośni, wszystkich sąsiedztw łupem?
Możnaż osiemnastego wieku być w przesądzie,
Że się nasz utrzymuje kraj, stojąc w nierządzie?
Długoż nas mieć w kajdanach będą uprzedzenia
Że można i kraj przedać dla dobrego mienia?
A choć wszystkich spodlone i myśli i sprawy
Zemstą grożą obiawcy miasto jej poprawy.
Niech jednak to Węgierski, ciebie nieodstręczy,
Śpiewaj rozum i cnotę, niech błąd w błocie brzęczy,
Ja ci równie przyrzekam nieodmienię tonu,
Bym się żywił z jednego wraz z tobą zagonu.
Mało natura żąda, duszę zasilajmy,
W Homerze i Platonie karm dla nich szukajmy,
A przyjaźń nasza szczera, niech ma te dewizki:
Służyć szczerze Ojczyznie istotne są zyski,
Masz prócz mnie przyjaciela: szanuj te przyjaźni
Na nas dwóch próżnie jaki Freron się rozdraźni,
To prawda że się wielu dziś dziwi co czyta
Że Trembecki jest mędrszy niż Ex-Jezuita[1]).
Wiem, że tym dzwiękiem mile dotknąłem twe uszy,
Mam i ja przyjaciela, żywioł to mej duszy,

[1]) Łuskina (?)

Prawdziwie mądry, trudne nam wnet prawdy zjawi,
Poznał ludzi, acz kruszczu walorem się bawi
Kto on jest? kto tak zacny? dość dla czytelnika
Że przyjaciel Augusta dziś, a wprzód Ludwika.

B. DO WĘGIERSKIEGO. NOWY PRZYPADEK W LASKU.

Wtymże czasie przypadek stał się drugi właśnie
Kiedyś pisał o lasce jadowite baśnie,
Tokarz, a ów to tokarz, co dobrze trze oczy,
Nim jaką sztukę na swym warsztacie utoczy,
Skoro wyrobił laskę kształtną i ozdobną,
Postawił ją z niemałym szacunkiem osobno.
Ona z swojej kształtności i gładkiego toku,
Nie jednemu przypadła do pochwały oku,
Owszem dla istotnego na laskę pozoru,
Tokarzowi czyniła niemało honoru.
Tokarz laskę swą kochał i wspierając czasem
Na niej swoje ramiona, chodził po nad lasem,
Często laską wskazywał na zdatne sosienki
Z tej wytoczę półmisek, z tej będą wanienki,
Z tej szachy, z owej puszka, ta zaś nadto krzywa,
Niezgodna chyba tylko na smolne łuczywa.
A tak sobie wybierał za pomocą laski,
Drzewka różne, co było znakiem Pańskiej łaski.
Kiedy raz powracając do lubego domu,
Ujrzy, aż ów niedźwiadek co niedawno z łomu
Wzięty, z swego łańcucha zerwawszy się razem,
Biega, pada i lata, u szyj z żelazem,
I wolnością napuszon niedzwiedziej natury,
Dłabi piekne kokoszki i czubate kury.
Jeszcze się tokarz dziwi i niechętnie śmieje
Mając poprawy po nim niechybną nadzieję,

Ale płochy niedźwiadek bacząc, że uchodzi,
Dalej swym jadowitym kłem gryzie i szkodzi,
A kiedy w nim coraz się pieni humor dziki,
Począł nawet tokarskie kąsać pomocniki.
Tu tokarz podiął laskę a laska rostropna,
Nie będąc do srogiego kalectwa pochopna,
Swywolnego niedźwiadka uderzyła mało,
Słuchajcież co się dalej w tymże razie stało:
Oto złośliwy niedzwiedź wnet się obces rzucił,
Owszem ku tokarzowi z swym się kłem obrócił,
Ale mając pobliżej laskę drapać pocznie,
Zamiast coby miał tańczyć przed swym Panem skocznie,
Co częstokroć (nieprawdaż) dosyć czasem bawi,
On swą paszczękę srogą natychmiast rozdziawi,
A ostremi pazury porywając drzewo,
Rozumiał że to z lekką do czynienia plewą,
Tokarz na to zadumiał i złość wielką widząc
Dał znak lasce, a laska z ostrych zębow szydząc,
Tak go dobrze urznęła po złośliwym grzbiecie,
Że się niedzwiadek układł jak maleńkie dziecię,
Lecz bacząc iż się wszędzie śmieją z niego ludzie,
Poszedł sobie spokojnie i legł w ciasnej budzie,
A wtedy już nie myślał że pękła na sęku,
Kiedy na nim niepękła z pod Tokarza ręku.
Stare to lecz prawdziwe nas przysłowie uczy,
Za spadnięciem gałązki niedźwiedź tylko mruczy,[1])
Lecz wtedy niesrożeje ani pewnie drapie,
Gdy weźmie raz a dobrze po złośliwej łapie.
Nietrzeba na pochlebnej zawsze brząkać Lirze,
Wolno poświęcić nieco surowej Satyrze,
Lecz gdy chcesz ujść prawdziwie powszechnej nagany,
Na sprawiedliwe przestań pisać w kraju Pany.

---

[1]) Porównaj str. LXXIX, wiersz 20, w wierszu: „Do gniewających się.“

C. DO WĘGIERSKIEGO, ADIEU.

Gdy odjeżdzasz Węgierski na Łukowskie bory [1])
Gdzie ładne dziewczę domu wyrządza honory,
Całuj, które się godzi ucałować, członki,
Tej, co wiernością znańsze wyrówna Małżonki.
Ni ją straszne przysięgi, ni Grodzcy Pisarze
Przez konktrakt z Urzędowskim umieścili w parze,
Ale łagodna piękność nad święte łańcuchy,
Silniejszym sprzęga węzłem ich ciała i duchy,
Szczerość jej obyczajów, siła przymilenia
Wdzięk, żywość, ustawiczne wzniecają pragnienia,
Nie bez ochrony jednak Faworów udziela
Niedopuszczając sytu nudom Przyjaciela;
O! po trzykroć szczęśliwy dzielący z nią łoże,
Często pragnie, ma zawsze, przeto zawsze może.
. . . . . .
. . . . . .
Jedźże, a zwracaj wesoł, niech zawiść ostygnie,
Która wiersz w potajemnej uknowany zdradzie
Pełen jadów i fałszu, na twój dziś karb kładzie.
Niewierzę aby twój styl galantomii bliski,
Na piękną płeć smolące miał rzucać pociski,
Ku wierzchołkom dwój góry ścieżka wiedzie meta,
Nigdy Dam żaden z lepszych nie szarpnął poeta,
Smutny tylko Boilau co się wiecznie dąsał,
Starym zębem nakoniec i Damy pokąsał.
Ten przykład nie do wzoru i znikłą miał modę
Wieszli jego nagości w dzieciństwie przygodę,
Gdy jędora to za nos, to za ogon skubał,
Gniewny mu ptak . . . . . .
Orfeusz . . . . po co łączyć tak odległe czyny,
Póki stanie Chrześcian będą Bernardyny,

---

[1]) Za Łukowskiemu borami Radzyn, gdzie Potocki Starosta Urzędowski żył z Mad. Etoubille, a z nim Węgierski wybrać się do Paryża umyślił.

I zaszczyty Karmelu trwać będą do woli.
Dziwno nam, że upadli synowie Lojoli,
Wszak z ich strony bywały Watykanu gromy,
I zdawniałe niewiasty i świat niewidomy.
Przeciw nim były młodsze, przeto znikli marnie.
Czcijmy damy bo i nas równy los ogarnie,
A czyjekolwiek pióro z niemi się podraźni
Zalękniony — od jego uciekłbym przyjaźni.

II.

ZABŁOCKI FRANCISZEK.

ODJAZD Z WARSZAWY LITERATA.

(Satyra.)

Objaśnienie. Dopisek współczesny, zapewne od autora pochodzący, jest tej osnowy:

„Satyra ta napisana po opuszczeniu Warszawy przez Kaj. Węgierskiego, wielkich nadziei rymotwornego Geniusza. Uważać należy, że od czasu przestania jego satyrycznego pióra, duch literatury stygnąć począł i późniéj nikt się nie uformował na poetę szczęśliwego.“

W satyrze tej zuważyłem tę osobliwość, że składa się z dwóch części. Cały wstęp jest przerobiony z satyry: I. Boala: Damon ce grand auteur dont la muse fertile, — i to stanowi część pierwszą; kończy ją słowy:

Lecz została Warszawa — znał dobrze tę panię
I takie też zostawił dla niej pożegnanie.

Odtąd zaczyna się druga część, która jakby wypowiedziana słowy samego Węgierskiego. Czyżby przytoczony dwuwiersz można rozumieć tak, że Zabłocki do gotowej pożegnawczej satyry Węgierskiego, dorobił tylko wstęp według Boala? Dalsza osnowa satyry nie trzyma się wcale Boala, ledwie kilka zdań z niego bierze. Środkowa jej część obszerniej omawia ten sam temat, który już raz poruszył Węgierski w poezyi: „*Do Wierszopisów*“. Zakończenie zaś wprost Węgierskiego osoby dotyczy, który, jako praktykujący w Depar-

tamencie Sprawiedliwości, mógł mieć nadzieję karjery na Patrona.

Aryst, ów sławny autor, ów pisarz do wzoru,
Nie nudny gotowalniom, chwalony u dworu,
Ale że się majątek ne tem, jego kończy;
Nie mieć futra na zimę, na lato opończy,
A z tą sławą, pod której upada ciężarem,
Często swój obiad kończył wodą i sucharem;
Sprzykrzywszy sobie wreszcie te smutne koleje,
Pracy, potrzeb istotnych, a płonnej nadzieje,
Zadłużony po uszy, z wszystkiego wyzuty,
Nieszczęście, nieumyślnie wpadł między bankruty.
W takim razie co począć?... Gdyby był bogaty,
Miałby za sobą prawo, miałby magistraty,
Miałby za sobą panów... Ale że gołota,
Na czole nie miał miedzi, a w kieszeni złota,
Mógł się pewno spodziewać ostrej sądu grozy:
Poczciwy, lecz ubogi, poszedłby do kozy.

Zniósł Aryst biedę: nie mógł znieść hańby i plamy.
Nim więc po niego pozwy przybito do bramy,
Nim go płatny od strony patron, czarnym wpisem
Przed sądem i rozprawą zrobił imfamisem:
W towarzystwie kostura, ubóstwa i sławy,
Musiał chudy literat nocą wyjść z Warszawy.
Baczniejszy niż Dyogen, nie chlubił się marnie:
Ów dzień z światłem, ten nie miał i w nocy latarnie.
Za szczęściem idzie przyjaźń; Aryst, bez intraty,
Nie miał się z kim i żegnać: nie było Achaty,
Ale była Warszawa. Znał dobrze tę panię,
I takie też zostawił dla niej pożegnanie.

. . . . . .

Kiedy to, co od wieków bywało zaletą,
Dziś znaczy, wzgardę, skoro kogo zwą poetą;
Lubo bym mógł, odpornej używając broni,
Tak niemi gardzić, jak też nami gardzą oni;
Ale wiem, chrześcijańskie co są sentymenta,

LXII

Wiem i z Pisma, że zły duch gadał przez bydlęta.
Pójdę raczej do lasu szukać jakiej nory,
Skryć się przed burgrabiami i instygatory.
Nie hartowna w stoickiej szkole moja cnota,
Nauczyłem się myślić, nie chcę skrobać błota.

Niechaj tu żyje Damon; urósł on z pośpiechem;
Znałem go. Był lokajem, dziś chodzi z felcechem;
Miał figurę, wpadł w oko, za czasem wszedł w modę.
Zaczął rośnąć przez stare, a dorósł przez młode.
Za to też nie ma cery, blady nakształt chusty,
Mnie podobien. Ale ja z biedy, on z rozpusty.
Niechaj tu żyje Chryzal; człek to znakomity,
Wchodził w traktat o przedaż rzeczypospolitéj,
Przedał swoich współbraci; zresztą dobrze żyje,
Paraduje, gra, szumi, oszukuje, pije.
Byłem raz w jego domu; serce mi usycha:
Podano z kościelnego wino pić kielicha.
Zadziwił mię ten widok. Choć niedawno goły,
Nie słyszałem, żeby nasz Chryzal kradł kościoły.
W tém mi się nawinęła cyfra w spodzie ryta,
Sekularyzowany był to Jezuita.

Niechaj tu żyją tacy, bo im się tu wiedzie,
Ale ja, co w Warszawie w mojéj pocznę biedzie?
Raz na zawsze poczciwą przedsięwziąłem drogę,
I choćbym złym być umiał, nie chcę, ani mogę.
Podłość nigdy nie będzie wadą mojéj duszy;
Na co nam być pokorym, że pan fircyk puszy?
Niech on sobie szaleje, niech szumi, niech traci,
Wezmę, jeśli mi co da, lecz mnie nie zapłaci.

Kto umie, może miéć zysk ze wszyskiego w świecie.
Kto uwierzy? zarobić można i poecie.
Pleban żyje z kolendy, mnicha żywi kwesta,
Jurystę kompromissy, pozwy, manifesta,
Lekarze z chorych, piękność z siebie, żyd z tandety:
Mają także obrywki swoje i poety.

LXIII

Od czegóż urodziny, zaręczyny, gody,
Dytyramby, sonety, madrygały, ody?
Od czego wieszcza sztuka? Pani podstolina
Pierwszy owoc miłości, porodziła syna:
Wieść ta zaraz w najdalsze przeszła okolice,
Zjeżdżają się odwiedzać krewni położnicę,
Biorą dziecko na ręce. W niém ledwie znać człeka;
Ci patrzą, jakie czoło, nos, oko, powieka.
Patrzą potém na ojca: powoli, powoli,
Staje na tém: że ten syn istny pan podstoli;
Nasz ojciec od radości nie omdlał bez mała:
Syn z lędźwi moich! Matka lepiéj to wiedziała ...
Ale to bagatela, natury to dzieło,
To dziecko, miało ojca, bo się urodziło.
Podobne? Niepodobne? Kto o to dba wiele?
Chyba matki. Poetów wieszczby insze cele.
Badać duszę, skłonności, cnoty, charaktery,
Wywróżać ztąd na przyszłość wielkie bohatery,
Wojowniki, statysty, ojczyzny obrońce,
Te są, moi współbracia, waszéj wieszczby końce.
„Orzeł pochodzi z orła: czysty ród sokoli,
„I twój syn, pan podstolic, boś ty pan podstoli.
„Zacność jego, zacności twych przodków nie wstyda:
„Ciesz się, Polsko! masz teraz swojego Alcyda.
„Nagotuj dlań buławę, z któréj się przed laty,
„Przez skromność wymawiały jego antenaty.
„On zachwianéj wolności umocni zasadę,
„Sławny w polu przez męztwo, w pokoju przez radę;
„Ustraszy okoliczne mocarstwa i króle,
„Ujrzy hardy bisurman nasz sztander w Stambule.
„A potém, żeby jego sławę wspominali,
„Dźwignie słupy żelazne na Dnieprze i Sali.“

Taka była Cheryla oda co do joty.
Wspomniały pan podstoli dał mu za nie złoty,
Druk go dziesięć kosztował, dziewięć poszło z dymem.
Odtąd Cheryl brzydzi się podstolim i rymem.
Mnieżby tak ladajakie uwiodły ponęty,

LXIV

Żeby z pod mego pióra łotr wychodził święty?
Jabym miał być tak lichym, tak nikczemnym płazem,
Bym klękał przed zrobionym od siebie obrazem?
Nie wyda się to na mnie. Styl mój na to twardy.
Mówię prawdę. I przeto mię sądzą żem hardy.
Prostota jest właściwym moim pismom gustem;
Krętosz, mówią, polityk; ja go zwę oszustem.
Klemens zawsze z różańcem, nigdy bez szkaplerza,
Ja się przecie w Klemensie domyślam szalbierza,
Myśl moja zgodna z sercem, a serce z językiem,
Filuta zwę filutem, Marka fanatykiem.

Ni do wierszy miłosnych mam siła zręczności.
Fircyk prosił mię o wiersz do swojéj jéjmości:
Kat mi nadał zasłyszéć, że ta jéjmość pewna
Była w pewnym sposobie blizka jego krewna.
Chciałem mu jednak służyć: już się wziąłem szczerze;
Rzecz dziwna, zbrykało się pióro na papierze.
Tylko co ją porównać miałem z Erycyną,
Potknęła mi się ręka, napisałem z Fryną.
Tyle to dokazują nad nami nałogi:
Ludzie u mnie są ludźmi, u pogan są bogi.

Ale, rzecze kto, po co tak myśléć zuchwale?
Prozelitów szczerości pełne są szpitale;
Można puszyć, kiedy jest majątek po temu!
Pokornym być, pokornym trzeba ubogiemu!
Pokora mury łamie, dawne to przysłowie:
Przez ten mur, dobrze wielcy znaczą się panowie.
I Arystyp filozof, choć tak wielkiéj duszy,
Kłaniał się, Dyonizy miał przy nogach uszy.
Kłaniaj się, kłaniaj, bracie! taki dziś ton świata!
Wyszydzono szczerością tchnącego Sokrata,
Ze wzgardą potém bogów, pojono cykutą;
Gardził on pono ludźmi, za to go otruto.

Niedość to dobrze pisać. Kto ma twarde krzyże,
Kto się kłaniać nie umié, głodny łapę liże.

Nadstawiaj się, pochlebny, łżyj, przekładaj modły:
Byłeś dolę poprawił, bądź choć na czas podły.
Jeśli cię nie wspomogą te środki, nie zgubią,
Wielcy, choć się zrażają, jednak podłość lubią.
Aliż wskórasz, aliż się w dobréj skłonisz porze,
Jużeś pan: już w dostatku, już jesteś w honorze,
Już i sam patrzysz z góry. — Aryście powoli!
Nie mżeń się, żebym twojéj nie złorzeczył doli;
Szanuj swoich współbraci, miéj dla nich wzgląd winny;
Szlachetny ptak nie kala swój kątek rodzinny.
Choć ci łaskawsza, niż nam, przyświeciła gwiazda,
Z tegoś ty wzleciał, w którém my siedzimy, gniazda.
W równych byliśmy losach, w równym oba stanie,
Żebym o nich zapomniał, sam pamiętaj na nie.

Minęły wieki złote, zaszedł czas żelazem;
Dziś zasługa z fortuną rzadko chodzi razem.
Los wszystko dokazuje. Jakiemi zalety
Ten jegomość przesiadł się z kozła, do karety?
Czy mu rozum, czy cnota, te zjednały względy?
Sekret w tém: w jakieś ważne wchodzi facyendy.
Pewny minister, mając rzecz z obcemi dwory,
Bierał go do konsulty, jadąc na Fawory,
Gdzie oba pozdrowiwszy kuflem los Europy,
Na jednéj spoczywali łonie Ponelopy.
Z takich to często dola ludzka głupstw zawisła!
Widział kto, jak jest drobna w źródle nasza Wisła?
Tego paneczka można porównać z jéj nurty:
Mały i on, niedawno nosił po szwach burty.
Rok tysiąc siedemsetny siedemdziesiąt piąty,
Płodny w mitry książęce, margrabie i conty,
Pasował go rycerzem: znać też w nim panicza,
Misternie sam się wodzi, zręcznie trzaska z bicza.
Za cóż on, nie kto inny, wpadł fortunie w oko?
Krates pisze tak gładko, myśli tak głęboko:
Tyle pism pożytecznych w licznych wydał tomach,
Jakiż ma los? Obiadu szuka w cudzych domach.

LXVI

Nie ma nic, ani nawet nadziei majątku;
Wart pokojów, a nie ma Krates swego kątku.

To prawda, że nareszcie Stanisław łaskawy.
Ile mu czasu na to różne dają sprawy,
Znając dobrze szacunek krajowych pisarzy,
Wchodzi w ich stan, zachęca, chwali, wspiera, darzy.
Nie można się na jego Muzom żalić czasy;
Jest August: ale jeszcze rzadkie Mecenasy.
Niewielu nawet księgi polskie czytać raczy;
Jakże to ma zachęcić, co pogardę znaczy?
Darmo! darmo! nikczemna literatów rola!
Mamże się przeto zrzec jéj, i chwalić Bartola?
Mamże na wykrętnego stan zmienić patrona,
I z ucznia Apollina być uczniem Iwona?
Przebóg! czy mi się zdaje? puls mój mocniéj bije;
Zamyślać o tem trzeba, miéć w głowie manije!
Jażbym miał być patronem? a to znowu na co?
Czy dlatego, że kontusz łzy sieroce płacą?
Że zgnębiona niewinność? zbrodnia ocalona?
Ach! na samo wspomnienie wzdrygam się patrona!
Z natury do litości skłonna moja dusza!
Od moru, głodu, ognia, wojny i ratusza
Niechaj mię mój Apollo broni i zachowa!
Czas się wybierać w drogę. — Warszawo! bądź zdrowa!

III.

PRZESTROGA PRZYJACIELSKA,

DO KSIĘDZA ŁUSKINY JEZUITY,

Z OKAZYI WARSZAWSKIÉJ. [1])

A mnie diabli do tego, że na Białej Rusi,
Nowicyat Jezuitów otworzon być musi,
Czemuś tego nie dodał, że Poseł Hiszpański,
Zaniosł o to Manifest pod Tron Watykański.

Straszliwie mnie obchodzi, interes Pombala, [2])
Na którego twa zemsta, zodyak obala,
Że się w Wideńskim klocu cud nowy objawił,
Że Witthoff dał dwa domy, nadgrobek wystawił.

Że Jan Nekader mimo Rzymskiego wyroku,
Był zwany Generałem a co więcéj w roku,
Że Hannel po Hebrajsku znaczy obrzezany,
Kot z Watykańskiej gałki, zleciał a bez rany.

Wiem, że Skarga wymowca był w swój czas udzielny,
Na co w trzysta lat pisać, że kamień węgielny
Pierwszy Jezuickiego, założył mieszkania
W Warszawie, za Zygmunta Wazy panowania.

---

1) Jest także z owego czasu inny wiersz do Łuskiny, zaczynający się:
A ty widzę strawnego żołądka Łuskino!
Łają cię a ty wszystko drwiącą zbywasz miną.

2) Porównaj: Gazeta Warszaw. 1780 z 20. lut. 26. kwiet. 3. Maja 7. 10. Czerw. 1. lipca i t. d.

LXVIII

Że Baka przybył z Mińska, i w tym zaległ grobie
Któryś Ty, czy Stryinski projektował sobie,
Na co o płci ozdobie roście te morały
Nie przyganiasz mu wprawdzie a text kładziesz cały.

Ja nie tego w Gazetach politycznych szukam,
Ledwie się nieraz z gniewu słusznego nie pukam,
O wojownikach bierze mnie ciekawość nowa,
Na co pojechał Cesarz, aż do Mogilowa?

A Ty mnie o Pombalu pleciesz te androny,
Strasznie to interesu tycze się Korony,
Drzesz Hiszpanów gdzie tylko znajdziesz okazye,
Anglik poncz w Gibraltarze od Rodnija pije.

I Meksyk się zbuntował, Karol zgłupiał wprzody,
Chciałbyś wszystkich Burbonów w łyżce topić wody,
Za co ta złość, ta zemsta, i to narzekanie,
W matematyku, człeku zakonnym, kapłanie.

Pozwalam wielu takich twego zgromadzenia,
Co mają wielką krzywdę z Zakonu zgaszenia,
Acz za granicą wszędzie pensye im dają,
U nas nadto Infuły i Probostwa mają.

Ty powiedz jaką krzywdę masz z takiéj odmiany,
Nie fryzujesz się dłużej, nie nosisz sutany,
Intratki znacznie większe niż wprzódy posiadasz,
Winko stare zapijasz i przysmaki jadasz.

Dąsać się, gniewać, płakać, Ty nie masz racyi,
Nieprzeszkadzać odprawiać nikt kontemplacyi,
Możesz stawać o piątéj koronki odmawiać,
I ćwiczenia zakonne z ferworem odprawiać.

Rzym ci tego nie broni, czyń co twoja wola,
Męcz się jako Alojzy, Kostka i Lojola,
A chcesz się między zacne mieścić pomocniki,
Pisz, oświecaj, albo też ucz matematyki.

Jeśli pragniesz zakonnym życie skończyć synem,
Zostań Dominikanem albo Bernardynem.

LXIX

Zaśpiewasz zrazu w chórze, w tem lektorem zatem
Zostaniesz Gwardyanem albo Jubilatem.

Lecz gdyś katolik szanuj wyroki kościoła,
I wolą Namiestnika Piotra Apostoła.
Wszakże go nieomylnym głosiliście zawsze,
Za cóż zdrożny gdy zdanie wydał nie łaskawsze.

Uczcie w Kraju zabranym a to Was zaszczyci,
Bądźcie obywatele na cóż Jezuici,
Byli i u Was zacni ludzie i Niebiescy,
Lachowscy, Bohomolce, byli Nagorczewscy.

Lecz też to nie o wszystkim Zgromadzeniu mówię.
Byli Malagrydowie są i Łuskinowie,
Wielkiemi nieśmiertelną piszesz literami,
Katarzynę, że chce się opiekować Wami. [1])

Że cię też stan zakonny nie nauczył przecie,
Jak trzeba głupią zemstę poskramiać na świecie,
Jak wielką jest podłością podchlebiać nikczemnie,
I złość swą okazywać tylko nadaremnie.

Będą jej nieomylnie Kolossy stawiali,
Ma cnoty, ale wszystkich Polak nie pochwali,
Pomnij przecie żeś Polak, miej w pamięci i to
Pierwéj, żeś obywatel był, niż Jezuitą.

Coż wskórasz choć ten Zakon jezuicki wrócą,
Rozumiesz, że się skarby rozdane powrócą,

---

[1]) W innym wyż wspomnianym wierszu, dobitniej wyrażono:

Czyż i ciebie zapłacił ten ... niegodziwy?
Czyli wprzód, nim ci przyjdzie Gazetę drukować,
..... na przód masz ją pokazować?
By ten hardy .... cap z wielkiemi rogi
Co może za granicą brał tęgie batogi
Przeczytał wprzód Gazetę czy w niej nie ma czego
Coby słabość znaczyło .....
Może zdjęty wdzięcznością ....
Która wiele waszemu zakonowi czyni,
Wielbięc jej sławne dzieła, wynosząc jej czyny
Czcisz wielkiemi litery imię ....

Nie ten to wiek Łuskino, świat był głupi wtedy,
Kiedyście korzystali z ciemności i biedy.

Pewnie się do Was teraz koadjutor wrócí,
Rogaliński bogatą starszyznę porzuci,
Nie rozumiej, że wszyscy natychmiast pospieszą,
Będziesz Prowincyałem, tylko nad Kościeszą.

Godzien chwały Bundala, a Warad nagany
Lescius i Elkober dzisiaj jeszcze znany,
O cnotach tylko mówisz a nie o obłudzie,
Wiemy, że Jezuici tacy byli ludzie.

Wyszło tyle uczonych ksiąg od Was, nie dziwy,
Wyszły też napomnienia tajne Aquwiwy,
Jako wdówki odwiedzać, święte czynić miny,
Pielgrzymować do grobu w Izbie Kanclerzyny.

A monarchini jednéj kto wybił skrypuły,
By Polskę rozdrapawszy dla swojéj szkatuły,
Przymnożyła bezprawnie intratki nie małe
Na większą stało się to (rzekniesz) Bogu chwałę.

Właśnie stąd chwała Boska powiększy się znacznie
Że wieża blachą kryta złożona dziwacznie,
Że Ignacy w lazurze i klejnotach stoi,
Że Makowiecka całéj w monstrancyą, swojéj —

Ustąpiła fortuny; ta tyle straciła
A zyskałaby, gdyby Szpital wystawiła,
Nie mieli byśmy tyle po ulicach gości,
Co krzyczą daj do Boskiéj Opatrzności.

Kończę, ty farbowanym widzisz wszystko pryzmem,
Lecz to się dziś na świecie zowie egoizmem.
Zapomnij moj Łuskino, żeś był Jezuitą,
Powściągnij tę nienawiść i zemstę ukrytą.

Pomnij żeś by Obywatel, że zemstę zawodzisz
Monarchy, gdy w Gazetach nam baje rozwodzisz.
Miał on cię za człowieka rozumnego gdy ci
Zlecił dzieje publiczne pozbierać na nici.

Narodowi na widok wystawić Polskiemu,
By użyteczne były Ziomkowi każdemu,
Wierz mi nikt cię nie lubi, ni za twoje minki,
Ani za śmieszne w twoich Gazetach przycinki.

Bądź Polakiem, staraj się, aby naród dzieje,
Interessowne czytał, znał odmian koleje,
Inaczéj będę prosił Mowińskiego że Ci
Komedyą z twych Gazet dziwnie śmieszną skleci,
Z dziejopisa w głupiego wyrobi cię żaka.
Przyjm przestrogę, a z rady popraw się Wieśniaka.

IV.

PORTRETY.

J. J. Kraszewski w powieści p. t. *Diabeł* (Wilno 1855, II, 282—290) przytacza *Zagadki* (czworowiersze satyryczne na dygnitarzy) powiadając, że są historyczne a przyznawane K. Węgierskiemu. Akcya powieści odbywa się od r. 1787—1788 to jest, gdy Węgierski już nie żył; umieszczenie go zatem w powieści i przyznanie mu autorstwa tych wierszy, nie wytrzyma krytyki.

Że jednak zarwał Kraszewski tradycyi o *Zagadkach* i o *Satyrach* na pewne osobistości, może więc być coś w tem prawdy, bo tradycya ta nie dalekiej sięga epoki. Byli tacy jeszcze nie dawno, którzy czasy te pamiętali. Rozjaśniając podanie J. J. Kraszewskiego, rozróżniam *Zagadki* od *Portretów* satyrycznych. — Węgierskiego Zagadki dochowały się, lecz są zbyt nieprzyzwoite. Jeszcze ujdą takie *np.*

Są też dla mężczyzn jakie żywe samołówki?
Odp. — Wdówki.

Kto też nie może nigdy prawdy pewnie dociec?
Odp. — Ociec.

Satyrami zaś były cztero lub sześciowierszowe portrety osób. To co Kraszewski przytacza, należy do pocztu portretów a nie zagadek; lecz że tych nie mógł Węgierski pisać bo już nie żył, zatem mógł tylko być twórcą innych portretów z czasu bytności swej w Warszawie. — Najgłośniejszym na on czas był Portret Trybunału z r. 1780. Ten przytaczam, wcale nie narzucając konieczności autorstwa Węgierskiemu,

Jeżeli jednak w spółczesnych rękopisach okazałoby się, że autor przy portrecie sędziego Poznańskiego wtrąca nazwisko Wilczewskiego, byłoby podejrzenie możliwem, że pokrzywdzony autor, szukał odwetu na niesumiennych sędziach. — I to jednak odpada w razie, jeżeli się kiedy wykryje, iż Węgierski w r. 1779, stale Polskę opuścił, czemu atoli dziś nie wierzę.

PORTRET TRYBUNAŁU 1780 ZACZĘTEGO W PIOTRKOWIE 1. WRZEŚNIA, A 1781 KOŃCZĄCEGO SIĘ.

Prezydent. [1])

W sądzeniu sprawiedliwy, i nic nie uważa,
Czy kto kontent z dekretu czyli się uraża,
Byle Prawo zachował, ocalił sumienie
Nic na ukłony nie dba, na listy proszenie.
Łagodny dla kollegów, i ludzki w swym domu,
Boleje na bezprawia, nie przykrzy nikomu,
Kocha szczerze Marszałka otwarcie szacuje.
By go wszyscy Koledzy kochali pracuje.
Lecz niesfornych półgłowków kto zjednać wydoła
Prędzej kto kwadratowe znaleść może koła [2])
Łoży zdrowie, fortunę, by szły dobrze sprawy
Lecz w tym komplecie trudno, by dostał tej sławy.

Marszałek.

(Kaj. Wołoczkiewicz Olizar, Stolnik koronny z Wojew. Krak.)

Dumny jest na Ratuszu, a w domu wspaniały,
Tkliwy ale wylany dla przyjacioł cały.
I dla tego pobłądzi czasem w rozsądzeniu,
Bo dla przyjaźni idzie przeciw przeświadczeniu.
Ma rozum, obrót, dowcip i inne przymioty,
Z cnotliwymi doznałbyś zawsze jego cnoty,

---

[1]) Nazwiska jego nie wykryłem. Innych odsłaniam.

[2]) Alluzye do zaciekłego sporu Eug. Corsonicha o wynalazek kwadratury koła trwającego z Janem Kocem i innemi od r. 1774 do 1787.

Szuka wszelkich sposobów by miał przyjaciela
Każdego z swych kolegów, lecz to żądać wiela; —
W zgromadzeniu szumitów i pijaków gminie,
Prezydenta że zyskał przyjaźń, wszędzie słynie,
O jakby ci dwaj ludzie w odmiennym komplecie,
Dali cnoty obrotu pamiątkę na świecie.

Deputaci duchowni.

Kujawski [1]) Kamieniecki, Chełmski [2]) choć siedzieli,
Co o sprawie mówiono prawie nie wiedzieli;
Poznański [3]) nadto żywy i nagany godny,
Choć nie ubogi, przecie udaje że głodny.
Płocki [4]) dosyć rozumny i poczciwa dusza
Nie leni się, choć stary chodzi do Ratusza,
Łucki [5]) ma rozum lecz frant, miej się na baczności
Bo cię sztucznie oszuka przy wszelkiej grzeczności.

Krakowski.

(Karol Głębocki, Vice Ssgr. Nowomiejski.)

Wielki humor a przytem wielce jest obłudny,
Nieroztropny i przykry i w racych nudny,
A podług uprzedzenia częściéj sądzi sprawy,
Wino czasem i karty miłe mu zabawy.

Poznański.

(Fel. Wierzchlejski, Pisarz ziemi Wschowskiej.)

Dla Wielzeńskiego [6]) sprawy i dla ożenienia
Obrał się Deputatem lecz nie dla sądzenia,

---

[1]) Marc. Chyrzewski. Kanon. i officyał Kujawski.
[2]) Fab. Daniłowski. Kanonik.
[3]) Klem. Walknowski Kantor Pozn.
[4]) Fran. Małowieski. Archidiakon.
[5]) Stan. Stecki. Kanonik.
[6]) Rękopis który cały bałamutną ortografią pisany i przekęca wyrazy, przekręcił i tu nazwisko, bo czytać je można bądź Wieczeński bądź Wielzenski, jedno i drugie fałszywe, bo takich rodzin w Polsce nie było. Być więc może że w pierwszym rękopiśmie stało *w* napisane w formie wydłużonego *n*. W ostatnim razie byłoby to nazwisko Wilczewskiego, to jest:

Mogłby być pożyteczny bo ma rozum prawny,
Ale swem ożenieniem, cały jest zabawny.

Sandomirski.

(Jan Werycha Darowski, Pis. Grod. Nowomiejski.)

Dla przyjaźni gotów jest zawieść swe sumienie,
Nie słucha przyczyn żadnych gdy ma uprzedzenie,
Stawa przy swojem zdaniu, uporczywie głosi
Że chce tak prawo, przecież to krzywdę ponosi.

Kaliski.

(L. Moszczeński, Starosta Ośnicki.)

Przymuszony od braci i ojca swej żony,
By został deputatem dla spraw ich obrony,
Grzeczny, ale też nadto na wszystko jest tkliwy,
Wspaniały i odważny i dość sprawiedliwy.

Gnieznieński.

(Wojciech Lipski, Star. Szymborowski.)

Na złą oraz na dobrą stronę go nakłoni,
Nieuważa, że prawo i sumienie broni.
Gotów jest zawsze swoje śmiało zdanie głosić
Dla przyjaźni, byleby najpierwej go prosić.

Sieradzki.

(And. Zaręba Cielecki, Wojski Mm. Szadkowski:)

Odłącz od Łęczyckiego a doznasz, sumienia
Że jest sprawiedliwego; czasem z uprzedzenia
Sądzi, ale nie zdradzi, zaufać mu można,
Impetliwy i miętki, więc odmiana różna.

---

osoby wiodącej od lat wielu spór z Węgierskiemi. Gdyby to sprawdziło się według innych rękopisów, ówczas domysł o autorze wiersza byłby bardzo przypuszczalny.

Łęczycki.

(Franc. Mączyński, Cześnik Łęczycki.)

Parobek jest po trzeźwu, burda gdy pijany,
Umie tylko wytrząsać butelki i dzbany,
Idzie ślepo jak Hetman i Pułaski każe,
I takowym postępkiem swój charakter maże.

Kujawski.

(Kar. Gorski, Miecznik Brzes. Kuj.)

Dzieciuch młody i nie wie jak ma żyć na świecie,
Słaby rozum w pojęciu, rezonuje przecie,
Przymówi nieroztropnie i lubi płeć białą
Upiera się, choć krzywo, psując sprawę całą.

Dobrzyński.

(Tom Chełmicki, Wojski więk. Rypiński.)

Tkliwy, nieszczery, mściwy ale zawsze grzeczny,
Czasami jest przyjaciel lecz nikomu wieczny,
Około lup(?) jak przydzie lub swe zdanie głosi,
Przecież by mu wierzono, mocno oto prosi.

Chełmski.

(Ign. Waw. Szorc, pis. Grodzki.)

Sprawiedliwy, byleby Hetmana żądania
Nie było, żeby sądził mimo przekonania,
Poczciwy, szczery i ma umiejętność prawa,
Ale czasem omylnie przeciw niemu stawa.

Wołyński.

(Onufry Breza, Kasztelanic Santocki.)

Idzie prawda za zdaniem marszałka, lecz byle
Jaka kobietka jemu umizgnie się mile,
Albo jakie dalekie kto czyni nadzieje
Zdradza, bo sądzi: jak mu i skąd wiatr zawieje.

Podolski.

(Ign. Stadnicki, Wojski męk. Latyczewski.)

Poczciwy, sprawiedliwy, lecz nie ma w swej duszy
Roztropności, gdy winem zalany mózg suszy,
Gada co mu do głowy przyjdzie nie do rzeczy,
Wytrzeźwiawszy nic nie wie i wszystkiemu przeczy.

Lubelski.

(Kajet. Skarszewski, Miecznik Urzędowski, Pisarz Grod. Lubels.)

Impetliwy, choleryk, prędko się zapali
A przez to nie jednego z Kolegów zażali,
Sądzi dość sprawiedliwie, przyjaźń czuje przecie
Obojętność, bo w sędziach rzadka jest na świecie.

Płocki.

(Józef Kraszewski, Pisarz Ziems. Zawskrzyński.)

Starzec dawno zapomniał co prawo pisane,
Pamięta tylko kiedy grzywny są skazane,
Idzie za cudzém zdaniem. Szczęście gdy za prawnym
Nie sędzią go nazywać, lecz starcem zabawnym.

Mazowiecki Starszy.

(Jakób Górski, z Ziemi Zakroczymskiej, Reg. Ziems. i Grod.)

Jest to człowiek poczciwy, zna Prawa naukę,
Dla przyjaźni on zrobi, przecie czasem sztukę,
Nie zdradzi bowiem, szczery, dobrze częściej sądzi,
Choć też w niektórych rzeczach swem zdaniem pobłądzi.

Mazowiecki Młodszy.

(Mik. Wołłowicz, z Ziemi Ciechanow: Starosta Przyłuski.)

Jest Deputatem ale nie patrzy Ratusza,
Szuka tylko, wesoła żeby była dusza,
Gdy napije, wymowny, aż do naprzykrzenia,
Wytrzeźwiawszy nie pomni swego przewinienia.

Podlaski.

(Józef Ign. Morzkowski, Sędzia Grodz Drobicki.)

Ma naukę i rozum i przytomność wszędzie,
Obrotny lecz nie zdradzi, gdy przyjaciel będzie,
Co obcego oszuka gdy pociągnie piorem
I sztuczkę mu wypłata pod innym pozorem.

Rawski.

(Stan. Morzkowski, Regent Wam. Sochaczewski.)

Jurysta, on udaje lecz to bajka czysta,
Ktoby go za to kupił strata oczywista,
Nieszczery i bałamut a przy tem uparty,
Lubi grzywny, nie wino, dzieweczkę i karty.

Bracławski.

(Kaj. Sobański, Cześnik Latyczewski.)

Sprawiedliwym go nazwie kto z postaci sądzi,
Lecz w grunt jego wejrzawszy to pozna że błądzi,
Iże jak go kto prosi, aże przekonanym
Mówi; czy sprawiedliwym tak może być zwanym.

Czerniechowski.

(Ant. Pułaski, starosta Warecki.)

Ani znaleść podobna większego oszusta,
Rządzić chce Trybunałem chociaż głowa pusta,
Burda oraz zdradliwy, niedotrzyma słowa,
Pańskim humorem nądzna jest nabita głowa.

Lament.

Sądzenia spraw najwyższa oddana jest władza
Tym to, u ktorych wszystko na tem się zasadza,
By tylko kaprysowi dogodzić swojemu
Choćby wydrzeć fortunę i honor drugiemu. [1])

[1]) Byłożby to alluzyą do Wilczewskich sporu?

O nieszczęśliwy Kraju co masz Sędziów takich,
Ktorzy są bez rozumu, sumień ladajakich.
Wy którzy Rządy Kraju macie w swojéj mocy,
Myślcie, by sprawiedliwość nie czuła przemocy,
Na tem wszystka pomyślność krajowa zależy,
Żeby każdy miał swoje, co mu się należy;
Niech zatem odtąd będą takowi sędziowie,
Co mają świętość w sercu, dobry rozum w głowie.

Do gniewających się o te Wiersze.

Dla czego się gniewacie nędzne bałasyki,
Że dla Waszej poprawy dyskretne wierszyki
Napisane, lękać się Wam zatem należy
By tego nie odkryto co więcej jak wieży,
Bo odsądzenia z Izby i wiecznéj niesławy
Warte i oddalenia od wspolnéj zabawy.
Złoto, srebro, zegary i opaśne woły
Mnogość w beczkach, w butelkach win starych na stoły,
Chcecie by każdemu powiedzieć to jawnie
Korrupcyę, praktyką by wam zadać prawnie.
Mruczy niedzwiedź gdy spadnie nań gałązka mała
Lecz się zaraz uciszy gdy to gałąź cała.
Jesteście wystawieni na widok całemu
Krajowi, więc potrzeba sprawić się każdemu,
Obywatel ma prawo badać się przyczyny
Za co sędzia dopełnia te i owe winy,
Za co źle sądzi, oraz nie przystojnie żyje,
Za co nie pilny w sądach, tylko gra i pije,
Szuka zatem wierszami poprawić ukrycie
Gdy nie pomoże, zrobi, co i nie myślicie.
Nie zgadniecie kto pisał i pierwsze i drugie
Wiersze, i nadaremnie tracić czasy długie
Będziecie; pewnie nie ten co wy rozumiecie,
Bo tu nie jest, [1]) wie przecie co jecie, pijecie.
Niechciejcie przypisować tych wierszów osnowę
Temu, co inną rzeczą zaprząta swą głowę,

[1]) To jest w Piotrkowie nie jest.

Wiecie że i na Królów satyry pisano
A kto je pisał przecie się nie dowiedziano,
Nie czyńcie bajek między swemi kolegami,
Nie rujnujcie przyjaźni waszemi baśniami,
Wiedzcie, że przed wierszami wasze czyny sławne,
Kto ma oczy i uszy ten pozna, bo jawnie,
Cała Wielka i Mała Polska o nich gada,
By takich Trybunałów nie mieć wszędzie rada.
Moje zdanie jest takie: korzystać z przestrogi,
Nie gniewać się, poprawić swoje złe nałogi,
Pamiętać na charakter, honor i na cnotę,
Odmienić w sprawiedliwość przewrotną robotę,
A na ten czas wychwalać będą Wasze czyny,
Ułomnością nie złością nazwą błędy, winy. —

Elogium Pułaskiego.

Czerniechowski zakłada całą swoję sprawę,
Aby gdy się podejmie wygrał djabeł sprawę,
Za nic prawo, sumienie, na tém wszystka chwała,
Że powolna zaklęciu jego Izba cała. —
Gdy napije, równego nie znajdziesz brutala,
Wytrzyźwiawszy przeprasza i u nóg się wala,
Junaka okazuje, lecz gdy mu się stawi
Zwolnieje i brutalstwa już więcéj nie prawi.
Zgoła, grunt od natury jest dobry nadany,
Ale w Moskwie w niewoli zupełnie zmazany.
Już znaku teraz nie masz religii i cnoty,
Obłuda, kłamstwo, chytrość, te teraz przymioty
Chardość z podłością idą, zawsze na przemiany;
Gdziesz się podział Pułaski co był wielkim zwany?
Ten, co za wiarę, wolność, bywał wojownikiem
Teraz sprawiedliwości jawnym rozbójnikiem. [1])

---

[1]) Obacz: Bartoszewicz w Encykl. Orgelbr. T. 21, str. 778, gdzie tak samo odmalowany.

V.

ZEBRANIE PRAC.

1) Mowa do J. Kr. Mci miana (1770) w Coll. Nob. S. J. od J. P. Kajetana Węgierskiego, starościca Korytnickiego, w 4ce pół ark. b. w. r.
2) List do wierszopisów, w 8ce str. 21—24 b. w. r. i m.
3) List o potwarzy do... w 8ce str. 15—20 b. w. m. i r.
4) List do człeka łączącego smak z umiejętnością i umiejącego cenić uczonych, w 8ce str. 5, b. w. m. i r.
5) List o równości losu ludzkiego, w 8ce str. 7—14, b. w. m. i r.
6) Listy do człeka łączącego smak, itd. j. w. o równości losu ludzkiego, o potwarzy, do wierszopisów, 8ce str. 24, b. w. m. i r.
   — Listy, edycya nowa (dwa nowe dodane). Warszawa, Dufour 1776 w 8ce str. 26. Te dwa dodane także osobno sprzedawano.
7) Organy, poema heroi-komiczne w 6 pieśniach, przez Teod. Weichardta, konsyliarza JKMci, Dr. nadwornego JW. Potockiego i starosty Olsztyńskiego, do druku podane r. 1784, w 4ce str. 5—30.
8) Xiądz pleban dyecezyi X. B. (edycya druga Organów) w Brunsberg, 1788 r. w 8ce kart 22 nieliczb.
9) Motesquieu: Listy perskie, przełożył K. Węgierski, tom. 2, 1785 r. 2ga edycya, Drezno (Warszawa) 1804 r., 8ce.
   (Jest także zapowiedziana edycya listów perskich r. 1777 jako tom 3ci dzieła: „Duch czyli treść praw", ale nie ukazała się).

10) Marmontel: Powieści moralne, Warszawa 1776—77, w 8ce, tomów 3, części 12; inna edycya 1805 r.

11) Pigmalion, scena liryczna J. Jak. Rousseau, wierszem przełożona. Warszawa, Gröll b. r. (1778) w 4ce k. 9. *Toż*, Kraków 1799, w 4ce, str. 19. *Toż*, Kraków, Mutecki 1823.

12) Pope: Listy Heloizy i Abeilarda, z franc. Colardeau wierszem polskim przetłumaczone; tłumaczenie pozostałe Kajetana Węgierskiego, Kraków r. 1795, w 8ce.

13) Uwagi w sprawie Węgierskiego z Wilczewskiemi, fol. ½ ark.

14) Zabawy przyjemne i pożyteczne t. IV r. 1771, t. VII r. 1772, t. X, t. XVI r. 1777 (prace Węgierskiego są tutaj: Porównanie Karola V. cesarza z Franciszkim I królem francuzkim, przekład K. W. S. K. — Oda do Naruszewicza. — Sny. — Dwa strumyki. — Róża i lilia. — Kozłowie. — Hylas.)

15) Poezye, t. 1, w 16ce, Lipsk 1837, Bibl. Klassyków, wyd. Bobrowicza. *Toż*: Warszawa 1872, wyd. Breslauera.

16) Wiersze różne, Warszawa 1803, w 8ce, w Zbiorze: Pisma rozmaite współczesnych, edycya Mostowskiego, t. 1, cz. II.

Bibliografia. Bentkowski Hist. lit. 1816, str. 304, i następ. Chodynicki, T. III, 318. — Euzeb. Słowacki Dzieła III. Witwicki. Wieczory Pielgrzyma, T. I, str. 100, 115. Rocznicki Tow. Przyj. nauk. Warsz. 1, 92. (Potocki Stan., T. XVI, str. 267—269.) T. I, str. 101 (Brodziński o Satyrze). Potocki Stan. Pochwały i Mowy. — Siemieński Luc. w Bibl. Warsz. 1850, T. IV, str. 474. Bibl. Warsz. 1851, T. II (Testament). — Życiorysy Znakom. ludzi Warsz. 1851, T. II, str. 147—150. — Przyjaciel Ludu, Poznań 1837, Rok III, str. 293—294 (z portrętem). — Dufour. O urządzeniu drukarń krajowych. Warszawa 1777. — Encyk. Orgelb. T. 26, str. 775—776. Siemieński Luc. Portrety literackie T. I, str. 147—185. — Jełowicki Al. Rocznik. Em. Pols. 1836, str. 77. Jocher, Obraz bibliogr. N. 2111 i 1737. — Styczyński w Dzienn. Wileńs. 1822, III, 338. — Przyborowski Walery, Kajetan Węgierski, studyum literackie. w Tygodn.

Wielkopols. 1870. N. 43—48. — Estreicher K. Kaj. Węgierski, w „Kłosach i Kwiatach“, Kraków 1869, str. 301. Matusewicz Pamiętniki. — Sozański, Imienne spisy 1866. Rękopisy Bibliot. Uniw. Jag. N. 2830 (Organy) 3760. (Pigmalion, Bajki) 888. (Organy, Satyra Fircyk.) (Naruszewicza?) Wyrok wieży. Do X. Łuskiny. Poprawa Warszawszy. Oddalenie się literata. List do przyjaciela. Portrety Elżbiet. — Rękopis Bibl. Akad. Umiej. 1618. (Poezyi 43.)

I.

ODY I LISTY.

I.

ODY I LISTY.

HILAS I CELERYNA.

Sielanka. [1])

Siostry Meońskie, mądre panny Helikonu!
Wdzięczno-rymnego proszę użyczcie mi tonu,
Abym mógł, kiedy wena przyjdzie w myśl obfita,
Naśladować prostego w słowach Teokryta,
A na wzór idyll jego, zabawki wieśniacze
I mym rymem opisać rozmowy prostacze.
Tam albowiem ma gniazdo wesołość niewinna,
Tam najmilsza zabawka lubo jest dziecinna;
Tam żadném nie stroskana myśl wolna staraniem,
Bogu ufa samemu i polega na nim.
Nie zna dworskich chytrości, ani dołków kopie
Pod drugim, w niewinności wzrastające chłopię:
A mając obyczajów dawniejszych zabytki,
Pędząc życie w mierności, nie wie co są zbytki.
Tak byli wychowani Hilas z Celeryną,
Piękny pastuszek z niemniéj nadobną dziewczyną.

---

[1]) Ta Sielanka, drukowana w tomie XVI „Zabaw przyj. i pożyt." w r. 1777, i w edyc. Mostowskiego str. 363; dalej, Oda do Naruszewicza, i Wiersz pierwszy do Trembeckiego, są płodami najwcześniejszej muzy Węgierskiego.

Dowcip był w obu wielki z chęcią do roboty,
I wszelkie w nich chwalebne zakwitały cnoty;
A że rodzice onych dobrze z sobą żyli,
Z tejże saméj przyczyny dzieci się lubili.
Pilnował zawsze Hilas, by przy Celerynie
W jednejże trzodę swoją mógł pasać dolinie:
Szukał zawsze sposobów, by mógł z nią rozmawiać,
Gdyż mu najmiléj było z oną się zabawiać.
Czy piękną konwalię ujrzał w czystym lesie,
Czyli różę szkarłatną, te jéj w darze niesie;
Czy ułapił wiewiórkę młodą, gdzie na dębie,
Czy mu się śnieżne w gnieździe wylęgły gołębie,
Czyli najtłustsze jagnię, czyli w srokaciny
Upiętrzoną sarneczkę, to dla Celeryny
Chował wszystko: jak jeno z nią się zejdzie prędko
Tą łagodną przyciągnąć chce do siebie wędką.
Ale ona ostrożna, rozmów z nim unika,
I co najdaléj zawsze stroni i umyka.
Martwiło to pasterza, że szły w niwecz dary,
Że zimnie przyjmowano te jego ofiary.
Szukał pory, ażeby mógł jéj wytłómaczyć
Myśli swoje, a razem i affekt oznaczyć.
Raz, kiedy na zielonéj i wesołéj trawie
Z kwiatków wieniec wiązała sobie ku zabawie,
Ażeby otoczywszy nim wianeczek w koło,
Jasno-złote tém mogła swe ozdobić czoło:
Przypadł Hilas z doliny, i kiedy już ona
W ucieczkę się udawać zaczęła strwożona,
Zatrzymał ją i rzecze: — „Stój, patersko miła,
Nie wiem, czemubyś dotąd odemnie stroniła?
Usiądź proszę, a ja ci, gdy dowcip wspomoże,
Umysł mój i przychylność kruciuchno wyłożę.“
Spuściła na te słowa ku ziemi źrenice,

I wstydem zrumienione okrasiła lice.
— „Puść mnie, rzecze, mój drogi Hilasie, puść proszę,
Niechaj żadnéj na sercu miłości nie noszę;
Puść, jeżeliś przyjaciel, bo kiedy się zbracę
Miłością z tobą, dni me wesołe utracę.
Czy ci nie dosyć tego, żem ci się z przyjaźnią
Oświadczyła? i tomem czyniła z bojaźnią.“
— „O! piękna Nimfo, zatém rzekł Hilas, jak żywy
Jestem, nie byłem jeszcze nigdy tak szczęśliwy.
Niech wszystkie przeciwności razem mnie otoczą,
Zawsze mnie wesołego odtąd ludzie zoczą.“
Taką bawił rozmową Hilas Celerynę;
A słońce opuszczając tutejszą dziedzinę,
W podziemne uchodziło kraje, i szarawy
Wieczór, niósł morską rosę na zielone trawy.
Więc oni porzuciwszy te rozmowy wspolne,
Gnali w dom ciche owce i capy swawolne:
A sami do koszarów zagnawszy swe trzody,
W miękkiém spaniu, z gorąca szukali ochłody.

DO JMCI XIĘDZA ADAMA NARUSZEWICZA.

S. J.

O małém ludzi uczonych poważaniu.

ODA. [1]

Ty, co pegazem jeździsz koniem bystrolotnym,
Choć płynie wena w wierszu sercem tak ochotném,

---

[1]) Drukowana, w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ tom VII, rok 1772.

Iż to każdy przyznaje i każdy powiada,
Żeć muzy fortytują, Febus lejcem włada!
Ty, czy w twe ręce weźmiesz bardon złoto-gwary,
Czy wdzięcznym tonem głośne dąć zaczniesz fujary,
Pienie twe niezrównane na wzór Orfeusza,
Serca skamiałe ludzi najtwardszych porusza.
Jeśli wojny chcesz stawić rozjadłość zażartą
I na mord ludzi z prasy piekielnéj wywartą
Złość niehamowną, widać jak gdyby na jawie
Jak na się draby sieką, jak się tłuką krwawie.
Kiedy władogromego opiewasz Jowisza,
Który w swych rządach nie chce cierpieć towarzysza,
Zda się, że niebo, kuty z nieułomnéj stali
Z strasznym grzmotem na sobie, żartki piorun wali.
Lecz kiedy zapalczywość złożywszy na stronę,
Słodko-brzmiącéj twéj lutni dasz głosy pieszczone,
Serce jako wosk taje, a dusza dotkliwa
Podług twéj woli na płacz lub śmiech się zdobywa.
Powiedz, czém się to dzieje, że wiek tak uczony,
Tylu dzieły ważnemi, z tylu ksiąg wsławiony,
Wiek, co sobie zasłużył na mądrego imię,
W małéj przecie rozumnych ludzi ma estymie?
I tak jest ciężko na to, i tak mocno chory,
Że go ni twe Satyry, ani Monitory,
Przez ośm lat z tego błędu, z téj głupiéj ślepoty
Wywieść nie mogły, kiedy trwa w niéj aż dopóty.
Mnie się zda, że gdyby kto i Zoila wzorem,
Z obosiecznym nań za to targnął się ozorem,
I wściekłym za szaleństwo takie ciskał jadem,
Z większą byłoby klęską i z większym upadem.
Tak rodzaj ludzki zły jest i tak jest zepsuty,
Że go już nie ukrócą najmędrsze Statuty.
Wy gadacie, on swoje czyni, i nagany

Wszelkie, są to groch próżno na ścianę rzucany.
Darmo; niechaj się kto chce na dowody sili,
Pewna to prawda, która nigdy nie omyli,
Że przy kim są pieniądze, przy tym też zostawa
I honor, i zaszczyty, i urząd, i sława.
Dla czegoż ludzie nętą pobudzeni marną,
Do nauk się z niesytą chęcią wszyscy garną?
Rojąc w mózgowni szczęścia nadzieję omylną,
Chcą być doskonałymi przez pracę usilną.
Więc mądrego Platona jedni tknięci duchem,
Zmarłą Ojczyznę dzielnym pragną wskrzesić ruchem.
Drudzy, snując na oko jéj świetne zaszczyty,
Wertują sławne dzieje Rzeczypospolitéj.
Inni, rachunkiem biegłym, niebieskie obroty,
Jasne gwiazdy i okrąg mierzą słońca złoty.
Ci uczą jak powinien czynić pan troskliwy,
By hojny plon zasiane wróciły mu niwy.
Ci z wspaniałym Pindarem spore kroki stawią,
Inni słodką wymową imię swoje sławią.
A każdy z nich czy w starym wieku, czyli młody,
Pragnie szczęścia dla siebie, jak jakiéj nagrody.
Choć cnota sama z siebie, podług mądrych zdania,
Powinna wzbudzić ludzi do jéj poważania;
Jednak mało się znajdzie tak wysokich myśli,
Coby z tego powodu kochali się ściśléj.
Wielu chce, by w Ojczyźnie wzrost brały nauki
I żeby w niéj kwitnęły wyzwolone sztuki;
Lecz żaden, widzę, na to nie daje baczenia,
Co najzdolniéj pomaga do ich rozkrzewienia.
Ty, co wzbiwszy się w górę lotnemi skrzydłami,
Aż pod modremi bystro bujasz obłokami,
Rzuć też przyjazném okiem na mój rym ubogi,
A już go nienawiści ząb nie ruszy srogi.

Tobiem winien przezacny mężu, mówię szczerze,
Że me barki już miękkie kryć poczyna pierze,
Które, żeby w powiewne mogły porość skrzydła,
Żądza we mnie gorąca i chęć nieostydła.

DO STANISŁAWA TREMBECKIEGO

Szambelana J. K. Mości. [1])

Szczygieł między kanarki w ptaszarni zamkniony,
Słabym głosem przetwarza melodyjne tony;
Gdy się ozwiesz słowiku, nócą drudzy ptacy,
Lecz w rozpaczy zostawiasz znęcone do pracy.
Tobie poeto sławny dowcipem i gustem,
Należało się rodzić pod rzymskim Augustem;
Lecz jego rówiennika fortuna łaskawa
Chcąc uczcić, przeniosła cię w czasy Stanisława.
Czyli wiejskie piosneczki zadmiesz na fujarze,
Czyli na lirze zagrasz, któż lepiéj dokaże?
Horacego następco, komuż to zaszczytem
Będzie, gdy się z uprzejmym równasz Teokrytem?
Wielu się pnie za tobą, kiedy dogra ślizka
Zdradzając, z spadających daje pośmiewiska.
Ten, który chciał sto sążni bujać nad sokołem,
Potknął się i w szkaradném błocie ryje czołem.
Niezrażony przykładem i ja stawię stopy
Na podwójnym pagórku wdzięcznéj Kalliopy,
Jeśli mi rękę podasz dzielny przewodniku,

---

[1]) Ten wiersz w manuskryptach Akad. Umiej. z XVIII wieku, podany jest jako wiersz Trembeckiego do Ad. Naruszewicza.

Kierując moje kroki po twoim chodniku.
Wybij się nad obłoki, potém tak wysoko,
Że cię ledwie już dojrzy przytępione oko:
Ja chcę wieniec przyprawić pachnącemi ziółki,
Po najbliższym nadziomku zbierając fiołki.
Ty sobie po najwyższym parnasowym głazie
Na bystrolotnym rzeźko galopuj Pegazie:
Ja słaby, upragnionéj wkrótce dojdę mety,
Kiedy między piechotne wliczysz mię poety.

DO TREMBECKIEGO.

Ty, co niezwiędłém liściem uwieńczywszy skronie
Nie przestając, żeś usiadł na Parnasu tronie,
Zstępujesz do ciemnicy dziejów z oświeceniem,
Nowego światła darząc nasz naród promieniem.
Powiedz, przez jakie czary, jakiemi sposoby,
Nigdy się zazdrość twojéj nie śmie tknąć osoby?
I choć sława wyniosła imię twe wysoko,
Nigdy na cię zawistnych nie zmarszczy się oko.
Ja, który niżéj stojąc, miernemi przymioty,
Żadnejbym niepowinien dawać jéj zgryzoty,
Choćbym rad być ukryty, przez jakąś niedolę
Kochanych mych współbraci nadto w oczy kolę.
Ale się przyznać muszę: nazbyt miałem chęci
Uwiecznić się zawczasu w kościele pamięci.
Nie każdemu jednako fortuna łaskawa;
Jam szukał sławy, ciebie zaś szukała sława.
Niechaj pierwsza ozdoba lasu, dąb powstanie,
Trzymając nad tysiącem drzewek panowanie,
Każdy gałęzi jego szanuje i broni
I od upału słońca pod ich się cień chroni.

Ale niech wśród zielonéj i równéj darniny
Zdziebło się nowéj trochę podniesie krzewiny,
Zaraz to ściąga oko, a ręka złośliwa
Z pośrodku młodéj trawki z gniewem je wyrywa.
Żal mi losu autora, który zazdrość sprawił;
Kto chce, żeby do zgonu słodko życie trawił,
Niechaj siedzi spokojnie, niech nie bije w oczy;
Zgubiony, czyja sława na świat się wytoczy.
Czas, miejsce, okoliczność twe szczęście sprawuje,
Dzisiaj cię nienawidzi, jutro cię szanuje.
Tam gdzie szalony Pirron przez posągi słynie,
Sokrat prawdę objawia i trucizną ginie.
Boileau, ostry krytyk, na wszystko się dąsa,
Każdego po imieniu nielitośnie kąsa;
Ma spokojność, bo Ludwik wsparł go ręka swoją:
Za kim król, tego wszyscy zapewne się boją.
Kto jak ja, oprócz siebie nie ma wsparcia cale,
Powinienby przyjaciół robić, nie rywale.
Ale cóż? miłość własna nigdy niespokojna,
Żywemu dowcipowi przyzwoita wojna,
Przykrzą mu się nieznośne uprzedzeń okowy,
Coraz go w jego pracy cel zaprząta nowy,
I tak jest w swych odmianach jak kukułka płocha,
Która codzień innego miłośnika kocha.
Próżność jego bez myśli na sztych się wydaje,
Innym zabawką, panu tylko się złym staje.
Lecz dosyć już narzekać tym tonem płaczliwym;
Podobać się, nie jest to zbyt być nieszczęśliwym.
Czasem nam dość potrzebna bywa zazdrość cudza,
Do lepszego czynienia ta często pobudza;
Wirgili Mewiusza, Racine miał Pradona,
Stary Homer Zoila, a Voltaire Frerona.
Skrytych plotek i słabych żartów się nie boję,

Z niedołężnych zawiści drwinki sobie stroję,
Z możniejszych, jeśli którzy na mnie niełaskawi,
Czas i ziarno kadzidła to wszystko naprawi.

DO OGINSKIEGO,

Hetmana W. Lit.

Nie wiem prawdziwie mospanie hetmanie,
Co się na tamtym świecie zemną stanie.
Ksiądz Łuskina powiada i wierzyć mu trzeba,
Że ja pójdę do piekła, on prosto do nieba.
Cóż robić! kiedy w księgach mego przeznaczenia,
Tak stoi: wyrok losu ciężko się odmienia.
Żal mi jednak, że mnie tam zła prowadzi droga,
Bom ciekawy i radbym widzieć Pana Boga;
Jak poważnie na tronie z dyamentów siada,
Jak zręcznie bez ministrów tą machiną włada.
Bo jak moim rozumem słabym mogę sądzić,
Trudno kawałkiem ziemi, trudniéj światem rządzić.
Ale gdy pilnie sobie zważam z drugiéj strony,
Żem wcale do śpiewania nieprzyzwyczajony;
I choćbym był największém nabożeństwem zdjęty,
Nie w taktbym pewnie śpiewał: Święty, święty, święty!
Cefas, który jest na czele
Całéj niebieskiéj kapele,
Mówią, że jest zapalczywy;
Uciął ucho Malchusowi.
Jak mu się dawna cholera odnowi,
Mogę być w niebie z ręki jego nieszczęśliwy.
A potém, jeśli prawdę mam powiedzieć,
Nie mógłbym tam długo siedzieć,

Gdzieby mi w wieczór, w południe i rano,
Codzień to samo śpiewano.
Koncertem takim stęskniony,
Powiedziałbym aniołom: Skrzydlate stworzenia,
Czemu się wasz hymn nudny nigdy nie odmienia?
Czemu innemi Pana nie wielbicie tony?
On wam tak ładne główki i skrzydła porobił,
I w rozmaite pokształcił odmiany,
A żaden się przez wdzięczność na to nie sposobił,
Żeby był nowym hymnem powitany.
Jeśli pomiędzy wami geniusza niéma,
Niech się który na moment spuści do Słonima.
Grzeczniéj niż w Lota domu pewnie tam przyjęty,
Wstydziłby się, że śpiewał: święty, święty, święty;
A muzykę śmiertelną z swym równając chorem,
Nie wiem czyby nie został nieba dezertorem.
Ogiński! nim cię przyjdzie ten anioł nawiedzić,
Ja go muszę z pilnością koniecznie uprzedzić.
Muszę też w życiu mojém choć raz być szczęśliwy,
Widzieć ciebie w Słonimie; i te wszystkie dziwy,
W których smakować będą anieli i święci,
Podać pięknemi rymy do wiecznéj pamięci.

DO ALEKSANDRY Z LUBOMIRSKICH POTOCKIÉJ.[1])

W dzień jéj imienin.

Dzikaż to rzecz jest grzeczne kobiéty,
Kobiéty rozumne, zacne;
Szlachetne wprawdzie są ich zaszczyty,
Lecz ich pochwały niełacne!

---

[1]) Żona Ignacego.

Gdybym dziś której kasztelanowéj
Musiał obchodzić dzień święty.
Składałbym rymy, nie łamiąc głowy,
Zapałem wzgardy zajęty.
Pięknieby dla niéj było powiedzieć:
„Życzę uprzejmie jejmości,
„Żeby jegomość mógł w radzie siedzieć,
„Choć pełen głupstwa, podłości:
„Żeby po stokroć w przeciągu roku,
„Mógł świętą złamać przysięgę,
„A za nieprawe danie wyroku,
„Wart kary, otrzymał wstęgę:
„Żeby szukając zysków, nie chluby,
„Świadomy szalbierskiéj sztuki,
„Pomimo płaczu bliźnich i zguby,
„Wyrabiał sobie kaduki;
„Żeby do śmiesznych użyta braków
„Gorliwość jego nieszczera,
„Panosząc obcych, krzywdząc rodaków,
„Dała mu imię Nekera."
Te mając źródła płynnéj wymowy,
Trudu bym w rymach nie znosił:
Żeby pochlebić kasztelanowéj
Przestępstwa męża bym głosił.
Lecz pani, twoich pochwał wyrazy
Przykre są i niewygodne.
I trzeba zaraz krócić Pegazy
Chcąc myśli ciebie mieć godne.
Na twe wzgląd mając sprawy i cnoty
Wnet tkliwość człowieka wzruszy,
A chcąc twe wszystkie wielbić przymioty
Rozumu trzeba i duszy.
Wy więc, o sławne córki pamięci

Co te łączycie udziały,
Stosując pienia moje do chęci,
Raczcie me zdobić pochwały.
Nie głosem, jakim na sejmach krzyczą
Kasztelanowie smutni,
Lecz dajcie brzmiącéj z wdziękiem, z słodyczą
Anakreontowéj lutni.
A gdy już skończą wesołe strony
Ślubione wdziękom jéj pienia,
Niech poważniejszym głosem uczony
Febus me wesprze wielbienia.
Nie szukam ja tu rodu wywodów,
Bo by to wzięła za żarty,
Plemię to idzie z różnych narodów
Imię ma z Polski, krew z Sparty.
Mijam jéj skromność, jéj obyczaje,
Każdy jéj chwałę w tym przyzna:
Lecz co jéj chlubę Spartanki daje,
Wolność i święta ojczyzna.
Z niezmienném Polki obliczem znoszą,
Że los ich naród uciska;
Jéj umartwienie i żal przynoszą
Smutne ojczyzny zwaliska.
Niewiele ceni hołd mężczyzn tkliwy
Co sam wdzięk wielbi niewieści,
Lecz kto jest doli kraju życzliwy,
W piękném się sercu jéj mieści.
Gorliwa Polka, matka starowna,
Synowi ślady toruje,
Jak przodków sława każe szanowna,
Tak młody umysł wzoruje.
Uczy poczytać cnotę za bóztwo,
Śmiać się z fortuny dziwactwa,

Więcéj szacować zacne ubóztwo,
Niż źle nabyte bogactwa.
W najwyższym srogich losów ucisku
Obywatelem być zawdy:
Dla marnych ozdób podłego zysku
Serca nie przedać ni prawdy.
Cieszyć będących w smutnéj przygodzie;
Popędy dumy hamować,
Poważać równość w wolnym narodzie
I tylko cnotą górować.
Śmiałemi usty wynurzyć zdanie,
Które sumienie wskazuje,
Tym przyjaźń oddać i obcowanie
Których się umysł szacuje.
Czarne bezecnych Sejanów czyny,
I brzydkie gromić fortele,
Gnębić Werresy, gnieść Katyliny,
A naśladować Marcele.
Tak chowan, dzielne wróci nam męże:
W Annibala idąc ślady,
Wiecznie ojczyznę kochać przysięże,
A nie przenosić sąsiady.
Matki! niech wzór ten w was ducha wznieci
Obywatelek przykładnych:
Lub takie dajcie ojczyźnie dzieci,
Albo nie dajcie jéj żadnych.
Podłość, podległość, niedbanie chwały,
Wady wyniosłéj obłudy,
Te, ach! te dolę naszą zrównały
Z niedolą wygnańców Judy.
Niegdyś u świata zazdrości celem
Był Polak, z wolności hardy;

Przestał być wolnym obywatelem
I stał się celem pogardy.

DO JĘDRZEJA ZAMOJSKIEGO.

Komu naród układu praw swoich powierza,
Kto szacunek publiczny zasługą wymierza,
Kto umie złożyć urząd tak jak go sprawować,
Temu może Węgierski imienin winszować.
Nie żądam, byś był więcéj niż jesteś szczęśliwym,
Pierwsze szczęście umieć być zdatnym i poczciwym.
Ni ci nader długiego życzyć będę wieku,
Nieraz swą sławę przeżyć zdarzało się człeku.
Jeśli prawda, że jest Ktoś, co rządzi Niebiosy,
Powinien pewnie umieć szanować twe losy.
Czegóżby była nasza łatwowierność warta,
Gdyby skutkiem nadzieja nie została wsparta!
Ktokolwiek światem włada, Bóg, czy przyrodzenie,[1])
Jedno tylko dla ciebie mam do nich życzenie:
Gdy szczęścia nasze od twych nowych praw zawisły,
By cnotę wlać raczyły w Polaków umysły.
Nie jestem z tych, co przyszłość malują szczęśliwą.
Przeszłe dzieje boleścią rażą mnie dość żywą:
Częstom widział na sejmach zgromadzone stany,
Interesem z słabością miotane w przemiany.
Darujcie mi kochane Sarmaty raz jeszcze,
Że niedobrze po waszych sercach sobie wieszczę.
Znasz to już doskonale nieszczęsny narodzie,
Żeś się nadto w naganněj zakochał swobodzie,

---

[1]) Nie wątpi się tu o istności Boga, tylko się przywodzi rozmaite systemata.

Chce król twojéj poprawy, chcą ludzie cnotliwi,
Ale się temu pycha z chciwością przeciwi!
Ten co bezkarnie człeka wypędzi, zabije,
Rad jest gardzić prawami, pod któremi żyje.
Lecz może głos szczęśliwszy przeważy u ludu,
Może się Polska teraz doczekała cudu,
Może roztropne prawa przez ciebie pisane,
I przyjęte zostaną i będą słuchane.
Zagrodź drogę pieniactwu, téj stugłowéj hydrze,
Niechaj mi méj własności odtąd nikt nie wydrze,
I niech się nikt z tém więcéj w sądzie nie odzywa:
Ta sprawa jest nieprawna, chociaż sprawiedliwa.
Zakwitną twe ustawy, ja żyjąc pod niemi,
Będę cię wielbił wszędy ustami mojemi,
I potomkom pomiędzy największemi dziwy
Wskazywał cię: Oto jest Polak sprawiedliwy!
Teraz kiedy mię wszystko od wierszów odwodzi,
Możnego mi występku łykać się nie godzi;
A w pospolitych ludzi niezliczonym tłumie,
Nikogo chwalić szczery język mój nie umie.
To sobie za największą poczytuję sławę,
Kiedy mi przyznać raczą umysły łaskawe:
Że gdy gniew nieprzyjaciół jad swój na mnie sączył,
Pochwałąm Zamojskiego pisać wiersze skończył.

DO WOJNY.

Szambelana, Starosty Stanisławowskiego.

Pragnąłeś pieśni odemnie,
Nie spełnię twego żądania;
Przyjm tę odmowę przyjemnie,
Nie mam ochoty śpiewania.

Czas i przeciwność okrutna
Odstraja lutni méj struny,
Zewsząd dla mnie przyszłość smutna
I miłości i fortuny.
Tobie się szczęście uśmiécha
I miłość praw twoich słucha,
Twe serce darmo nie wzdycha
I król ci pozwala ucha.
A kiedy losu wymiarem
Same mi chęci zostają,
To dla mnie niemałym darem,
Że ci wyroki sprzyjają.

DO BIELIŃSKIEGO.

Myśl moja.

Piąty już lustr Bieliński zacząłem, a przecie
Nic dotąd nie użyłem dobrego na świecie.
Liczniejsze miał od moich wielki Cezar lata,
Kiedy płakał, że jeszcze nie był panem świata.
Mnie pewnie tym podobne nie frasują troski,
Nie świata chcę być panem, ale dobréj wioski.
Szczęśliwy, komu dziady za sadło i krupy,
Skąpo żyjąc, grosz na grosz zbijali do kupy,
Woli on, że się tego trzymali rzemiesła,
Niż gdyby byli wnieśli buławy i krzesła;
Bo może za pieniądze honorów być syty,
A nikt nie da szeląga na dawne zaszczyty.
Co do mnie, gdyby teraz, pókim jeszcze młody,
Liczne się po rodzicach dostały dochody,
Kontent z dobrego mienia sprawiedliwych względów

Nigdybym się nie kwapił do żadnych urzędów.
Piękna jest rzecz marszałek, gdy laskę podniesie
I głosem ministrowskim woła: Uciszcie się!
Ale dotkliwe serce na tę myśl truchleje,
Że czasem mimo woli krew niewinną leje.
Toż przyjemno, kiedy kto do kanclerstwa dożył;
Sprawiedliwy Zamojski pieczęć jednak złożył.
Miło jest w domu swoim mieć zaszczyt buławy,
Lecz czyż można w pokoju wielkiéj nabyć sławy?
Pomyśl no kiedy skarbem kto bogatym władnie,
Lecz imię nieskażone utrzymać nie snadnie.
Wielkim by to zaiste było mi honorem,
Być albo urzędnikiem, albo senatorem;
Ale do krzesła młoda ma jeszcze osoba,
Próżniactwo zaś urzędów mi się nie podoba,
Gdy ich po większéj części obowiązek wszelki
Częstować z nabożeństwem dziadów w Czwartek Wielki.
Przykładny to uczynek, lecz ten trochę stracił
Kto tę drogę do Nieba bogato opłacił.
Mnie dobre wychowanie i względna natura
Kazała naśladować ściśle Epikura;
Sądzić wszystkich równymi, dawać wiary mało
Temu, co kiedy będzie i co się już stało;
Dostatków i rozkoszy używać, lecz skromnie;
Nie dbać że chciwy dziedzic nic nie weźmie po mnie;
Utrzymać jednostajnie spokojność méj duszy,
Choć mnie starość siwemi włosami przyprószy;
Pogardzać, że mnie jady swemi potwarz chłosta,
Iść przed się, gdzie mnie wiedzie droga tylko prosta;
A kiedy dopełniając przyrodzone prawa,
Krew już w żyłach zwolnieje i życie ustawa,
Nie dbając jaki wyrok może wypaść z góry,
Oddać ciało nikczemne na łono natury,

Jak gdybym z méj kochanki zezwoleniem wspólném,
Po spełnionéj rozkoszy snem zasypiał wolnym
Tak nauczał Epikur będąc jeszcze młody,
Mając wszystkie potrzebne do życia wygody:
Cięższa jest w niedostatku tych reguł praktyka,
I łatwiéj naśladować owego Cynika,
Który w beczce zamknięty pędząc nudne lata,
Dziwem i obrzydzeniem stał się razem świata.
Mędrców takich gromady na każdéj ulicy
Więcéj niżeli kędy w téj mamy stolicy.
Mnie gdyby ten co może zmienić ludzkie stany,
Chciał policzyć przypadkiem jakim między pany,
Umiałbym z tą odmianą pewnie być szczęśliwy.
Najpierwéj twe Paryżu szedłbym widzieć dziwy,
I z źródła różnych zabaw czerpając po trosze,
Chwilebym na nauki dzielił i rozkosze,
Pókiby krew gorąca i potrzebne siły
Takiego mi sposobu życia pozwoliły.
Ale jakbym się tylko zbliżał do starości,
Gdzie mniéj trzeba uciechy, a więcéj wolności,
Tamby najpierwsze osiąść było me staranie,
Kędy ojczyzna Russa, Woltera mieszkanie;
Tam, wespół z pracownemi obcując Szwajcary,
Paliłbym tym dwom mężom niezgasłe ofiary,
I od brzegów *Genewy* rzekłbym sobie z cicha:
Darmo Polak do dawnéj szczęśliwości wzdycha!
Ale gdzie mnie uwodzisz obłędliwa myśli?
Próżno sobie mój umysł obraz szczęścia kréśli.
Trzeba zostać w ojczyźnie, w liczbie nieszczęśliwych,
Codzień się lękać zemsty ukrytéj złośliwych,
Chwalić wartych nagany, przed podłymi klękać,
Pod jarzmem najgrubszego uprzedzenia stękać;
Widzieć codzień nieuków mędrcami nazwanych,

I bzdurzących o cnocie, za cnotliwych mianych.
Bitnych Sarmatów ze wszech miar nieszczęsne plemię,
Niepewni posiadacze zostawionéj ziemie!
Nie sądźcie, że jesteście blizcy oświecenia:
Ledwie się z barbarzyństwa dobywacie cienia.
Jeszcze wam dotąd prawdy nikt nie chce objawić,
Życzę z serca, żeby to lepszy los mógł sprawić.

DO IGNACEGO POTOCKIEGO.

Dawniej prorocy przyszłość zgadywali przecie,
Dzisiaj nikt nie przepowie odmiany na świecie;
Jednak czy Twórcy mocą, czy dziełem natury,
Wszystko się przewróciło nogami do góry.
Nie śmiać się, chociaż się chce, nie płakać choć boli;
Zniesiono nieuważnie potomków Lojoli;
Na nieszczęście sąsiadów król nie jeden żyje;
Niemiec się za Anglików w Ameryce bije;
Dla mody, monarchowie po krajach się włóczą;
Francuzi codzień nowych systemów się uczą;
Polak cierpi i płaci; wzdęta wiatry Newa
Cofa się, i szkodliwie w miasto się rozlewa;
Horacyusza, major wojsk pruskich tłomaczy;
Dorant się już nie pyszni ani się junaczy;
Harpagon bale daje, paraduje, szumi,
I naszych elegantów bodaj nie zatłumi;
Tymanta chęć honorów i bogactw nie łechce;
Węgierski już nikomu prawdy mówić nie chce,
Już tylko na pochwały usta swe otwiera;
Tobie syn niespodzianie tak młodo umiera,
I kiedy w czułem sercu rodziców żal sieje,
Bierze z sobą do grobu narodu nadzieje.

Jeżeli śmiertelnikom wolno czynić wnioski,
Przyzwoitsze daleko nam, niż tobie troski;
To dziecię, pod roztropnym chowane dozorem,
Mogłoby się stać kiedy narodu honorem,
I dziedzicząc przymioty przez pomyślne spadki,
Wzięłoby rozum ojca, gust z wdziękami matki,
A widząc codzień w domu przykłady szczęśliwe,
Miałoby umysł stały i serce uczciwe.
Umarło, gdy mu takie los dary udziela,
Bo Polsce nie jest wolno mieć obywatela.

DO KSIĘCIA KAZIMIERZA PONIATOWSKIEGO. [1])

Pomiędzy gromadą wieńców
I ten dla ciebie zakwita,
Za którym naszych młodzieńców
Chęć się ubiega niesyta.

W pośrodku twojéj jesieni
Wiosenne rosną ci kwiaty.
Każdy się z wiekiem odmieni,
Tyś ten sam co i przed laty.

Wdzięczna miłość co ze statkiem
Ma czciciela w twéj osobie,
Bawi szybki czas ukradkiem,
Żeby nie myślał o tobie.

---

[1]) Manuskrypt XVIII w. N. 11618. w Bibl. Ak. Umiej. mieści to między płodami Trembeckiego. Jest też i inny wiersz Trembeckiego do tegoż: „Na dom nowy.“

Umiesz trzymać więzy miłe
Które na cię piękność wkłada,
I choć miłość traci siłę,
Przyjaźń w tobie nie upada.

Ty jeden masz talent rzadki
Że i w nowéj przeniewierce,
Przez niewidziane przypadki,
Dawnym wierne trzymasz serce.

Nie rozumiem, by w tę chwilę
Inna cię ponęta zwiodła,
Nadtoś się uwikłał mile,
By cię nowa żądza bodła.

Jéj wdzięki pewnym zakładem,
Że twa miłość jest stateczna;
Radbym, by twa tym przykładem
Przyjaźń dla mnie była wieczna.

NA WJAZD DO WARSZAWY SENATORA SZYDŁOWSKIEGO W ROKU 1778.

Nie chlub się z swoją wspaniałością Rzymie,
Kiedy do ciebie wjeżdżał władca świata:
Coś piękniejszego opowiem w mym rymie,
Wjazd pana z panów do nas tego lata.
Więcéj ludzkości znajdziesz w tym pośpiechu,
August nabawił płaczu, a ten śmiechu.

Rok minął jako pożegnał stolicę,
Zabrawszy z sobą powagę senatu,
By nią zaszczycał dalsze okolice;
Mądrość swą poznać dał całemu światu.

I gdy tu wszystko znikczemniało prawie,
Gust, piękność z sobą przywrócił Warszawie.

Pięknyż to widok gdy głowa w kołpaku
Sobolim, wzgląda z poszóstnéj karocy,
Z rzewnego, chociaż głodnego orszaku,
Harcuje każdy z całą resztą mocy,
Pilnie swą scenę pełniąc w owym czasie,
Jak miał zlecono sobie na popasie.

Niespracowany senator choć w drodze,
Dźwiga na sobie swéj godności znaki:
Wstęgi na piersiach, ledwie nie na nodze,
Opończa nawet wydaje kto taki,
U któréj gwiazda świeci się na boku;
Z tejże go poznać w nocy choć w szlafroku.

Że życie jego ojczyźnie należy,
Baczny pan pierwéj po nad mostem stawa,
A wprzód wierzchowiec tam i sam przecieży,
Doświadczy czyli bezpieczna przeprawa.
Czekać też trzeba było z półgodziny
Nim nadciągnęły z mażami słoniny.

Gdy tak pozbierał swoje karawany,
I napasł oczy ludzkie z tamtéj strony,
Jedzie na drugą w powagę przybrany,
Noga za nogą, dla zdrowia ochrony.
Aby zaś konie poważnego kroku
Nie rwały, trzy dni nie jadły obroku.

Wielka rzecz umieć łączyć gust z wygodą:
Tak pan nasz obrał poczet z bisurmanów,
Dzidki z jeżami niewidzianą modą
Noszący, czego żaden nie miał z panów.

I gdy pod górę końskie mdlały nogi,
Jeże służyły na miejsce ostrogi.

Najpierwsze w szczęściu Krakowskie Przedmieście,
Co oglądało takiéj pompy dziwy;
Pan nie chcąc czynić krzywdy ludzi reszcie
Na Nowe Miasto wiedzie krok leniwy;
Ztamtąd na Leszno, aż też cztery rogi
Zwiedziwszy miasta, zawitał w swe progi.

Księżna małżonka [1]) przykład płci niewieściéj,
Co sama jedna męża uczcić umie,
Z gronem potomstwa na najpierwsze wieści
Spieszy spotykać go tam gdzie rozumie;
Lecz krążącego nim schwytała w łapkę,
Długo musiała grać z nim w ciuciubabkę.

Cała Warszawa byłaby się zbiegła
Z powinszowaniem uczcić przyjazd miły,
Lecz pańska skromność w tém była przebiegła,
Że bryki, maże przystęp zawaliły.
Uwielbiaj i ty Muzo w skromnéj mowie,
Wstęgi na brzuchu, a kołpak na głowie!

---

[1]) To wyrażenie mylnie łudzić by mogło, że jest to satyra na X^cia Czartoryskiego, ktorego wjazd z całym dworem opisała Gazeta Warszawska z 30. Września 1778. Zaś o powrocie X^żny z Radzymina, doniesiono, iż wróciła d. 4. Września, zwłaszcza, iż w gazecie stoi, że prezentowała Księciu nowo narodzoną wnuczkę Zofię, Teresę, Adelaidę, Konstancyę, Wiktoryę, Teklę, Justynę. — Że jednak Szymon Szydłowski, Kasztelan Żarnowski, miał za żonę księżniczkę Woroniecką, zatem satyra ta istotnie odnosi się do niego.

DO KSIĘDZA WĘGIERSKIEGO.[1])

Mówiono mi i mocnom się z tego radował,
Żeś śmiało w ślady dobrych poetów wstępował.
Jak mi się mało zdarza widzieć i jak rzadko
Tych, którzyby rozsądnie pisali i gładko!
Tyle w Warszawie nudnych jest wierszy, że jeśli
Prawda, co mi o tobie znajomi donieśli,
Winszuję ci i radem chętnie o tém wiedzieć,
Żeś wart między lepszymi na Parnasie siedzieć.
Wiem, że pierwsze przepisy starasz się zachować,
Bez czego nikt w téj sztuce nie będzie celować,
Że w krótkich słowach myśli wspaniałych masz wiele,
Że słuchasz gdy ci dobrze radzą przyjaciele,
Żeś zwięzły, żeś nie twardy, nie dęty, nie podły,
Że cię nigdy błyskotki dowcipne nie zwiodły,
Że cię każdy rozumie, że masz smaku tyle,
By cię nawet kobiety mogły czytać mile,
Że w swoich wierszach nie masz słów czczych i składanych,
Ani gwałtem do sensu rymów nawiązanych.
Jeżeli więc tak piszesz, słusznie w Ukrainie,
Na Podolu, Wołyniu, imię twoje słynie.
Lecz powiedz mi, jakie ztąd mieć możesz korzyści?
Trochę pochwał, a więcéj pewnie nienawiści.
Żebyś się był nad brzegiem urodził Sekwany,

---

[1]) Zapewne do X. Tomasza Węgierskiego w Buczaczu, który drukował swe wiersze w latach 1778—1784. Ten wiersz przeto w r. 1778 lub pózniej pisany.

Byłbyś pewnie na świecie uczonym poznany;
Dzieła twe w holenderskich wybite drukarniach,
Po wszystkichby się zaraz rozeszły księgarniach,
Kupiłby cię uczony, by się z tobą bawił,
I głupi, by się w rzędzie rozumnych postawił.
Ale gdy cię pomieszał los między Sarmaty
Przez swój tylko znajome nierząd i przez straty,
Jakież ztąd obiecywać sobie możesz zyski,
Chociażbyś na Parnasie stopień miał nie nizki?
Dobrze to wiersze pisać, alę rzadko przecie
Choć najlepszy poeta znaczył coś na świecie;
I w téj niepoliczonéj wierszopisów kupie
Tyś jeden najszczęśliwy, smoleński biskupie!
Ty się zaś kanoniku nie możesz spodziewać,
Żebyś sobie pastorał mógł kiedy wyśpiewać.
Porzućże Apollina, i z większym honorem
Stań się jakiéj piękności dusznym dyrektorem;
Albo jeśli się sądzisz jeszcze nader trwałym,
Staraj się wdziękom jakim podobać zdawniałym.
Cięższa trochę powinność, przykrzejsza jest praca,
Lecz się rzucone ziarnko stokrotnie powraca.
Wkrótce zmienisz w fiolet czarną rewerendę,
Porzucisz dla biskupstwa ubogą prebendę;
A codzień coraz w wyższe wynosząc się sfery,
Będziesz zalegał krzesła i dźwigał ordery;
I na starość w lubieżnym spocząwszy seraju,
Pójdziesz jak święty biskup prosto ztąd do raju.
Nam świeckim nie uchodzą wcale takie żarty,
Zarazby nas w moc swoją zagarnęły czarty:
Lecz wy co z Panem Bogiem codzień rozmawiacie,
Co go codzień pijecie i codzień zjadacie:
Łacniejsza wam z nim zgoda: Aleksander szósty
Wam wszystkie te pomyślne wyjednał odpusty.

Gdyby księdza którego Bóg chciał sądzić ostro,
Nie sypiałem z mą córką[1]) rzekłbym, ani z siostrą,
Ziomkówem nie zabijał, monarchów nie wadził,
Za cóżbyś mię choć przy nim w niebie nie posadził?
Nie masz co na to mówić, i upewniam ciebie,
Że możesz żyć jak zechcesz, będziesz pewnie w niebie.
To są rady, mieszkańcze dzikiéj Ukrainy!
Radbyś ze stołecznego miasta mieć nowiny:
Lecz nie wiem wcale cobym ci miał donieść. Wszak ty
Znasz naszych panów kiedy jadą na kontrakty.
Ich dusze, ich sposobność, podłość i przymioty,
Na fraszki niepotrzebne niezmierne szczodroty;
Skąpi na dobre, pragną przedażą honoru
Wesprzeć smutne ostatki straconego zbioru.
A uczone obiady: znasz to może imię,
Gdzie połowa nie gada, a połowa drzémie,
W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa
Dowcipu, wiadomości i wina i mięsa.

Od Baltyckiego morza ku śnieżystem Tatrom
Wiedzą, że pan Bielawski otworzył teatrum[2])
I słusznie się tym chełpi zaszczytem niezmiernym,
Że był pono na ten czas, jak mówią, odźwiernym.
Gmin ubogich autorów na warszawskiéj scenie
Krzywdę czyni Talii, hańbę Melpomenie.
Jeden z nich, co przez długi czas swą wenę chował,
Mówią, że nową jakąś sztukę wygotował:
I z tego na zabawę potrafim korzystać;

---

[1]) Lukrecyą trzem mężom wydarł. Trzeciego córkę zabić kazał, a czwartego D'Est poślubić kazał. Wesele wyprawił przerażająco gorszące.

[2]) Porównaj Trembeckiego wiersz: Sąd Apollina, który jeszcze ostrzej w tej materyi szydzi.

On nas trochę ponudzi, my możem wyświstać.
Pełny śmiesznych konceptów pocieszny Łuskina,
Fanatyzmu nam jeszcze czasy przypomina.
Za to, że jezuitów wyrokiem obala,
Zły na Ganganellego, szkaluje Pombala;
I będąc w ostrzeżeniu każdéj wady pilnym
Powiada: że choć papież, Klemens był omylnym.
Nowe w naszém pasterstwie porobił niesnaski
Los najlepszéj aktorki, pięknéj Truskolaskiéj,
I pewny[1]) się tym chełpił najwięcéj honorem,
Że mógł być choć raz w życiu zwany protektorem.

Piękne nasze kobiety pochwał z wszech miar godne,
Tego roku nadzwyczaj zdrowe są i płodne;
Co dziwniejsza, iż świat się cały na to godzi,
Że się w téj liczbie cudze dziecko nie urodzi.

Mając od zabaw czasu wolnego kawałek,
Byłem u pana Lexa w przeszły poniedziałek,
Ale nie wiesz kto on jest? Oto ten jest, który
Otworzył nam gabinet tu literatury;[2])
Cały czas się przedemną i żalił i zgrzytał,
Że tam każdy więcéj pił aniżeli czytał.
Radbym, by cię te wszystkie nowiny bawiły,
By ci pożytecznemi moje rady były.
Nie myśl jednak, bym cię chciał od wierszy odwodzić,
Pisz, gdy możesz z fortuną Apollina zgodzić:
Pierwszy będziesz podwójną szczycił się zaletą,
Żeś był i dobrym księdzem, i dobrym poetą.

---

[1]) Pasterz?
[2]) 1782 r.?

DO ŁUBIENSKIEGO.

(Z wieży.)

Z puszczyków i sów mieszkania
Na wielki świat pisać trudno.
Ustawiczne narzekania
I czynić i pisać nudno.
W podłym ludzi nizkich tłumie
Przyzwoito losy winić,
Filozof skarżyć nie umie,
Umie tylko dobrze czynić.
Umie temu, co go gubi,
Wzgardziwszy, winę darować,
Ani się z uczynku chlubi,
Ani go też chce żałować.
Niechaj mi już nikt nie głosi
Te modele łaskawości,
Choć ich na pozór przeprosi,
Kryjomo wyrządza złości.
Ty, co moim nieprzerwanie
Byłeś przyjacielem wszędzie,
Niech ci świadkiem to pisanie
Méj wdzięczności świeżym będzie.
Nie będę ja ci tu kadził,
Przypodobania się celem;
Dwieś rzeczy rzadkie zgromadził,
Poczciwymś i przyjacielem.

DO NAKWASKIEGO.

(O pożytku nie mienia.)

Dziękuje tobie, mój panie Nakwaski,
Żem się zabawił wczoraj z twojéj łaski,
Bo ci się przyznam, że chociem nie letki,
Z tém wszystkiém lubię wino i kobietki.
Lecz na nieszczęście, niełaskawe losy
Dawszy gust pański, usunęły trzosy.
Przy miernéj jednak nie rozpaczam doli,
I milczeć zwykłem, choć mię coś zaboli;
Wolałbym prawda ja tak jak i drudzy,
Których być musim uniżeni słudzy,
Na giętkich prętach, w angielskiéj karecie,
Sześciu kucami wiatr pędzić po świecie,
Albo na dzielnym Turczynie zawodzić,
Bo zawsze lepiéj jeździć niżli chodzić;
Ale coż robić mój kochany bracie?
Jedni się w zamku, drudzy lęgną w chacie.
Nie wszystkich równie natura obdarza,
Nie nam to pierwszym nieszczęście się zdarza.
Ubóztwo czasem na dobro wychodzi,
I zbytek w ludziach często głupsta rodzi;
I stan ubogi godzien jest zawiści,
Ma i on swoje nad inne korzyści:
Nie będziem szaleć, bo nie mamy z czego,
Lecz też nikt błędu nie wskaże naszego.
Patrzaj, ów książę, panek zawołany,
Jaką ma sławę i jak jest wyśmiany!
Czemu? bo liczne dziedzicząc zagrody,
Życie prowadzić musi podług mody;
Przeto z konwiktu pobiegł do Paryża

I tam to naprzód zgrał się do halérza;
A chociaż jeszcze nic nie znał w swym kraju,
Musiał tam jechać przecie dla zwyczaju,
Bez doświadczenia, nauki, rozsądku,
Utracił honor z połową majątku.
Powrócił nazad, jakoż nie bez zysku,
Przywiózł gryz w kościach a nędzę na pysku.
Wzgardził ojczyzną i z niéj się naśmiéwa,
A w gnieździe własnem z wstydem przemieszkiwa.
Tak więc, dobrego plemię patryoty,
Stał się wyrodkiem narodu i cnoty.
Fortuna ludzi zwyczajnie odmienia
I śmieszne w głowie roi ułożenia:
Widzisz z owego co się stało teraz,
Co z nami chodził i przesiadał nieraz,
Jak posłużyły dubieńskie kontrakty,
Innemi zaraz zaczął stąpać takty,
Skoro się przeniósł z bruku do karety,
Stroi narowne jak rumak korwety,
Jak się nadyma z swojéj karyolki,
Śmiałem się ongi, aż mię sparły kolki.
Głowę na karku jak orzeł kieruje,
Nikogo nie zna, choć się przypatruje.
O równych nie dba, a niższych nie widzi,
Nie pomnąc na to, że z takich świat szydzi.
Chwała bądź Bogu, że mamy niewiele,
I z nas by może drwili przyjaciele.
Któż wie mospanie, czyby przez pieniądze
I w nas się inne nie wznieciły żądze?
Możeby i my posiadając zbytki,
Pańskiéj próżności stawiali przybytki,
Może by i my skarby tkali w mury
I mniéj potrzebne wznosili struktury ,

W których na pozór uboga prostota,
A wewnątrz zbytki i rozpusta złota.
Może by i my z kaprysu lub z mody
Wspaniałe chcieli wystawiać ogrody,
Wyspy cypryjskie, mrucząće fontanny,
W nich labirynty, świątnice Dyanny.
Wszyscyśmy ludzie podlegli odmianie,
Może by i my szaleli mospanie!
Bo któż dziś dobrze majątku używa?
Jeśli nie szumi, to w karty przegrywa;
A chociaż nędzarz od głodu umiera,
Któż na te jęki swój worek otwiera?
Lepiéj mieć mało, mierność cnoty cechą:
Można z pałaców śmiać się i pod strzechą.

DO JÓZEFA.

Zacny Józefie, niechaj się nikt u mnie
Nie chlubi próżno, ni wynosi dumnie:
Że się urodził lub został książęciem,
Hrabią, baronem, lub margrabi zięciem;
Że liczne włości i zamki posiada,
Które nań zlała krew, przemoc, lub zdrada;
Że go wspaniałe obejmują gmachy,
Ściany marmurem, złotem tkane dachy.
Cały się świeci natchniony gwiazdami,
Różnych kolorów powiązan wstęgami;
Pieczęcią, laską pyszny, lub buławą,
Hagę i Lejdę swą napełnia sławą;
W ręku swych trzyma serce swego pana;
Pochlebstwo przed nim zgina swe kolana,

I podłym bluszczem uwieńczywszy skronie,
Los w nim ubóztwia przez ofiarne wonie.
Ślepego trafu właściwe to znaki,
Prawéj wielkości blask wcale nie taki.
Ten jest prawdziwie wielkim mężem u mnie,
Kto samym sobą kierując rozumnie,
Chęci i żądze gdy jak człowiek czuje,
Nie one jemu, lecz on im panuje.
Marnym przepychu blaskiem gardzi śmiało,
Niewiele pragnie, przestaje na mało,
Ani co próżność uwielbia i ceni,
Zalety szuka w czczém świetle kamieni.
Świetnym go honor nie razi widokiem,
Równém na nędzę w szczęściu patrzy okiem.
Nikłego chwały nie ugania cienia,
Ani próżności zna w sobie nasienia.
Zdzierstwem i krzywdą bliźniego się brzydzi,
Ratuje gdy go w nieszczęściu być widzi.
Nie wie co słuszność lub grzeczność przedajna,
Ani co chytrość czasom tym zwyczajna.
Niższych hardemi nie depce oczyma,
Ani się w złotym powozie nadyma.
Pełnić powinność swéj chęci ma celem,
Wie kogo, komu, mieć, być przyjacielem.
Dobro powszechne nad własne przekłada,
Nie zna co chytrość, fałsz, interes, zdrada;
Krajowi służy wiernie i z ochotą,
Woli być, niźli zwać się patryotą.
Z zasług się swoich wielkości nie chlubi,
Ni ich ztąd liczy, że ojczyznę gubi.
Nauk i kunsztów zna i kocha wdzięki,
Cenić je umie hojnością swéj ręki.
Dobre i w innych szacuje przymioty,

Pozorność zawsze rozróżnia od cnoty;
Ani zazdrosny, ani zemsty chciwy,
Ani obłudnie święty i gorliwy.
Pełen litości nędzę wyrozumie,
Hojnym gdy pora i ludzkim być umie.
Nie dumny w szczęściu, nie podły w potrzebie,
Zna świat i ludzi, a najpierwéj siebie.
Na srogość losów nie łaje, nie fuka,
W krajowéj burzy swych zysków nie szuka.
Nic go nie smuci, nie trwoży, nie łudzi,
Ani sam sobą, ani innych nudzi.
Kontent z téj, w jakiéj los go chciał mieć doli,
Dobrym być raczéj niż szczęśliwym woli.
Takowych mężów o jakże zbyt mało!
Szczęśliwyś, jeślić widzieć się ich dało.

DO MONITORA.

(Bohomolca.)

Ardua per praeceps gloria vadit iter.
Ovid.

Naprawco obyczajów, którego uwagi
Nierównej są u wszystkich i ceny i wagi!
Pojętne serca, smak w nich i słodycz znajdują,
Zepsute, obrzydliwość i wstręt jakiś czują.
Zostaw ich w téj gorączce, a miéj sprawę z tymi,
Którzy są przyjaciołmi i prawdy i twymi.
Niech cnota pożytkuje, niech się złość rodziera,
Z tegoż kwiatka miód pszczółka i pająk jad zbiera.
Lecz przystąpmy do rzeczy. — Radzisz, byśmy sławy
Prawidłem, wszystkie nasze wymierzali sprawy:
Pozwalam, z najmędrszymi w tém się zdaniu zgadzasz,

Lecz radbym wiedział, na czém tę sławę zasadzasz?
Każdy i najpodlejszy człowiek z tém się głosi,
Iż sławę kocha, iż ją nad życie przenosi;
Ale każdy ją w innéj maluje postaci;
Jeden jéj przez to szuka, przez co drugi traci.
Harpagon, który w pośród bogactw żyje w nędzy,
Zasadza ją na mnóztwie ukrytych pieniędzy,
I mniema, że tém większy szacunek posiędzie,
Im więcéj źle zebranych dochodów mieć będzie.
Marnotrawca przeciwne ma zdanie w téj mierze,
Bez nadziei oddania od każdego bierze;
Rozprasza majętności, i rozumie głupi,
Że złotem pożyczaném sławy się dokupi.
Szumny junak zakłada onéj pozyskanie
Na mocnym fordymencie i grubym kaftanie;
A gdy krzesze żelazem brukowane drogi,
Mniema, iż promień sławy leci mu pod nogi.
Pijak kiedy zagrzeje łeb, bohater wielki,
Szuka sławy usilnie aż na dnie butelki;
I jakby heroizmu jakiego dokończył,
Chlubi się, że rzęsiste kielichy wysączył.
Dama przy gotowalni cały zaszczyt stawi,
Gdy wdzięków lub pożyczy, lub tylko przyprawi;
Zda się w tém upiększeniu gasić cuda świata,
A sława taka bardzo krótkie żyje lata.
Dumnomyślny postawę z twarzą górnie byczy,
A nawet ton mówienia z gestem pompatyczy,
Mniemając, że ma wziętość największą na ziemi
Gdy sam wzgardzon od wszystkich, pogardza wszystkiemi.
Uparty, w każdéj nawet sprawiedliwéj rzeczy,
Każdemu się przeciwi i wszystkiemu przeczy;
Choć czuje zdania swego próżność, nie odmieni,

A ten upór jak wielki rozum z sławą ceni.
Niewdzięczni, rodzaj ludzi najgorszy na świecie,
Sądzą, że przez to imię swe mają w zalecie,
Iż wdzięczności łaskawcom swym nie okazują,
A co drugim są winni, sobie przypisują.
Tersytes pokładając sławę w próżnéj chlubie,
Szuka dla siebie sławy w cudzéj sławy zgubie,
Mniemając, iż mu przez to przybędzie ozdoby.
Kiedy poczerni wszystkie społeczne osoby.
Prawnik na tém zasadza swą wziętość i sławę,
Gdy najniesprawiedliwszą chytrze wygra sprawę;
Rozumie, że go każdy musi za to chwalić,
Iż umie grzech obronić, niewinność obalić.
Mijam inne rodzaje i starców i młodzi,
Jednych mi się tknąć nie chce, a drugich nie godzi.
To mówię, że jak różnych gatunków są sprawy,
Tak różne są sposoby nabywania sławy.
Jeden cnoty stopniami jéj kresu dochodzi,
Drugiemu i występek częstokroć ją rodzi:
Rozbójnik wieś zrabował, na pal wbity ginie;
Aleksander świat złupił i wielkim ztąd słynie.
Bywa to, że uboga cnota w więzach stęka,
Wtenczas kiedy przed zbrodniem szczęśliwym świat klęka;
Występki nawet górnych ludzi są fraszkami,
Nieszczęśliwych i fraszki sądzim występkami.
Niech więc za życia żaden o sławie nie sądzi,
Ślepe szczęście żyjących ludzi sławą rządzi.
Zostawmy potomności: co u nas sekretem,
To ona sprawiedliwym ogłosi dekretem.

II.

BAJKI.

PSZCZOŁA I PAJĄK.

Pszczoła i pająk jeden sok piją,
Z jednych ziółek kwiat zbierają,
Jednak pokarmy, któremi żyją,
Nierównie im się nadają.
W pająku sok ów jadem się staje,
I słodkie kwiaty goryczą;
A pszczółka z tegoż kwiatu miód daje,
I ul napełnia słodyczą.
Słońce, choć równo rzuca promienie,
Nierówne skutki sprawuje;
Nie w każdéj ziemi jednoż nasienie
Równie się dobrze przyjmuje.
Wszak wszystek pokład kokosz zagrzewa,
Choć się nie wszystek nagodzi;
I rolnik całą niwę zasiewa,
Choć każda bryła nie rodzi.

KRASKA I SROKA.

Kędy gaik był bogaty
W gęste cienie, w wonne kwiaty;

Tam na drzewie Kraska siadła.
Przyleciało ptaków siła,
Stara sroka wtém przypadła.
I wnet ptaki rozpędziła.
Kraska została z bojaźni,
Sroka zaczyna kazanie:
— „Prawdę powiem dla przyjaźni,
Nie przystoi w naszym stanie,
Ażeby zaś młode panie
Tak z gachami obcowały.
Świat się zgorszyć może cały,
Przeciw temu bozkie prawa,
Nawet ptasze; dobra sława
Zwykła się tém bardzo mazać.
Za co się zemną pokazać,
Nie waży ptaszyna żadna?“
— „Boś ty brzydka, a ja ładna.“
To wyrzekłszy Kraska, pędzi;
A sroka tam jeszcze zrzędzi.....
Za przykładem staréj sroki
Co chcą sobie niechaj prawią,
To ich żywiół, nasze kwoki,
A młode się niechaj bawią.

MYSZ MŁODA I KOT STARY.

Nic nie znając myszka mała,
Że starego, rozumiała,
Kota, swemi zmiękczy łzami,
I że wstrzyma Mruczysława,
Gdy dowiedzie racyami,
Że jéj arcy dobra sprawa.

— „Daruj życie, myszka jedna,
Jak ja mała, jak ja biedna,
Czyli może szkodzić komu?
Nie ogłodzę państwa w domu.
Jedném zboża ziarnkiem żyję,
A zjem orzech to utyję.
Jeszczem chuda i niesmaczna,
Niech cierpliwość pańska baczna,
Dla swych dzicci mnie zachowa.“
Tak mówiła mysz wybladła,
Kiedy w kota łapki wpadła.
Kot jéj na to: — „Próżna mowa,
Niż mnie twoje zmiękczą słowa,
Prędzéj głuchy cię usłyszy;
Idź nawracać prządek troje,
Znajdą jeść co dzieci moje.“
Już kot skończył, i po myszy.
A ja powiem, w téj powieści
Jaki się też morał mieści?
Młodość płocha, łatwowierna,
Starość jest niemiłosierna.

MŁODY PTASZEK I KRASKA.

Jeden ptaszek jeszcze młody,
Który pilnie unikał co niepokój daje.
Powietrzne zbiegając kraje
Ujrzał na drzewie kraskę powabnéj urody.
Ta gdy na niego spogląda,
Już mój ptak, nie wolności, ale kraski żąda.
O wszystkiém zapomniawszy, wnet się do niéj zbliża;
Ale zgraja ciągle świéża

Wróblów, zewsząd przylatuje,
I przystęp jego tamuje.
Dopiero wtedy ptaszyna
Swojéj nieroztropności żałować poczyna.
Zaraz w sobie odwagi niedość jednak czuje,
Jeszcze się jak może skrada,
Jeszcze około lata, biedzi się i żali;
Ale widząc nakoniec, że to nic nie nada,
Westchnął sobie serdecznie, i poleciał daléj.

GWOŹDZIK.

Wdzięczny gwoździk na parterze
Rozmawiając z bracią kwiatki,
Rzekł im: — „Pominąwszy róże i bławatki,
Jaka mnie piękna pasterka wybierze,
I gors mną ozdobić raczy,
Zapewne się tam wkorzenię,
I każdy z was to obaczy,
Że mnie nikt z tak miłego miejsca nie wyżenie.“
— „Jakiżeś kwiatek kochany,
Mój gwoździku centkowany,
Czegoż ci nie będę winna!“
Rzekła doń młoda Korynna,
Co téj rozmowy słuchała;
Jak najprędzéj go zerwała,
I tak grzecznego gwoździka
Zaraz sobie za gors wtyka.
Mój kwiatek wszystek zapach wyziewa,
Ale gdy ten wywietrzeje,
Daremnie nowéj się mocy spodziewa,
W wieczór skona i zwiędnieje.

Słodka rozkoszy, ponęto miła!
Co życia mego kłopoty słodzisz,
Zrób, by dostarczała siła,
Kiedy tyle chęci rodzisz.

WRÓBLE I KOŚCIÓŁ.

Stał kędyś kościół drewniany;
Tysiące wróblów w nim swe gniazda miało,
Proboszczowi się zachciało
Żeby był reparowany.
Strach około naszych ptaków,
Wypędzono nieboraków.
Gdy wszystko było gotowo,
I swą robotę skończył ksiądz pleban gorliwy,
Przyleciał rój świegotliwy
Szukać mieszkania na nowo.
Wszystkie dziury załatane,
Wróble nie miały gdzie siedzieć.
Powracając się stroskane,
Rzekły: — „Radebyśmy wiedzieć,
Ten gmach duży
Na jaki teraz użytek służy?“

SZTUKA I NATURA.

— „Nie zrównasz dziełom méj ręki,
Rzekła do natury sztuka:
Piękność przez cię wydana méj pomocy szuka,
Odemnie biorą przyjemność twe wdzięki.

Płeć skażoną przez ciebie odżywiam bielidłem,
Ukrywam marszczki oblicza,
Przezemnie stara kwoka często jest pieścidłem,
Jam dyktowała wiersz Naruszewicza."
Tak z przyrodzenia sztuka śmiała się naigrawać,
I świat chciał jéj się poddawać.
Na odpowiedź natura Elżbietę stworzyła,
Sztuka się z wstydu skryła.

DWA STRUMYKI. [1])

Strumień stał się był potokiem,
I nagłym deszczem nadęty,
Wzgardziwszy dawne łoże, leciał wielkim skokiem
Ukryć się w morskie odmęty.
Lecz wśród spokojnéj doliny
Napadł na strumyczek drugi,
Który tocząc swój kryształ przez zielone smugi,
Szedł się gubić w cień olszyny;
Po drodze wdzięczne kwiatki napawał,
Bawił się po wonnéj łące,
Nigdy się nie powiększał, nigdy nie ustawał,
Choć się w wężyków dzielił tysiące.
Uchodził niby, i znowu szeleścił
Pomiędzy pachnącém zielem.
Wierzę: któż się dość kiedy napieścił
Z swojego kochania celem?
— „Umknij się, rzecze mu potok, z drogi,
Mój ty strumyczku ubogi,

---

[1]) Druk. w „Zabawach przyj. i pożyt." tom XVI, rok 1777.

Nie zawadzaj mi, powiedz, dla czyjéj wygody
Sączysz tę niteczkę wody?
I co masz za cel gnuśnieć w téj dolinie?
Mnie gdy wyniosła fortuna,
Do rozległych państw Neptuna
Moja woda z hołdem płynie.“
— „Spiesz się do oceanu . . .
Strumyczek mu odpowiedział;
Nie zazdroszczę twego stanu,
Ja tu sobie będę siedział:
Nie podlegam bynajmniej tym chęciom szalonym,
Ani też moja żądza w projektach się gubi;
Wolę, że mnie łąka lubi,
Niż być od morza wzgardzonym.“

LASEK.[1])

Zarzekłem się prawdy mowić,
Będę sobie pisał bajki:
Już mnie nikt nie potrafi za słowo ułowić
Nie rozgniewam kokietki, ni wstrętnéj niedajki.
Bo mnie też djabeł sam musiał odurzyć!
Nikt mię do tego nie pędził
Ażebym prawdę gawędził,
Gdyż pożyteczniéj jest kadzidło kurzyć.
Ale się uspokójcie, już tego nie będzie;
Odtąd wszystkich będę chwalił,
Do wszystkich perory palił,
Jak bernardyn po kolędzie.
Przedtém mnie to kosztowało

[1]) Na to odpisał Trembecki. Obacz w dodatku.

Niesprawiedliwą dać pochwałę komu:
Na to uważałem mało,
Że kto brał zaszczyt z rycerskiego domu.
Ale każdy mędrszy z wiekiem
Sposób myślenia odmieni,
I tego wielkim być powiada człekiem,
Kogo wewnętrznie nie ceni. —
Na jednéj wielkiéj łące
Wzrastał sobie gaik młody,
Choć liczył drzewek tysiące,
Nie wszystkie jednakowéj mogły być urody.
Były jedne,
Których natura prostym wzrostem obdarzyła;
Drugie biedne,
Które krzywo potworzyła;
Były sosenki garbate
I olszynki sękowate,
Rzadko dąbek było widać,
Żeby się mógł na co przydać.
Pan tego lasku był tokarzem pono;
Robić mu laskę zlecono,
Którą się wiek sędziwy kiedyś miał podpierać:
Przyszedł więc drzewka wybierać.
Wszedł w gaik: dąbki proste i hoże,
Co się wartemi tego honoru sądziły,
Ani mu się ukłoniły,
Wiedząc, że ich los taki ominąć nie może.
Ale te drzewka, co były krzywemi,
Schyliły się aż do ziemi:
— „W twojéj mocy, rzekły, panie,
Dziś jest nas na pniu zostawić,
Czyli przez twoje staranie
Szczęścia naszego poprawić.

Ale jakkolwiek rozrządzisz,
Pewnie nigdy nie pobłądzisz.“
— „Nie daj się zwodzić tą mową obłudną,
Rzekły mu dąbki szczerze,
Między nami wybór ci uczynić nie trudno
W téj mierze;
Twój ci pokaże rozsądek,
Które się z nas zda na laskę,
A gdy w tém przyzwoity zachowasz porządek,
Powinność swą uczynisz, nie zaś żadną łaskę.“
Rzadko się komu ambit szlachetny podoba,
Rzadko prawdziwą zasługę kto ceni;
Z mocą czynienia dobrze rzadko chęć się żeni,
Niejedna tego dowodem osoba.
Tokarza ten ton obruszył:
Pochlebną sosen ujęty przemową,
Uciął jedną ze pnia zdrową
I do roboty ją suszył.
Zaraz ją uciąwszy zoczył
Że mu się ten kij nieraz będzie krzywić;
Ale każdy swój wybór chce usprawiedliwić,
I on z niéj laskę wytoczył.
Lecz mu się na nic nie zdała,
Bo się na sęku złamała.
Dąbki zaś w cudze ręce się dostały,
Laskami ich porobiono,
I niedawno mi mówiono:
Że nie jedno na świecie ramię podpierały.

DWA WRÓBLE.

Ongi z Jagusią moją w gaiku
Siedliśmy sobie pod drzewem;
Tam miły zefir w lubym chłodniku
Bawił nas swoim powiewem.
Raz zerwał chustkę z piersi Jagulki,
Drugi raz igrał z włosami,
A raz też podniósł trochę koszulki
I coś pokazał nad kolanami;
Jam prędko sobie oczy zasłonił,
Bo mi ksiądz na to patrzeć zabronił.
Tak się więc w cieniu tym zabawiając,
Nie wiem jakeśmy spostrzegli,
Że między liściem gęstém igrając
Dwaj wróble z sobą się zbiegli.
Mniéj uważałem na to ciekawy,
Jagusia tém się bawiła,
I rozkosznéj ich zabawy
Trzydzieści trzy razy naliczyła.
Wtém jeden, wzniósłszy skrzydełka, uciecze;
Nie podobało się to méj Jagusi:
— „Ten co uleciał, z gniewem do mnie rzecze,
Przysięgam, samiec być musi.“

KOZŁOWIE.[1])

Obłąkawszy się od trzody,
Dwoje koźląt bez brody

[1]) W „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“. Tom X, rok 1774.

I drobne mające różki,
Koło krętéj gdzieś tam dróżki
Młodą trawkę i mech blady
Gryzły bez żadnéj zawady.
A gdy słońce z uprzykrzeniem
Dogrzewało, ci pod cieniem
Krzaku, unikając nuży,
Piły wodę wraz z kałuży.
Choć nie miały w tym kąciku
Wybornego pastewniku,
Ani trawy zbyt rzęsistéj,
Ani wody przezroczystéj,
To im smakowało przecie,
Że ich żaden człowiek w świecie
Z téj małoważącéj paszy,
Ni wypędzi, ni wystraszy.
A co jest najbardziéj miło,
Że wolno każdemu było
W téj tak niepodległéj doli,
Jeść, pić, spać, podług swéj woli.
Skończywszy w polu roboty
Chłop, chcąc sobie grodzić płoty,
Po chróst jechał raz w te krzaki,
Gdzie się kozły nieboraki
Pasły; gałązki nagina
I ostrą stalą ucina,
A kiedy już spore brzemię
Chróśniaków złożył na ziemię,
Usiadł sobie dąć fujarę.
Wtém ujrzał koźlątek parę;
A było to owych czasów,
Kiedy i mieszkańcy lasów,
Jak my ludzie, teraz cale,

Mieli dar mówienia w dziale.
Chłop się więc do nich przymyka,
I taką mową potyka:
— „Co w tym chwaście i w tém błocie
Na słońcu, albo na słocie
Robić macie, mchy nie lube
Gryząc, i badyle grube?
Pójdźcie zemną, ja na strawę
Wydzielę wam bujną trawę,
W pogodę, czy w chwilę dżdżystą,
Mieć będziecie wodę czystą,
Burza wam źródła nie zmąci,
Ni się obcy kozieł wtrąci.“
Poruszony temi słowy
Młodszy kozieł, chcąc na nowy
Zmienić dawny sposób życia,
W nadziei lepszego bycia,
Tusząc, że go szczęście czeka,
Usłuchał zdradnego człeka;
I lubo mu stary gadał,
Że mając wolność, posiadał
Wszystko dobro, nie dał wiary
Temu co mu mówił stary;
Lecz za chłopem szedł w te strony,
Gdzie go czekał ogrodzony
Kawał pola, a tam za to
Łąkę zastał dość bogatą,
Podstatkiem czystéj wody,
Dla napoju i ochłody.
Tam nużą drogi strudzony,
Chciał zasnąć uspokojony.
Widząc dzieci gospodarza
Że im się zabawka zdarza,

Tłukły mu kamieńmi boki,
By im przez kij robił skoki.
Cierpiał to kozieł ubogi,
Lecz gdy wziąwszy go za rogi,
Chciały na nim jak na koniu
Korwety stroić po błoniu:
Pozrucał jeźdźce niezdolne.
A wnet chłopięta swawolne
Na kozła się skarżą z płaczem
Ojcu, a ten mu korbaczem
Boki srodze osmarował.
Wtenczas dopiero żałował
Koziełek, łzy tocząc hojne,
Że miejsce rzucił spokojne,
Gdzie niepodległy nikomu,
Używał z wolnością, co mu
Los opatrzny mieć pozwolił.
Tam go żaden nie niewolił,
Nie służył żadnemu panu:
Radby do dawnego stanu
Znowu wrócił; lecz nie można,
Zewsząd straż czuje ostrożna.

Tak ten, co spokojne bycie
I wolne, ubogie życie
W niepewne szczęście zamienia,
Radby do dawnego mienia
Wrócił, niewolą zgnębiony;
Cóż? kiedy powrót zamkniony!

RÓŻA I LILIA.[1])

Rzekła róża do lilii:
— „Usiądźmy na twarzy czyjéj.“
Rądę tedy z sobą robią,
I Chlorydy postać zdobią.
Jagody, usta, piersi kawałek nie duży:
Były działem wdzięcznéj róży;
Lilia zaś resztę ciała
W swe panowanie zabrała.
Chociaż dostała tak wiele,
Zazdrośnym jednak okiem pogląda
Na to, co miała róża w podziele;
Im więcej kto ma, tém więcéj żąda.
By ją ztamtąd rugowała,
Nagłéj bojaźni wezwała.
O kochanego pasterza
Śmierci, wieść bajeczną sieje,
Chloryda temu uwierza
I z przelęknienia blednieje.
Lecz ta wieść była fałszywa:
Przyszedł pasterz, gdy się go Chlorys nie spodziéwa,
I czujne na bok oddaliwszy stróże
Lilie zamieniła w róże.

---

[1]) W „Zabawach przyj. i pożyt.“ tom XVI, rok 1777.

III.

WIERSZE ROZMAITE.

MOJA EKSKUZA. — DO X. GRAC. PIOTROWSKIEGO, PIJARA.[1])

Nie mam w ustach czułości, nie bzdurzę o cnocie,
Nikt mię jednak przy podłéj nie zastał robocie.
Dla zysku nic nie czynię, prawdę mówić lubię,
Nieprzyjaciół skrytemi podstępy nie gubię.
Dusza moja nie może znieść fircyków dumnych,
Nie cierpię pedagogów, ale czczę rozumnych;
I lubo na mnie czarna zawiść się oburza,
Nie zrobię karła wielkim, ani Marsem tchórza:
A kiedy przyzwoitą znaczę kogo cechą,
Zawsze mię pospolite wspierać musi echo.
Niejeden co mych szczerych rymów z chęcią słucha,
Przyjacielowi swemu poszepnie do ucha:
„Tego poety działa ile czytam razy,
Zda mi się żywe widzieć nałogów obrazy.“
Wszyscy mi to przyznają, i me lekkie wiersze
Bawią i stan pomierny, i osoby pierwsze.
Za to, miasto poklasku, to trzymam w korzyści,
Żem się stał u dusz podłych celem nienawiści;
I zdradne ich pociski pewnie mię obarczą,
Jeśli mię wierna przyjaźń swą nie złoży tarczą.
Lecz co mówię? Wszystkom ci winien, o przyjaźni!

---

[1]) Jest autorem zbioru satyr, wydanego r. 1773.

Z tobą mogę wśród wężów chodzić bez bojaźni,
Z tobą mi jest nieszczęście miłe; a bez ciebie
Żyćby mi się przykrzyło z aniołami w niebie.
Tobie ja, jako bóztwu, postawię ołtarze,
Tobie ogniem wdzięczności kadzidło rozżarzę;
I niech kto trwały związek ma sobie za baśnie,
U mnie pamięć przyjaźni nigdy nie wygaśnie.
Wy, którzy nie zdołacie sądzić z przekonania,
Ślepo swych mecenasów trzymając się zdania,
U was zasług i cnoty ta największa proba,
Kiedy się co waszemu łaskawcy podoba.
Nie mam wam za złe tego, że z domu do domu
Wozicie na mnie grube plotki pokryjomu,
Ni was za to potępiać może morał ścisły;
Od tego sława wasza z fortuną zawisły.
Ale jeśli wam jeszcze umysł uprzedzony
Pozwoli słuchać jawnych przyczyn z mojéj strony,
Jeśli zechcecie sądzić, dopiero poznacie
Że mnie tylko na cudze słowa potępiacie.
Jakież są najmocniejsze przeciw mnie dowody?
„Nadto sobie pozwala (rzecze ktoś) pan młody,
Kiedy mnie, co ni z wzrostu równien jest, ni z głowy,
Co mi we wszystkiém sięga ledwie do połowy,
Śmiał to jawnie w swém jedném piśmie utrzymywać
Żem bez sensu i składu zwykł wiersze pisywać;
Ale obaczy wkrótce, co go za to czeka,
Że się ważył porywać na wielkiego człeka.“
Nie strasz bracie, bo nikt się twoich gróźb nie boi,
Mądremu się, do tego, gniewać nie przystoi.
Mówmy z wolna: Powiedz mi, żeś jest sama cnota,
Żeś piękny, żeś zabawny, dobry patryota.
Dla mojéj spokojności, powiadam ci szczerze,
I takim nawet bajkom bez wstrętu uwierzę.

Dość masz ze mnie; z swéj strony pozwól mi téj łaski,
Że gorzéj trochę piszesz, niżeli Bielawski.
„To mniejsza (rzecze drugi) nikt temu nie przeczy,
Że ten jegomość wiersze pisze nie do rzeczy;
Ale za to niemałéj wart jesteś nagany,
Że bez braku na wszystkie targnąłeś się stany,
I w swych dziełach późniejszych czyniąc sobie drwinki,
Niejednegoś rozżalił swojemi przycinki.“
Prawda, to pozorniejsza jest trochę przyczyna,
I wielkaby niechybnie była moja wina,
Bym sobie pozwalając żartować tak srogo,
Pojedynczo w mych wierszach śmiał wytykać kogo.
Tak przecie, dawniéj trochę, modele méj pracy,
Czynił ostry Boileau i stary Horacy,
I umiejąc wybornie z szydności korzystać,
Udało im się nieraz swych ziomków wyświstać.
Pomimo téj jednakże mniemanéj przywary,
Mieli wielkich monarchów i przyjaźń i dary.
Jam ni wsparcie miał takie, ni śmiałości tyle,
I jeżelim Satyrze poświęcał me chwile,
Zawszem się starał o to, aby szydząc z wady,
Nigdy szczególnych osób nie brać za przykłady.
To tylko mam nieszczęście, że czytając chciwie,
Zdarzyło mi się nieraz malować szczęśliwie.
I lubom nie chciał ściągnąć niczyjéj urazy,
Rozumiał świat złośliwy poznać swe obrazy.
Chociem rzekł na wiatr, że kto czuły albo głupi,
Tysiąc się ludzi do mnie pytać o to kupi,
Czy nie o nich ta wzmianka? Po co to pytanie?
Ty sam siebie najlepiéj musisz znać mospanie!
Tak, nie można lichwiarza potretu wyrazić,
Żeby wszystkich na siebie żydów nie obrazić;
Nie śmiać się, że kto zawsze goły robiąc złoto,

Żeby się adeptowie nie gniewali o to;
Nie odkryć, że ktoś cudzą zasługą się szczyci,
Żeby się nie jurzyli ichmość hypokryci;
Ni powszechnie naganiać rozsiewaczów plotek,
Żeby pochlebców ani urazić szczebiotek.
Bardzo mi dobrą bajkę los mój przypomina,
Z której początek bierze cała moja wina.
Raz, Król zwierząt, by swojéj chimerze dogodził,
Tym chodem lazł na drzewo, jak po ziemi chodził;
Ale gdy się daremnie przez cały czas biedzi,
Spojrzy w górę, a Ślimak na wierzchołku siedzi.
Na widok tak nikczemny złość go mocna bierze:
„Jak, pyta, wleźć tam mogło to tak podłe zwierzę?“
„Dziwię się, rzekł mu Ślimak, żeś tego nie wiedział,
Kto się czołgać nie umie, nie będzie tu siedział.“
I mnie też to nienawiść sprawiło i biédę,
Że się nie czołgam, ale moim krokiem idę.
Lecz chociażbym do zgonu miał być nieborakiem,
Wolę być Lwem w nieszczęściu, niż szczęsnym Ślimakiem.

DO CZŁEKA ŁĄCZĄCEGO SMAK Z UMIEJĘTNOŚCIĄ I UMIEJĄCEGO CENIĆ UCZONYCH.[1])

Ty, co roztropnie łącząc potrzebne z przyjemném,
Z rozrywek do prac idziesz pośpiechem wzajemnym,
Jak mi jest miło widzieć, że na twe staranie,
Początek swój nauki biorą i wzrastanie!

---

[1]) Przerobione z Woltera: Epitre I. a M. le Comte de Maurepas: Sur l'encouragement des arts, — lecz mocno zmienione.

Ty z każdą z nich obcując codzień poufale,
Kładziesz na równoważną ich szacunek szalę;
Poważasz sprawiedliwie Melpomeny jęki,
Lecz wesołéj jéj siostry niemniéj lubisz wdzięki;
W ręce bystréj Uranii kładziesz cyrkle złote:
Dłóta, pędzla i smyczka chwalebną ochotę
Hojność twoja rozumna z skutkiem zagrzać umie;
Do wszystkiego się skłaniasz prawdziwy rozumie!
Nadto nędzne i nudne życie ten prowadzi,
Kto tylko w jednéj rzeczy cały smak posadzi.
Ledwie z suchéj nauki dziki algebrzysta
Tyle po ciężkiém głowy łamaniu korzysta,
Że wie ledwie, co mu rzekł nauczyciel szczery,
Iż szesnaście do ośmiu, są jak do dwóch cztery.
Z niewiadomości swojéj pyszniejszy tém bardziéj,
Zaraz Naruszewiczem i Trembeckim gardzi;
Ani go Bonafini[1]) swym głosem poruszy,
Nie znają tych powabów twarde jego uszy;
Mając rozum więzami częstych liczb okuty,
Chce, aby same były w Polsce Poczobuty.

Niemniéj głupie i dumne dziecko Apollina,
Które w kradzionych swoich wierszach przypomina,
Co sto razy od niego, zawsze lepiéj pono,
W tylu dziełach, przed tylu wiekami mówiono,
Do swéj kochanéj muzy szczerze wziąwszy serce
Inne wszystkie nauki trzyma w poniewierce.
Archimedes i Newton u niego cieślami;
Chciałby Arystotela przełożyć wierszami.

Za talar przedający jad swój z przewrotnością,
Praw opak tłómaczonych pyszny wiadomością,

---

[1]) Spiewaczka opery, przybyła z Włoch w r. 1776.

Patron, szczekacz obrzydły, z wyprawną paszczęką,
Co mu krzywoprzysięztwo każde idzie ręką,
Z innych wszystkich uczonych uszczypliwie szydzi,
A zrobiwszy manifest nic nad się nie widzi.

Godnością jubilata srodze najeżony,
Niedzielny kaznodzieja wrzeszczy jak szalony:
Do mnie chodźcie! każdy mi przyzna bez zatargi,
Żem lepszy niż Lachowski, mocniejszy od Skargi!
Wszak zawsze jedno w każdą powtarzam niedzielę,
Wiecie, że treść najprostszą na trzy części dzielę.
Do mnie! w kim jest zbawienia swéj duszy ochota,
Dwadzieściam subtelnego lat wykładał Skota;
Na pamięć uczyłem się Tomasza Akwina,
Jeślim go nie rozumiał, to nie moja wina.

Tak to zbytecznie w własnéj sztuce zakochani,
Bezecni, lud gromadzą próżny, szarlatani;
Lud o swoje niedbały, cudzych spraw ciekawy,
Co dla zabicia czasu chce tylko zabawy;
Lud głupi, któremu to dawno powiedziano,
Że temu klaszcze w wieczór, komu gwiazdał rano.
Inaczéj postępuje sobie człek poczciwy:
Zawsze w sądzeniu swojém bywa sprawiedliwy,
A których w sobie widzieć nie może przymiotów,
Jeśli się w drugich znajdą, szanować je gotów.

Nim Stwórca górnych niebios wszechmocny, tchem dzielnym
Wieczną duszę w człowieku osadził śmiertelnym,
Rozmaitych rodzajów potworzył zwierzęta,
Orła z wzrokiem, żeby go słuchały ptaszęta,
Pawia, żeby roztaczał w tęczę ogon długi,
Wilka zaś dla rozboju, konia dla usługi,
Psa wiernego, by zwierzę rączym krokiem ścigał,

I osła leniwego, by ciężary dźwigał,
I byka ryczącego, owieczkę beczącą,
Wdzięczną synogarlicę na puszczy jęczącą,
Którą, nieprawdziwego trzymając się zdania,
Dotychczas mieli ludzie za model kochania.
Człek dopiero instynkta każdego poznawał,
Imię im przyzwoite i prace nadawał.

Pewny Francuz, lękając się czynić wyboru [1])
Losem kości, urzędy dawał swego dworu;
Foryś czasem u niego został sekretarzem,
Zadziwiony kapelan musiał być kucharzem,
Lokaj, że był marszałkiem szczęścia nie obwinił,
Stangret dziękował, że go podskarbim uczynił.

Jeżeli Kaligula w upodlonym Rzymie
Koniowi swemu nadał konsulowskie imię,
Mniej był szalony od tych, którzy zaufanie
Swoje, w nikczemnym ludzi pokładają stanie.
Prawda, że mało zasług a wiele urzędów;
Lecz może na ukryty przymiot nie ma względów,
Może Cyceron jaki lub Wirgili nowy
Miesza wapno i cegły nosi do budowy,
Albo niewolniczemi obciążon roboty,
Nad przepisaniem cudzéj męczy się ramoty.
Ślepy los, władca ślepy ludzi zaślepionych,
Nigdy się dróg nie może trzymać przyrodzonych;
Lecz tak się zawsze stara i jest mu to miło,
Żeby nigdy na swojém miejscu nic nie było.

---

[1]) Książę de Mazarin, mąż Hortensyi, synowicy kardynała de Richelieu.

DO STAN. TREMBECKIEGO. — O RÓWNOSCI LOSU LUDZKIEGO. [1])

Bez zazdrości Trembecki widzi twoje oko
Bogactwami nadętą dostojność wysoką,
Ani się twój wzrok blaskiem fałszywym ułudzi;
Świat jest sceną, na któréj znaczniejsza część ludzi
Pysznych, głupich, nieczułych, wyniosłych, szalonych
Tytułami wielmożnych albo oświeconych,
Pragnie stan swój uzacnić, ukryć duszę podłą;
Darmoby wzrok twój próżność ich i głupstwo bodło,
Wszyscy równi na świecie, odmienna powłoka
Nie potrafi omamić przezornego oka.
Losu naszego — nasze wymiarem są zmysły,
Od nich ludzkie nieszczęścia lub szczęścia zawisły.
Mając ich więcéj albo doskonalsze w głowie,
Z jednejże co my gliny zlepieni królowie?
Równie jak my, oni są w dzieciństwie płaczliwi,
W dalszym wieku jako my równie nieszczęśliwi.
Ubogi i bogaty, i słaby, i silny,
Po boleściach ma koniec w śmierci nieomylny.

---

[1]) Jestto przerobienie z francuzkiego (Woltera?). Znam z owego czasu bezimienny przekład p. t. Wiersze o równości stanów ludzkich. Taki początek:

Zważ przyjacielu zwykłą stanów wzgardą
Państwa i bogactw okazałość hardą.
Twe oczy widzą blaskiem nie zmieszane
Że świat jest balem, w nim głupstwo przebrane
W śmieszne najwyższych tytułów nazwiska,
Podłe, choć z pychy wystawia igrzyska,
Choć mi się dziwić próżności, nałożni
Równi są ludzie. Maszkara ich, różni.

Lecz mi pewnie kto powie, co za błąd straszliwy,
Nie jestże nad drugiego stan jeden szczęśliwy?
Pana podsędka bardziéj nie radażby żona,
Aby ją na rysorach giętkich zawieszona
Po balach, po assamblach, kareta woziła,
Niż gdyby do kościała skarbniczkiem jeździła?
Mnich, co na jutrznię w zimie wstawać musi rano,
Lub któremu po kweście w mróz chodzić kazano,
Co co piątek bez winy bierze dyscyplinę,
Nie chciałbyż być biskupem chociaż na godzinę,
Aby sobie wygodnie, czasem nie sam może,
Zemdlone złożył członki na puchowe łoże?
Kto tysiączne dochody chowa do kieszeni,
Czyż się nad ubogiego szczęśliwszym nie mieni?
Nie: bo w swym sprawiedliwa natura rozmiarze,
Nie da zawsze z bogactwy chodzić szczęściu w parze.
Jest kto jak król szczęśliwy, lud głupi powiada,
Nie wiedząc, że na tronie rzadko szczęście siada;
Darmo się na wielkości swéj monarcha wspiera,
Jęczy jednak, z nudności ledwie nie umiera.
Faworyt, co łaskami dworu obdarzony,
Zwierz z podłości i z pychy na przemian złożony,
Nie kontent: bo powszechnéj celem nienawiści,
Mając potwarz za trochę podchlebstwa w korzyści.
Raz łokciowy teleskop wymierzywszy z wieże,
Astronom, co na niebie pilnie odmian strzeże,
Gwiazd obroty i planet bieg i wielkość mierzył;
Chłop przechodził i rzekł mu: Nie będę ja wierzył
By tylko udzielały wam gwiazdy promieni,
Dla nas się niebo iskrzy i ziemia zieleni.
Toż samo można mówić i o szczęściu ślizkiém:
Prostak w zakącie chaty tak jest jego blizkim

Jak fircyk pusty, co go posiadać rozumie,
Lub pedagog, który je kreślić słowy umie.
Mówią, że przed Pandory puszką tu na ziemi
Wszyscy ludzie i stany bywały równemi,
Toż samo jest i teraz. Mieć jednakie prawo
Do szczęścia, nie jestże to dość równą postawą?
Spojrz no na tę gromadę pracowitych chłopków:
Nim się plennych z pól swoich doczekają snopków,
Jak się pocąc lemieszem twardą ziemię orzą,
Chcąc ją żyzną uczynić, wnętrzności jéj porzą!
Tu dla wód sprowadzenia, z pracą biją rowy,
Tu z lasu wożą dęby rosłe do budowy.
Nie Koryl to, ni Dafnis, łańcuchem kwiecistym
Związani, pod róż krzakiem siedząc gałęzistym,
O czułości z Ismeną prowadzą rozmowy;
Błażej silny i Sobek rubaszny i zdrowy,
Których ręka pracowna ciężki pług podźwiga,
Jeden drugiego w pracy codziennéj wyściga.
Kaśka najpierwsza z sierpem, Błażéj pierwszy z kosą,
Ten cały dzień bez czapki, ta cały dzień boso,
Cierpliwie znoszą, szczerze pracując i żywo,
I mrozy tęgie w zimie, i upały w żniwo.
Śpiewają jednak sobie fałszywemi tony
Piosnki proste, które im pasterz nieuczony
Chodząc z fletnią za trzodą cabanów powiadał:
Nie te jednak, co Feba adjutant je składał. [1])
Smaczny sen, pokój, czerstwość, zdrowie zawsze młode
Mają za swe ubóztwo i prace w nagrodę.

Jeśli Błażej ze zbożem jedzie do Warszawy,
Nic go tumult nie wzruszy ani miejskie wrzawy;

---

[1]) Tak przezwał Bielawskiego ks. Minasowicz, w Muzofila wierszu o Poetach.

Uszy na nie zatyka, nic go tu nie łechce,
Szumnych uciech warszawskich poznać nawet nie chce.
I kiedy Dafnis serce niosąc w upominki,
Od brunetki przenosi gust swój do blondynki,
Intrygami miłości bawi się ustawnie,
Kryć musi skłonność swoją, nie chce kochać jawnie,
Żyje brzydko od pięknéj niekochany żony,
Od metresy, dla któréj ją rzucił, zwiedziony,
Porzuca miłą Egle dla Kloryndy płochéj,
Cierpieć musi ustawne wymówki i fochy;
Błażéj silny i zdrowy, daleko wierniejszy,
Powraca do swéj Kasi coraz miłośniejszy,
Zawsze ją równie wierną i piękną zastaje,
Podarki jéj, choć proste, szczerém sercem daje.

Nie trzeba mu na kredyt żebrać u Richarda [1])
Fraszek, na których widok, cnota z razu harda
Kobietek naszych, musi ustąpić powoli;
Błażéj czém inném serce swéj Kasi zniewoli.

Z rozpostartemi orzeł, król ptaków, skrzydłami,
Łączy się z swą orlicą aż pod obłokami;
Na łące, po nad brzegiem przejrzystéj krynicy,
Rycząc, chce się podobać buhaj jałowicy.
Tu przyjemném śpiewaniem, za powotem wiosny,
Swą kochankę chce zwabić słowiczek radosny,
Brzęcząc z swą się połową łączy muszka drobna,
Każdy robaczek szuka swéj pary z osobna,
Kontent z swojego losu, nic nie jest troskliwy,
Czy który rodzaj więcéj od niego szczęśliwy.
Losowi memu szczęścia przez to nie ubywa,
Że ktoś tam w większe niż ja rozkosze o pływa.

---

[1]) Kupca na Krakowskiém Przedmieściu.

Ale jakże ów nędznik, śmiertelnik pół żywy,
Ludzkiego miłosierdzia cel zbyt obrzydliwy,
Trup chodzący! możesz się szczęśliwym nazywać?
Nie, zapewne — i Sułtan, co przestał opływać,
Którego z tronu spycha niewolnik zuchwały,
Wezyr strącony z szczytu dostojeństw i chwały,
Są także nieszczęśliwi — bo zawsze na ziemi
Stan każdy przykrościami obarczon wielkiemi.
Wszystko równe jest zatém: — u dworu intrygi,
W kościele zawsze kłótnie, na wojnie fatygi,
Słowem, bez wątpliwości w każdym ludzi stanie,
Nieszczęścia z przeciwnością widać pomieszanie.
Nie wielkość ani podłość, ni pieniędzy trzosy,
Pomyślne lub nieszczęsne sprawują nam losy:
Raz wzgardzony od pychy Krezusa bogatéj,
Niegdyś Irus ubogi, nędzny i garbaty,
W zapamiętałym gniewie do niebios powiedał:
„Krezus ma wszystko co chce, mnie nic Pan Bóg nie dał!“
Ledwie te wyrzekł słowa, aż tu zapalczywa
Zgraja żołnierzy, Kreza pałacu dobywa.
Ucieka tyran od swych dworzan opuszczony,
Gonią za nim, łapają, jest wzięty, więziony.
Gwałci mu drab kochanki i skarbce odbija,
Spojrzy — Irus z zwycięzcą skacze i wypija:
„O Boże! rzecze, także jesteś sprawiedliwy?
Jam nędzny, Irus tylko sam jeden szczęśliwy!“
Obadwa się mylili, i my się mylimy,
Kiedy losu lepszego komu zazdrościmy.
Nie trzeba powierzchownym dawać znakom wiary,
Często nieszczęście kryją wesołe maszkary;
Radość często przemija, śmiech prędko przebieży:
Lecz cóż tedy? gdzież szczęścia szukać nam należy?

Na każdém miejscu, w całém przyrodzeniu, wszędy,
Zawsze z pomiarkowaniem, zupełnie nikędy.
Jak ogień, który w wszystkich żywiołach spoczywa,
I w skałach się zakrada, w powietrzu ukrywa,
W głębi morza szacowne korale rumieni,
I w lodowatych krajów znadzie się przestrzeni.
Bóg nas stworzywszy, zawsze od początku świata
Dni nasze przeciwnością i szczęściem przeplata;
Z głupstw i z rozumu istność złożył na przemiany,
I w równéj szali zważył wszystkie świata stany.

O POTWARZY. — DO EMILII. [1])

Słuchaj mię Emilio, w urodęś bogata,
Już nieprzyjazną na się masz połowę świata;
Boją cię się, bo w pośród próżnych kobiet tłumu
Masz zaszczyt z przenikłego u wszystkich rozumu;
Z czułém jak twoje sercem miećeś przyjaźń rada,
Może ci przez tę dobroć skryta szkodzić zdrada;
Cnota twa nabożnisiom ofiary nie pali,
Od potwarzy dewotek nikt cię nie ocali;
Możeż być pewna, że cię mimo twe przymioty,
Będzie jadowitemi złość dosięgać groty.
Próżniactwa i zazdrości płód niezagubiony,
Potwarz rozciąga swoją moc na wszystkie strony;
Skrzydlata ta poczwara w każdéj płci przesiada,
Zawsze mile słuchana nieprzerwanie gada,
Świata tego jest razem zabawką i zgubą,
Rządzi nim, bo jest podłym duszom nader lubą.

---

[1]) Naśladowanie Woltera: A Mme la Marquise du Chatelet, sur la Calomnie.

Najgłupszego rozmowy dziwną krasi sztuką,
Jest mędrca obrzydzeniem, a głupca nauką;
Nigdy niezmordowana, bezprzestannie z pyska
Na wszystkie świata stany jad szkodliwy pryska.
Bardziéj niż inne jednak trzy ludzi rodzaje
Złośliwie prześladować nigdy nie przestaje;
Kolejno na postrzały jéj są wystawieni
Monarchowie, kobiety piękne, i uczeni.
Ledwie dzisiaj wieczorem Egle urodziwa
Półgębkiem na odpowiedź księdzu się zdobywa,
I mężowi, którego nie zna albo mało,
Wiarę przyrzeka, miłość obiecuje stałą;
Idzie spać jutro rano ciotka albo matka
Wożąc ją po wizytach, zmęczy do ostatka.
Aż u króla na obiad, aż gdzieś na wieczerzy
Gachy jéj w ucho szepcą: ona im nie wierzy,
Oni mają nadzieję; aż tu jutro rano,
Jużci amanta mojéj pannie młodéj dano.
Wieść ta szybko przechodzi od ucha do ucha,
Z żalem wielkim obmówek takich Egle słucha:
Nie płacz! bo gniewać będziesz więcéj się daleko,
Kiedy ludzie o tobie i słowa nie rzeką.
Niech mi przynajmniéj jedną kto z kobiet pokaże,
Któréj potwarz bezecna honoru nie maże,
Kiedy Izraelitów zuchwałość nieczysta,
Śmiała się na niewinność targnąć Matki Chrysta.[1])

---

[1]) Kto czytał l'Abbé de Hauteville i dykcyonarz Bayla, pod artykułem Schomberg, a przed nimi jeszcze S. Justina, może widzieć tę potwarz, wyjętą ze staréj książki hebrajskiéj, któréj tytuł: *Sophor toldos Jeshut*, w któréj mąż téj najświętszéj osoby, zowie się Jonathan, a ten który od Jonathana jest posądzony, Józef Panther.

Wszystkie narody chrzczone czyli obrzezane
Pod jéj na swe nieszczęście władzę są poddane,
Muszą na sobie nosić jéj ustawy krwawe,
Lecz sobie za stolicę obrała Warszawę.
Tam codzień ludzi zacnych próżniacka gromada
Z domu do domu błądząc, gdzieś w wieczór osiada,
I w któréjkolwiek stronie na społeczność będzie,
Zawsze z nią niespokojność i obmowa siędzie.
Najznaczniéj ją składają wszędy wścibskie kmochy,
Przedwieczne koczkodany, gaduły, zrzędziochy;
Młodsze zaś, co przy starych obmawiać się uczą,
Całują się wzajemnie lub pod nosem mruczą.
Tłum się w koło uwija wiercipiętów pustych,
Ci mają cały zaszczyt historyjek tłustych.
Ten, że damie do ucha szepnie: — „Z mojéj łaski,
Będziesz miała na jutro angielskiéj kolaski.“
Ten, że podwieczorkami swój nierozum słodzi,
Ten, że cały dzień jak pień zamyślony chodzi,
Że na boleść czułego serca swego stęknie,
I że kilka głupstw późniéj niż inni przebęknie.
Jeśli kto rozsądniejszy, umiejący więcéj,
Przemówi co do rzeczy w téj zgrai zwierzęcéj,
Zaraz się cały motłoch nań z zgiełkiem poruszy,
I hałasem go swoim na wieki zagłuszy.

Co się zaś królów, książąt i ministrów tyczy,
Tych potwarz za najpierwszy cel swej złości liczy.
Któregokolwiek kraju chcesz otworzyć dzieje,
Wszędzie w nich oczywista ta prawda jaśnieje:
Nie masz nigdzie poddanych pospolitéj zgody,
Wszystkie się uskarżają na królów narody.
Ten podatków nakładem lud drobny ciemięży,
Ten swój naród uboży, a bogaci księży,

Ten dochody publiczne na fraszki roztrwania,
Ten się za cieniem próżnych projektów ugania,
Ten się nie zna na ludziach, i bez zasług, proby,
Nieznane na urzędy wynosi osoby.
Ten wolność odejmuje dla własnéj korzyści,
Ten ofiary wybiera podłéj nienawiści,
Ten okrutny, a ten zaś dobrocią zbyteczną
Rozruchom buntowniczym jest przyczyną wieczną.
O jak tu wiele fałszu między prawdy trochę,
Jak są mniemania ludzkie zazdrosne i płoche!

Kiedy tak nie oszczędza głów koronowanych,
Jak się wysila potwarz na lichych poddanych!
Zstąpmy do nich: zaraz się nowy widok wszczyna
Otwierając szanowny kościół Apollina,
Kościół, życzenia mego cel nader żądany,
Od większéj wierszopisów części niewidziany.
Wejdźmy doń, oto zazdrość, ta matka potwarzy,
Na prawdziwą naukę szkodne jady warzy,
I kiedy publicznego szacunku nie zmieni,
Własne gryząc wnętrzności, ze złości się pieni.
Tak brytan przykowany mocnemi ogniwy
Rzuca się i szczekając lud trwoży lękliwy,
Lecz widząc, że się próżno i szarpie i dąsa,
Łańcuch co go przytrzymał w swéj wściekłości kąsa.
Chociaż zawzięta zazdrość, co zasłudze szkodzi,
Powszechny jéj szacunek ten niesmak osłodzi:
Trudno, gdy za najwyższym rządem, od powicia
Taki los jest naszego nieszczęsnego życia.
Prywatnyś, masz zazdrosnych jako ty nieznanych,
Równie jak ty ukrytych, równie pogardzanych;
Niech cię na świetne miejsce fortuna wyniesie,
I tam za tobą zazdrość z skwapliwością pnie się.

Zazdrosny na gnoisku kogut się potyka,
Orzeł orła, byk sięga rogatego byka.
Wszystkich zazdrość dostaje szkodliwemi sztychy,
Fryzowane prałaty i strzyżone mnichy.
Wnijdź do nieba, a tam trzy boginie, rywalki,
Ustawiczne o piękność zwodzą z sobą walki;
Co z tém robić, do jakich świętych się uciekać?
Nic nie wiem: z cierpliwością lepszych czasów czekać.

DO WIERSZOPISÓW.

Scribimus indocti doctique poëmata passim.
Horat.

Moi wielce mościwi bracia i panowie!
(Boć to i u Was państwo czasem w pustéj głowie),
Różnego stanu, wieku, nauki, poeci,
Bękarty, czyli prawe Apollina dzieci!
Posłuchajcie, wszak słuchać nigdy nie zawadzi,
Jeśli co kto dobrego z przyjaciół poradzi.
Niegodny-m współczeladnik jest waszego cechu,
Pisałem, nie uszedłem pochwały i śmiechu.
Piszę przecie i pisać jeszcze długo będę,
Nim w rząd dobrych policzon na Parnasie siędę.
Są, którzy już za życia ozdobni laurami,
Jako z dziećmi swojemi postępują z nami,
A bystrym lotem swoim wzniósłszy się wysoko,
Ledwie na liche prace raczą rzucić oko:
Nie będę pochlebnemi, bo mi już obrzydły,
Błagał nieukróconą ich dumę kadzidły,
I żaden mi dotychczas nie zarzuci jeszcze,
Abym miał pochlebstwami podlić dary wieszcze.

Biskupi, kanonicy, świeccy i pijarzy,
Słowem wszyscy, którym się wiersze pisać zdarzy,
Czyńcie jak ja, bazgrajcie, drukujcie co chcecie,
Ale wszystkich bez braku nie chwalcie tak przecie.
Gdziekolwiek się obrócę, w które pójdę strony,
Wszędzie nudnemi rymy jestem zarzucony.
Ten człeka bez sumienia poczciwym być głosi,
Ten przedawcę ojczyzny w niebiosa wynosi,
Ten, że kto za pieniądze urzędu nabędzie,
Wielbi, i w zasłużonych chce go mieścić rzędzie.
Wiersze piszą, byleby czyje imieniny,
Wiersze znowu, byleby czyje urodziny,
Jeszcze wiersze, byle by kto sprzykrzywszy w domu,
Ślubował przy ołtarzu kaci wiedzą komu.
Jęczą prasy i biedni drukarze się pocą,
Głupie się mózgownice ledwie nie przewrócą;
Obiecują ojczyźnie poprawę złéj doli,
Dla czego? że się żeni jakiś pan podstoli.
Oto nieszczęścia wszystkie z ojczyzny wystraszy,
Żeniący się z sędzianką jakiś pan podczaszy.
Niech który mąż w chwalebnym zapale w łożnicy
Dziecko zbuduje, godne swojéj połowicy,
I ta je przez miesięcy dziewięć odtąd chora,
Na świat wyda z pomocą baby lub doktora:
Już hałas na Parnasie, nie śpią puste głowy,
Cel rymom jest dla wszystkich pochlebców gotowy:
Jeżeli syn, to będzie Aleksander pewnie,
Że się nie chciał urodzić prędzéj, płaczą rzewnie;
Byłby niechybnie przez swe męztwo i swe dzieła
Obronił to, co obca przemoc Polsce wzięła,
Lecz i tak nieomylne powzięli nadzieje,
Że nam z jego pomocą szczęście zajaśnieje.
Jeśli córka, to będzie Lukrecya czysta,

I z jéj to ułożenia już rzecz oczywista.
Każdy to przepowiada, a żadnemu przecie
Nie zdarzylo się zgadnąć dotychczas poecie.
Co dzień to w rymach waszych nadzieja nas krzepi
Że ma być kraj szczęśliwszy, że nam ma być lepiéj;
Co dzień się ludzie rodzą i co dzień się żenią,
Losy nasze bynajmniej w lepsze się nie mienią.
Dajcie pokój, gdy się wam nigdy nic nie iści,
Nie mając zwłaszcza żadnej z tych proroctw korzyści.

OSTATNI WTOREK.

Choćbym miał być łańcuchem do ściany przykuty,
Urwałbym się i jechał dzisiaj na Reduty.
Nie taniec mię tam zwabia; miłość nieszczęśliwa
Pewnie mię swą srogością na nic nie przyzywa.
Jedźmy jednak. Bądź zemną przyjacielu miły,
Tobie się me najskrytsze myśli wyjawiły;
Ty wiesz, jak o kim sądzę; ty mię, ja znam ciebie:
Chwalę kto wart pochwały, ale nie pochlebię.
Siądźmy tu, przypatrzmy się tym cudownym wzorom
Ich tańcom, ich chodzeniom, ich dzikim ubiorom;
A z tych rozmaitości biorąc pochop śmiechu,
Ucieszmy się prawdziwie godzinę bez grzechu.
Otóż Turczyn; strój ci to i postęp Turczyna,
Sułtana wspaniałego nawet wzrok i mina;
Dobrze to wszystko na dzień, ale w ciemnéj nocy
Nikt nic niewart w seraju bez tureckiéj mocy.
Huzar za nim, człek miły z figury i duszy,
Serca go otaczają gdziekolwiek się ruszy; [1])

[1]) Książę Czartoryski generał ziem podolskich.

W pięknym umyśle jego jam też kiedyś gościł,
Ale mi ten ponury gilbas pozazdrościł.
Co za ścisk, co za twarze! a każdy w tym tłumie
Wszystkich na siebie oczy obracać rozumie.
A jak się masz kochanku? i tyś tu jest z nami,
Muskany kawalerze z słabemi piersiami?
Jak cię ten tłok tak wielki dzisiaj nie zagniecie?
Idź raczéj prawić jakie płaszczyzny kobiecie.
Ustąpmy się, niech mają miejsce te dwie panie,[1])
Teraz ledwie szanowny wzrok kto rzuci na nie.
Ach! jakże się to z wiekiem czasy odmieniły!
Przed dziesięcią latami wyście réj wodziły.
Obróć koło nas kroki swe Hiszpanko żywa![2])
W tobie i dowcip bystry, i grzeczność prawdziwa.
Zrzuć maskę, nadto miła twarz się pod nią kryje;
Rozum z sercem, co rzadko, przed nią czołem bije.
Hałas jakiś. Zapewne wąsal pełen wina
Kłótnię o pierwszą parę lub o pannę wszczyna?
Bynajmniéj. Nowe maski wchodzą tak wesoło:
Oj! żebyśmy się mogli jak dostać w to koło.
Co za tłok! przejść nie można, pcham się sobą całym,
Jakie to jest nieszczęście być ślepym i małym!
A tak przecie dziękuję ci panie wysoki,
Żeś mnie raczył przed siebie puścić na dwa kroki.
Będę wielbił twą względną grzeczność, bo inaczéj
Nie widziałbym tych masek i byłbym w rozpaczy.
Ktoś poprzedza! Księżniczka, dziękujmy naturze,[3])
Że nam tę doskonałość dała w miniaturze.
Jak się w tak małem ciele tyle wdzięków mieści?

---

[1]) Krajczyna koronna i starościna Opecka.
[2]) Księżna generałowa Czartoryska.
[3]) Księżniczka Teresa Czartoryska.

Będzie to swego czasu wielki dziw niewieści;
A wstępując w matczyne ślady, słane różą,
Tak podchlebne zawiązki czegoż niewywróżą?
Sześć par widzę, a wszystkie i hoże i ładne,
Suknie ich są gustowne, strojne i paradne.
Tę słodkość ujmująca, cudna świeżość lica,
Tę zaś dowcip przenikły i grzeczność zaszczyca;
Tę jeszcze wiek dziecinny milszą oku czyni;
Na końcu matka wdzięków i gustu mistrzyni.[1])
Już po wszystkiém..... Idźmy ztąd, bo tutaj na nowe
Tany się zabierają widzę narodowe;
A mnie to nic nie bawi, że kto z tego tłoku
Pójdzie za łby o taniec, lub weźmie po boku.
Teraz się przecie między szczęśliwymi liczę,
Gdy twoje Amazonko oglądam oblicze.[2])
Twe oczy są twym łukiem, strzałmi twe wejrzenia,
I sposobu przed niemi nie masz ucieczenia:
A jeśli się kto śmielszy porwać na cię waży,
Czujna zazdrość, przy twoich wdziękach jest na straży.
Idź sobie, a daremnie myśli mych nie drażnij;
Za cząsteczkę nadziei, trzy części bojaźni!
Już jej nie masz, i świece na lichtarzach gasną,
Muzykanci nad graniem ledwo co nie zasną.
Jedźmy ztąd! Sny łaskawe bądźcie ku pomocy,
A czegom w dzień nie zyskał, nagrodźcie to w nocy!

---

[1]) Księżna Sapieżyna, kanclerzyna litewska, z córkami.
[2]) P. Izora, później Zajączkowa.

KOLASKA [1]).

(sen.)

Nie z potrzeby, ale z mody,
Leciał pędem panicz młody.
Konie w biegu się pieniły,
On je ćwiczył co miał siły.
— „Umykajcie, wołał, z drogi!“
Groził kijmi i batogi.
I ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę nie pospieszył.
Już to wielką świadczył łaskę
Kiedy skierował kolaskę.
O włos dziada nie przejechał.
I z przekąsem się uśmiechał.
Pędził dalej, jam rzekł cicho:
Będzie jemu kiedyś licho;
A wszak nie wyjdzie miesiąca,
On tu wszystkich poroztrąca!
Ale gdy tak zawsze leci
Z strachem starców, bab i dzieci:
Kędyś tam, na Nowym Świecie
Zawadził o kamień przecie.
Pękły osie u karocy,
A on wyleciał jak z procy,
I od tej modnej swywoli,
Jeszcze go bok dotąd boli.

---

[1]) Druk: w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ tom XVI, rok 1777.

ŻONA.

(sen.)

Patrz no, czym się nie odmienił?
Dziśem się przez sen ożenił.
Ach! bracie, jaka wygoda,
W pierwszych nocach, żona młoda!
Pomyśl sobie tylko proszę,
Jakie mogą być rozkosze?
Aż mi jeszcze idzie ślina;
W piętnastu leciech dziewczyna,
Na twarzy z różą lilija,
Gębusia *à la Davia.*
Oczy duże, żywe, czarne,
Miłe, lubieżne, figlarne;
Usta świeże, ząbki czyste,
Piersi twarde i toczyste;
Rączki pulchne, nóżka mała,
Wszędzie równa piękność ciała.
Patrz, wnetem się jéj uchwycił,
I pókim się nie nasycił,
Starałem się robić dziwy,
Nigdy syty, zawsze chciwy.
Osobliwszą jakąś mocą,
Dzień był u mnie nawet nocą,
A choć w najdłuższéj ciemnocie,
Nie zbywało na ochocie.
Lecz z czasem ustały siły,
Te igraszki się sprzykrzyły.
Żona była jeszcze młoda,
W samym kwiecie jéj uroda:
Tłum się gachów o nią kręci
Gdy ja nie mam do niéj chęci.

Odpowiem, rzekłem, przed Bogiem,
Jeśli ją puszczę odłogiem,
I przez jakieś sentymenta
Dam zakopać jéj talenta.
Nie jestem z siebie bogaty,
Będzie mi czynić intraty;
Nikt ubóztwem nie utyje,
Każdy z tego co ma żyje.
A skorom się zbył zazdrości,
Aż wnet u mnie suto gości;
Przybywali w dom mój rożni,
Goli, fircyki i możni.
Żona z każdym była grzecznie,
Starzy wzdychali serdecznie,
Fircyki mi się chlubili,
A bogaci zaś płacili.
Sprzyjało szczęście łaskawe,
Miałem dusie i zabawę:
Ani mi mieszały szyków
Żarty drwiarzów, złość języków.
Zawszem na to mówił: — Przecie
Trzeba coś znaczyć na świecie.
Ach! jak błądzą lata młode!
Do czasu dzban nosi wodę,
Z tym czasem wszystko ustawa.
Przyszła ospa niełaskawa,
Groźnéj jéj zlękły się ręki
Śmiechy, umizgi i wdzięki.
Znikła krasa a z nią w szlaki
Wyniósł się też jaki taki.
Dali nam na miejsce swoje
Gniewy, zwady, niepokoje.
Poszły z wiatrem wszystkie zbiory,

Dary, grzeczności, honory.
Lecz moja kochana żona
Pańsko żyć przyzwyczajona,
Wkrótce zjadła swoje grosze
I mnie skubała po trosze.
Obu nas czekała nędza:
Szedłem czém prędzéj do księdza.

— „Mój ty wielebny prałacie,
Tuszę, że mi rozwód dacie.
Oto mam przyczyny słuszne
Jak cielesne, tak i duszne.“
— „Pojmuję, rzekł, twoje żądze,
Ale masz że ty pieniądze?
Trzeba mi zapłacić wprzody,
Nie dają się tak rozwody.“

— „Niech się prałat upamięta!
Oto są impedymenta.“

— „To są tylko wszystko drwiny,
Bez dusiów nie ma przyczyny.“

Jam prawił morał z méj strony,
Lecz on był nieporuszony,
Z gniewem prośby me odrzucił...
Jam się tymczasem ocucił.

JAKA MA BYĆ ŻONA MOJA?

Pierwej ja się nie ożenię,
Aż póki w mej przyszłej żenie,

Znajdą mili towarzysze,
Wszystko to, co tu wypiszę:
Piękne lica, lata młode,
Zdrowie, nadobną urodę,
Dobrą duszę, serce czułe,
I z dukatami szkatułę;
Wychowanie w domu dane,
Nie modne, nie formowane;
Ambicyę, gust do cnoty,
Te są, których chcę, przymioty.
Miłość pierwszą, rozum zdrowy,
Nie modny, nie romansowy;
Wdzięki w farbach nie szukane,
I pieszczoty nie zmyślane.
Nie chcę ja tych nauk po niéj,
Których sama jéj płeć broni.
Dosyć téj nauki na nią,
Umieć być żona i panią.
Przytém niechaj będzie skromna,
W statku małżeńskim niezłomna;
Bo ja nie chcę być żonatym
Przeto, żeby być rogatym.

ŻĄDANIA MOJE.

Do ....

Gdyby łaskawa fortuna
Co bez brzytwy innym goli,
Dała strzyc swe złote runa
Mym żądaniom po ich woli,
Daleki od podłéj żądze,

Drugi stoik pełen cnoty,
Wzgardziwszy skarby, pieniądze,
Honorów pełne kłopoty,
Z serca przystałbym na mało;
A bijąc pragnieniom tamę,
Gdyby to się szczęściu zdało,
Tebym chciał mieć rzeczy same:
Pierścień soliter krajczego,
Biskupa Kujaw smak stołu,
Ekwipaż Baranowskiego,
I probostwo bez mozołu.
Coś z urzędu kapituły,
Ni też mam myśl zostać panem;
Wolałbym niźli infuły,
W Międzyrzecu być plebanem.
Ani pański, ani miejski,
Ni szeroki, ani wązki,
Blizko miasta domek wiejski,
Tak naprzykład, jak Powązki.
Dla większego w życiu ładu,
Kładąc mym żądzom hamulec
Chcę mieć, naprzykład, dla składu
I podkomorzego Szulec.
Owoce saskie na wety,
Piróg, co go robi Ruzia,
I dwa słodkie klarynety,
Skrzypce z gitarą i Józia.
Jeźlić przykrości nie czyni
I nie zatrudni pamięci,
Przenajłaskawsza bogini!
Słuchaj jeszcze jednéj chęci.
Chciałbym nabyć świeże prawa
Od trzech przyjaznych sąsiadów,

Na kraje, co im w moc dawa
Dziedzinę naszych pradziadów.
Nie żebym wyssał krew z ludu,
Ni się mienił królem Sanu,
Bez kontraktowego trudu
Wróciłbym je swemu panu.
Wtenczas kontent z moich losów,
W wybraném przyjaciół gronie,
Słuchając Parnasu głosów,
Bluszczem bym wieńczył me skronie.
A po długiém czerstwo życiu,
Pełen troski i zabiegu,
Widząc Polskę w dobrém byciu,
Na mych myśli żartkich zbiegu,
W śmierci nie tracąc nałogu,
Chcę w mym myślenia sposobie,
Mieć ostatnią myśl o Bogu,
A przedostatnią o tobie.

DO P. PORUCZNIKA.

Mój kochany poruczniku!
Na twoje imieniny
Stawięć z powinszowaniem w szyku
Wojsko z różnéj krainy.
Miéj do tańca, do ochoty,
I do kochanéj buzi,
Taką grzeczność i obroty
Jak kuglarze i Francuzi.
Niż Węgrzyn nakoniec lepiéj
Bądź wesół i żywy.

A który cię kiep zaczepi,
Bij jak żołnierz zapalczywy.
Niech ci szczęście w każdéj dobie
Tak dotrzymuje wiary,
Jak przyjacielskiéj osobie
Służą wierne Szwajcary.
Jak huzar polski we zbroi
Niechaj twa świeci cnota,
A zdrowie tak mocno stoi
Jak moskiewska piechota.

NA ANNIWERSARZ WESELA ELŻBIETY.

(Pisarzowej Litewskiej.)

Niech się z twoją pamiątką me pióro napieści,
Dniu luby, dniu doroczny rozkosznéj boleści!
W którym celniejsze pełniąc rzemiosło natury,
Elżbieta rozsączyła dziewicze purpury.
Z jakim nieznaną słodycz przyjmowała wstrętem?
Jak długo miała minę nieposłusznéj żonki?
Nieraz męża nazwała bezczelnym natrętem,
I nieraz w zachwyceniu rozdarła koronki?
Wiele było wymówek i sprzeczek jak siła,
Nim się bozkim rozkoszy nektarem upoił,
Nim róże z liliami na łup mu puściła,
I nim się wstyd rumiany z małżeństwem oswoił?
Tak Amazonka mając z Tezeuszem walki,
Długo Bellony równéj doznawała szalki;
Ale padła nakoniec srogim ranna grotem,
Bez siły i pamięci zlana krwią i potem.
Ach! jak ci był Elżbieto przykry dzień weselny,

Jakąż bojaźń sprawiała łożnicy godzina!
Mniemałaś, że już zginiesz, że to raz śmiertelny,
Który ci zadać miała strzała Kupidyna.
Nie śmierć ta strzała niesie, daje ona życie.
Niech często do swych celów trafia należycie!
Budujcie piękne ciałko, duszę dadzą Nieba,
Waszego nam plemienia gwałtownie potrzeba.
Póty się nasza kiedyś nie zagoi rana,
Potomność nie zapomni o téj smutnéj dacie:
Wtedy była dopiero Ojczyzna przedana,
Gdy żadnego z Potockich nie było w senacie. [1])

PORTRETY PIĘCIU ELŻBIET

bezstronnym pędzlem malowane, i w dzień ich imienin darowane, od przyjaznego osobom ich sługi. [2])

P. K. H. P. Krakowska.

Przy wielkich oświadczeniach nie służy nikomu,
Grzeczna, ale swarliwie skąpa w swoim domu,
Nie miłości, mało zna przyjaźni jej dusza,
Nikt prócz braci zimnego serca jej nie wzrusza,

---

[1]) Całkiem tego rodzaju, lecz nierównie swawolniejszy jest wiersz Trembeckiego: Do Książęcia Hier. Radziwiłła żeniącego się z Wikt. Ostrożanką, Epitalamium Hipolitowi i Belindzie (wierszy 136). Widocznie jednak na seryo pisany, celem ofiarowania nowożeńcom.

[2]) Według rękopisu znajdującego się w Bibliotece Ossolińskich, Nr. 451, str. 398, i Akad. Umiej. w Krak. Nr. 11618.

Lubo pozoru nie ma, ma umysł bigotki,
Nie mówi źle o ludziach, lubi jednak plotki.

X. G. P. Xiężna Generałowa Podolska.

Przyjemności w dowcipie swoim ma tak wiele,
Ile wdzięków w powabnem i kształtnem jej ciele,
Ma dziwactwa zawziętość i razem jest płocha,
Bez przyczyn nienawidzi, i bez przyczyn kocha,
Dzieciom wielką, mężowi miłość chowa mierną,
Umie być Penelopą razem i niewierną.

X. M. K. Xiężna Marszałkowa Koronna.

Z grzeczności Czartoryska, znać i z jej wejrzenia
Ma jednak wykwintnego nadto przymilenia,
Mówią że miłosierna, radem wierzyć temu,
Wyświadczyła nie mało *Domowi Nowemu*[1])
Przy znacznych jej przymiotach, chytrość jeszcze wini,
Dla tych przyczyn, u wielu wzgardzoną się czyni.

P. P. L. Pani Pisarzowa Litewska.

Przyjemna, grzeczna, dobra, dowcipna i żywa,
Któż cię w tym Pisarzowa postrzedz nie spodziéwa.
Dałbym życie, aby twój mąż Bakałarz srogi,
Mógł na swym łbie uczonym ciężkie dźwigać rogi.
W swojéj byś go nakoniec stawiła kolei,
Lecz cnota twa nikomu nie czyni nadziei.

X. W. Xiężna Wojewodzina Mścisławska.

Związkiem ścisłym spojone chodzą na wyścigi
Rozkosz dla ciała twego, dla duszy intrygi,

---

[1]) Znaczy Francuza nazwiskiem *Maison neuve*. Szambelan faworyt. W egzempl. Ak. Um. ostatni dwuwiersz:

Przy znaczniejszych przymiotach ta słabość nie wini,
Owszem, w oczach młodzieży szacowniejszą czyni.

Rządzić czasem i sobą umiesz po staremu,
Bo jedno nieprzeszkadza czasami drugiemu,
Być drugie, tak jak pierwsze wiodło się skutecznie,
Polską całą mogłabyś rozrządzać bezpiecznie.

MÓJ ŚWIAT.

Niech kto chce wielbi dawne swobody
I złote wieki Astrei,
I Adamowe rajskie ogrody
Z wiekiem Saturna i Rhei.
Ja jeden kontentem przecie,
Że teraz żyję na świecie.
Wiek ten złośliwy, wiek opłakany,
Czci ani wiary niegodny,
Niech sobie będzie jak chce nazwany,
Dla mnie on bardzo wygodny,
I to mi jest bardzo miło,
Że dziś mi się żyć zdarzyło.
Kocham się w zbytkach, pieszczoty lubię,
Kunszta i życie wygodne;
Porządek chwalę, gustem się chlubię,
I to mi ładne co modne;
Niech to gust będzie złośliwy,
Tak myśli każdy uczciwy.
Bawi to duszę moją zwodniczą,
Gdy mi dostatek obficie
Nowe potrzeby, z nową słodyczą,
Na moje znosi użycie,
A ja mych przodków wyrodek
Wszelkich używam wygodek.

Ziemia swą żywność, niebo widoki,
Ogień mi daje wygodę;
Ptactwo i ryby swojemi zwłoki
Mnożą mi moją swobodę.
Wszystko mi w życiu przyjazne,
Szczęśliwe wieki żelazne!
Jeśli to u mnie w małym jest względzie,
Że nie tak żyli przodkowie,
Że wolę biszkokt niźli żołędzie,
Niech mi kto na to odpowie?
On żołądź smaczną rozumiał,
Bo chleba upiec nie umiał.
Mało dbam o to, że tém nie będę
Czém próżność może mię łudzić;
Spokojny zawsze z cnotą usiędę,
Ni się dam pysze przebudzić.
Nikomu nic nie zazdroszczę,
Sam się o przyszłość nie troszczę.
A jeśli sobie wyżéj kto ceni
Żyć pół w nadziei, pół w strachu,
Mnie lepszy własny wróbel w kieszeni,
Niż cudzy gołąb na dachu.
Myślcie sobie jako chcecie,
Dla mnie dość w dzisiejszym świecie.

OBYWATEL PRAWY.

Czas nieszczęścia i hańby, przez podłość i zdrady
Pomnożonych wyrodków, prawie zgładził ślady
Cnych miłośników twoich, Polsko! W schyłku sławy
Zbyt zapomniałaś co jest obywatel prawy.

Chcę ci jego przed oczy wystawić rzetelny
Obraz, i do wzbudzenia naśladowców dzielny.
Nie jest on myśli tworem: z swych rysunków znany
Niedogasłéj nadziei wzmoże promyk chwiany,
Gmin tu od sławy przodków i cnoty odrodnych,
Tak chciwych rządzić sterem jak rządzić niegodnych,
Usłuży czarnym cieniem brzydkich wizerunków
Do wybitnego pięknych wydania rysunków.
Ten z przychodnią pomocą własną złączył zdradę,
A darmo chytrą mową chcąc okryć szkaradę,
Na czas, na okoliczność, na ciosy niedoli
Zwala skutek swéj zbrodni, swéj przedajnéj woli.
Gasi żądze obrony i ostatki męztwa,
Radzi ustąpić mocy podłego zwycięztwa.
Aby wcale zagubić matkę próżno zwaną,
Sam tnie, rani, kaleczy od obcych szarpaną.
Ów, rozbita ojczyzna kiedy wszystko traci,
Z smutnych łupów, wśród burzy w mgnieniu się bogaci.
Mienia obywatelów potrzebą ściśnionych
Idą zwiększać dostatków ze skarbu zwróconych.
Kiedy Polska zniżona i wstydem okryta,
On pychą wzdęty cienie czci i nazwisk chwyta.
Inni bez światła, próżni wiadomości rzeczy,
Niegodnie się podjęli publicznych spraw pieczy;
Albo chytrością gorszych w błąd ślepo popchnięci,
Lub słabych serce truciznę, bojaźnią przejęci,
Idą podle się zginać z swoimi hersztami,
Poświęcając ojczyznę przed gwałtu bożkami.
Równéj zbrodni swém głupstwem i lękaniem winni,
Gdzie z rozumem i męztwem wnijść byli powinni.
Wśród tych okropnych poczwar, co szpecą ród ludzi,
Wspaniały obraz nowe serc wzruszenie wzbudzi.
Prawdziwy obywatel, radca nieskażony,

Serce mężne, a umysł niesie objaśniony.
Zna i lubi powinność, zna sprawy ojczyzny,
W środki dzielne i w radne wynalazki żyzny
Odkrywa zdradę, hańbi podłość, dźwiga cnotę,
Gdy upór przekonywa, naucza prostotę.
Sprawiedliwość, odwagę, tchnie słowy, przykładem.
Nie strwożon, Rzymian idzie i Spartanów śladem.
Czuje krzywdę i zbrodnię, hańbę niżéj kładzie
Niż śmierć i niż niewolę, i w skutku i w radzie.
Czy po odważném mową zdania wyrażeniu,
W czynach się z mową zgodnych zamknie i w milczeniu;
Czy znowu duchem wyższym ruszony potężnie,
Przed obliczem narodu odezwie się mężnie:
Zawsze znać, że ni zysku chęć go wzniosła podła,
Ni osobista żądłem nienawiść ubodła.
Mocą prawdy i czucia tchnie, chwieje, porusza,
Przez usta się udziela drugim jego dusza.
Grom wspaniałéj wymowy wali podłość zdrady,
Łamie stawione trwogi, sromotne zawady;
Kruszy dumę nadętą, mężnych, dobrych chwali,
Gnuśne serca rdzą tknięte nowém męztwem stali;
Groźby, gwałty i skargi bezwstydne wyzywa,
Gryzie się pod nogami złość błaha i mściwa;
Przymuszona szacować cnotę nielubioną,
Choćby wzięła jéj życie, zna się zwyciężoną.
On niby szkopuł, kiedy walą go bałwany
Rozjuszonego morza, stoi niezachwiany;
A Neptun darmo szturmów zażywszy i trwogi,
Składa srogość zniżony i liże mu nogi.

ZŁE CZASY, NIE JA.

Gdyby mię pięknym stworzyła natura,
Małobym wcale troszczył się o siebie,
Bo mię babunia pokochawszy która,
Hojną by rączką wspierała w potrzebie.
Albo też gdybym urodził się panem,
Doszedłbym chwały i względów świątyni:
Byłbym rozumnym, grzecznym i kochanym,
Bo złoto teraz z głupca mądrym czyni.
Lub chciałbym wiedzieć szczęśliwego sposób,
Co bez majątku i nauk, a przecie
W gronie najpierwszych umieszcza się osób
I w pięknéj jeździ w resorach karecie.
Przystałbym w służbę króla Faraona,
Gdyby był swoim faworytom stały,
Lecz jak mu padnie myśl w głowie szalona,
Wydziera płatę i majątek cały.
Szukałbym szczęścia w żołnierskim mundurze,
Lecz cóż? kiedy ja życie steram w boju,
Młode paniątko, przez matulki burze
Dostanie wakans, siedzący w pokoju.
Względy u dworu są słońca promienie,
Co wzniosłych tylko jodeł wierzchy grzeją,
A nizkie krzewy skryte pod ich cienie
Nie ogrzewane, bez wzrostu niszczeją:
W gnuśném zaś zasnąć bez czynów łożysku,
Stać się próżniakiem, niedbałym, leniwym,
Lub mieć dostatki, a być w pośmiewisku,
Jest to być w samém szczęściu nieszczęśliwym.
Cóż mi ów kanon, co się pasąc długim
Dziesięciu zbiorem, z utuczonym brzuchem,
Nieużyteczny ni sobie, ni drugim,

Uległ pomiędzy kucharką i puchem?
A gdy zaległéj raz mu dziesięciny
Ktoś niezupełnym odmierzył wydziałem,
Chociaż był odpust od kary i winy,
Wyklął z ambony i z duszą i z ciałem.
Albo ów sknera, istny żyd nie syty,
Co zdzierstwem z swych się sycąc biednych kmieci,
Ludzi nie znając, sam w domu ukryty,
Radby zamienił w złoto własne dzieci?
Niewiele i ten w świecie użyteczny,
Co cnotę gdzieś tam zbywszy na tandetę,
Kręciel, oszczerca, zdrajca i wszeteczny,
Na tém, że filut, zakłada zaletę.
Czasy złe wprawdzie w tym wieku nastały,
Że żyjąc z cnotą trudno być szczęśliwym;
Nie będę jednak nigdy tak zuchwały,
Bym pragnąc szczęścia, stał się niepoczciwym.

MELANCHOLIA.

Nudów gromada zewsząd mię opadła,
Tęskność po całéj rozeszła się duszy,
Serce ból trapi, a namiętność zjadła
Głowę mi suszy.

Fortuna szydząc omija mię bokiem,
Ubiegła młodość, gnuśne pełzną lata;
Dziewczyna nawet krzywém patrzy okiem
I mną pomiata.

Ej! jeśli sprzyjasz węgrzynie kochany,
Podaj ty przecie, podaj mi ratunek,

Podaj na głowę i na serca rany
Skuteczny trunek.

Ani mię płomień ususzyć miłości,
Ani do szczętu zdoła los utrapić,
Bylebym jeszcze mógł w dolegliwości
Wina się napić.

PRÓŻNY USIŁEK.[1])

Darmo Pafnucy siedząc na pustyni,
Świętych na rozum używa omamień:
Nieczułym nigdy siebie nie uczyni,
Człowiek nie drewno, a serce nie kamień.
Trudno to nazbyt, by skłonność natury
Cudownym hartem miała się zatwardzić,
By pośród czarnéj trując wiek klauzury
Mogła gwałtowną natarczywość wzgardzić.
I oczy zamruż, i zatul swe uszy,
W serce z tém wszystkiém ułomność ubodzie,
Ta ci przekona dzielność słabéj duszy
I rozum w tkliwéj pomiesza przygodzie.
Ty się w zbawienne uzbrajasz puklerze,
Akty strzeliste, mocne przedsięwzięcia;
A wtém Kupidyn lichą strzałkę bierze,
Słabniesz natychmiast od jednego cięcia.
Chytre to dziecko, tego naprzód siecze,
Kto niby stroniąc jego broń pomiata,

---

[1]) W Miscellaneach Nr. 11618, str. 304. rękopis Bibl. Akad. Umiej. podany ten wiersz jako utwór Kniaźnina.

I w grubym worze, i w kniei dociecze,
Nic nie zważając na stan i na lata.
Czyliż być może, by człowiek człowieka
Naturę stradać mógł jakim sposobem?
W jaką się kolwiek postawę obleka,
Natura jest mu kolebką i grobem.

PODZIAŁ CZUŁEGO Z MŁODYM.

W jedném stołeczném mieście
Mieszkała pewna dama niezmiernéj urody,
Z piękném ją urodzeniem wiek zaszczycał młody
I inne chluby niewieście.
Niełatwa umizgów sztuka,
Wzrok, kibić, grzeczność, nauka;
Takie dary i przymioty
Nejednemu z młodzików w oczy uderzyły,
Nie każdy był jednak miły,
Choć się jéj podobania dosyć miał ochoty.
Pomiędzy tą liczną zgrają
Letnich, młodzianów i pustych fircyków,
Najwierniejszy z miłośników,
Jakiego żadne romanse nie mają,
Czuły i tkliwy,
Powiadano, że cnotliwy,
Czuć go na milę miłością,
Bez przestanku łaził za imością;
Ustawicznie wzdychał, szlochał,
Powiadał jéj, że ją kochał,
I powtarzaniem własnéj czułości,
Tak ją nudził, tak swędził,
Że ją był prawie wynędził,

I zaledwie ze skórą zostawił jéj kości.
Wszyscy się litowali nad tą damą młodą;
Szczęściem się chłopiec natrafił raźniejszy
I do miłości zdatniejszy,
Który zdjęty jéj urodą
Zaczął jéj nadskakiwać i szeptać do ucha.
Choć to do rzeczy nie było,
Młodość młodości łatwiéj jednak słucha,
Z równym się rozumieć miło.
Nakoniec, po staraniach dziełu przyzwoitych
I trudnościach w nich zażytych,
Dopiął swego mój młodzieniec;
I właśnie, gdy zwycięzki kładł na głowę wieniec,
I pieścił się z najmilszą zdobyczą swych trudów,
Przez przypadek nieszczęśliwy
Nadszedł na to Lubon tkliwy,
I stał się widzem tych cudów.
— „Nieba! zawołał, i ty jasne słońce!
Księżycu! co oświecasz zdradne niewierności,
Wy świadkowie mych czułości,
Gwiazdy świetne, nocy gońce!
Przestańcie świecić, przykra mi jest światłość wasza,
Wzrok mój mocy jéj nie znasza.
Róże! coście czułości ozdabiały czoło,
Możecie już więdnąć sobie,
Po tak nielitościwéj na mą tkliwość probie
Patrzeć już na was nie mogę wesoło.“
— „Nie skarż się, rzecze mu przyjemnie,
Piękna dama, na któréj niewierność narzekał:
Czyniłam co było ze mnie,
Abyś na twoją szczęśliwość nie czekał.
Coś dziś widział, gorszyć się z tego nie masz prawa,
Na obu jestem łaskawa

I nadgrodę za miłość waszą dzielić muszę:
Jemum ciało już dała, tobie daję duszę."

FANATYZM.

Krzyż w jednéj ręce, żelazo ma w drugiéj,
Zasłonił oczy, pozatykał uszy,
Tak świat obiega, jak jest w sobie długi,
Wszystkiego dotknie i z gruntu poruszy.
Gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany,
Dojdziesz go czarnym zostawionym śladem;
Lubi kaleki, śmierć, nędze i rany,
Pije łzy cudze, tuczy się swym jadem.
Gdy złych od dobrych świat zobaczy przedział,
Temu Sędziemu co na ten czas rzeczem,
Który swym uczniom wyraźnie powiedział:
Ja was na ziemię nie posyłam z mieczem?
Czy Molochowe wskrzeszamy obrządki,
Gdzie krwią człowieka błagany Bóg srogi?
Czy Buzyrysa milsze nam pamiątki,
Który zabijał przychodnie w swe progi?
Oto syn tłumiąc przyrodzone prawo,
Z własnego ojca uczynił ofiarę;
Ten padł, ów na nim trzymając broń krwawą,
Wraz woła ranny z raniącym za wiarę.
Wiaro! ty czysta przysłana na ziemię,
Ale cię człowiek zabobonem szpeci;
Ty chcesz, by ludzkie kochało się plemię
Jako jednego ojca jedne dzieci.
Bóg od nas wszystkich wyciąga swéj chwały,
Pod jednym żyje naród ludzki panem;
Afryckich pustyń tułacz ogorzały,
Z Japonem, albo Chińczyk z Luzytanem.

Za cóż dla wiary miecz kto w ręku nosi?
Pokrzywdza Niebo i prawo natury:
Kiedy ktoś ręce równo zemną wznosi
Nie potępiać go, on je wzniósł do góry.
Czyż to nie lepiéj Rzym rozumiał stary?
Aby zamieszkom powszechnym zaradził,
Szczęśliwe skutki z różnéj robiąc wiary,
Bogi narodów w stolicę wprowadził.
Gdy różne bóztwa ręce sobie dały,
Serapis został Jowiszowym bratem,
Eufrat się z Tybrem w jedno łoże zlały,
Rządził Rzymianin uciszonym światem.
Jeśli niebaczność dotąd była głucha,
Idź, ktoś wykroczył przykładami temi;
Człowiek szczególniéj niech zwierzchności słucha,
A tego wielbi, co jest ojcem ziemi.
Nie mamy prawa z bronią w ręku pytać
I o rzecz świętą pastwić się nad bratem;
Ty co te wiersze będziesz kiedyś czytać,
Wspomnij, że chciałem być sędzią nie katem.
Jam ci z rąk wydarł oręż zgotowany
I ślepy zapęd zwolna ułagodził,
Żeś się nareszcie i sam przekonany
Z rozumem, sercem i wiarą pogodził.

PRÓŻNOŚĆ ŚWIATA. [1])

Żyjmy dla siebie miły Stanisławie,
Gdy mamy myśleć, myślmy o zabawie;

---

[1]) Ten wiersz w Zbiorze Akad. Umiej. Manuskrypt N. 11618. str. 454 figuruje jako Józ. Szymanowskiego.

Tobie ma przyjaźń, mnie twoje kochanie
Za świat niech stanie.

Co robią inni, niech cię to nie dziwi,
Ludzie są głupi, próżni i złośliwi.
Niech czynią co chcą, przy tém ich zostawmy,
A my się bawmy.

Ten wir nudności, co go świat nazwali,
Nie wart, żebyśmy nim się zaprzątali.
Ten będzie tylko wysoko go ważył,
Co go nie zażył.

Już my widzieli rozmaite stany,
Doznali różnéj fortuny odmiany.
Niech każdy co chce o świecie nam prawi,
My nie ciekawi.

Widziałeś krzesła, ordery, infuły,
Obszerne władze, wysokie tytuły;
Cóż jest ta dziwna licznych stanów różność?
Głupstwo i próżność.

Ja z méj nizkości gdy na ten świat patrzę,
Wystawiam sobie, żem jest na teatrze:
Każdy przedemną w swéj roli się stawi,
I mnie to bawi.

Adrast po mieście grzmi z wielkim łoskotem,
Wypchał swój pojazd próżnością i złotem;
Świat czci Adrasta, a my z naszą cnotą
Idziem piechotą.

Ale natura słuszna i wspaniała
Za jego złoto spokojność nam dała;

On się z nudności w swéj karecie kręci;
Gdy my kontenci.

Niechaj się troszczy majtek pośród toni,
By mu pomyślny w żagiel dął Fawoni,
Niech suszy głowę gospodarz troskliwy
O swoje niwy.

My lubo żyjem jak inni na świecie,
Inném prawidłem rządzimy się przecie;
Mniejsza o herby, wstęgi, parentele,
Lepsze wesele.

Śmierć nieużyta w jednakowéj parze,
Równie zabiera kmiotki jak mocarze.
Czas prędko bieży, a my póki żywi,
Żyjmy szczęśliwi.

FILOZOF.

Czy mam złoto, czy bez złota,
Zawszem żwawy i wesoły;
Poczciwego zdobi cnota,
Ani mu wstyd kiedy goły.

Żony nie mam, mieć jéj nie chcę,
Bo znam co to być żonatym;
Próżna duma mnie łechce,
I na cóż mam być bogatym?

Gdy mi dobrze idą rzeczy,
Fortunie bardzo dziękuję;
Gdy mi swoich względów przeczy.
Wcale się tém nie turbuję.

Żeby mię niewiem jak srogim
Ciosem, fortuna ściskała,
Nie zrobi mnie tak ubogim,
By mi cnota nie została.

Niewielkich skarbów potrzeba
Na moje drobne ekspensa:
Żyję bez białego chleba
I bez kosztownego mięsa.

Ni mnie trzeba kosztu na to,
Żebym coś na świecie znaczył;
Ani się stroję bogato,
By mię ktoś przywitać raczył.

Nie zabieram spółki z temi,
Których przyjaźń ma kosztować,
Bo nie chcę pieniędzmi memi
Przyjaciół sobie kupować.

Przyjaźń, co odbiega w nędzy,
Co się nie jedna z przymioty,
Co jest tylko dla pieniędzy,
Traci u mnie imię cnoty.

Tak więc żyjąc w własnym domu,
Mam się za dość bogatego;
Kiedym niedłużny nikomu,
Kontent jestem z losu mego.

POPRAWA WARSZAWY.[1])

Pełna niegdyś Warszawa zbytków i rozpusty,
Skromnie teraz zaczyna odprawiać zapusty.
Ustały już assamble, pikniki, baliki,
Zniknęły pełne złota bankierskie stoliki;
Tłumne dawniéj i jasne redutowe sale
Już wcale są przestronne po tym karnawale.
Spociwszy się po tańcu, ziółka popijają,
Ostrygi krwi nie psują, szampana nie znają;
A Majnerty i Włochy, redutni kramarze,
Już biedni bankrutują na swoim towarze;
Ów ledwo utarguje kawy lub herbaty,
Ten zaś dwa, lub trzy złote, włoskiéj czekolaty.
Wszyscy są filozofi, każdy medytuje,
Każdy nad marnościami świata rozumuje.
I ten co wczoraj szalał, co złoto rozsiewał,
Dzisiaj czyta Senekę: któżby się spodziewał!
Wszystko menaż oznacza, i mury i ściany,
Wszystko teraz statkuje, i sługi i pany,
Reszta jeszcze świstaków saneczkami dzwoni,
Roztrąca po ulicach, swoje głupstwo goni;
Lecz i tego niedługo, bo wszystko czas mierzy,
I tych albo pieniądze lub sanna odbieży.
Ciesz się cały narodzie, że choć po niewczasie,
Nasza jednak Warszawa znacznie poprawia się.
Lecz długież te nadzieje? długie obietnice?
Oto póki nie przyjdzie złotko za pszenicę.

---

[1]) Ten wiersz w Miscellaneach z XVIII w. w Bibl. Akad. Umiej. str. 174. figuruje jako utwór Trembeckiego.

PRZYPADEK W PIWNICY.

Nie bardzo dawno przypadek się zdarzył,
Ksiądz prałat kwestarz o nim mi dziś gwarzył.
Czy to jest prawda, czy to rzecz zmyślona,
Ja powiem jak mi była doniesiona.
Na Rusi, niedaleko miasteczka Głogówka,
Żyje majętna i nieszpetna wdówka.
A że ludzka w swoim domu,
Więc nie bronny wjazd nikomu:
Senatory, dygnitarze,
I sąsiedzi i kwestarze,
Starzy, młodzi i fircyki,
Proboszczowie, kanoniki,
Owo zgoła wszyscy święci
Zawsze grzecznie są przyjęci.
Latem raz było, kiedy wszyscy słudzy,
Jedni w jagody, w grzyby poszli drudzy,
A pani sama, że było gorąco,
Została z panem i panną służącą:
Wtém, jak zwyczajnie zawsze tam bywało,
Gości się wiele zjechało.
Nie było komu, tak się zdarzyło,
Pannie po wino trzeba iść było:
Panna lękliwa
Pazia z sobą wzywa.
Idą więc w dwojgu, lecz czy licha zjedli?
Oboje gdzieś siedli:
Mija godzina,
A nie masz wina.
Pani zła, że czeka,
Posłać zaś po nich nie ma w domu człeka.
Szczęściem, w pokoju, chłopczyk był w lat pięciu:

Każe więc imość temu iść dziecięciu.
Bieży chłopczyna, zagląda w piwnicę;
Nie wiem jaką tam ujrzał tajemnicę . . .
Cofnie się pędem tylko do jejmości,
Tak przelękniony krzyknie w pośród gości:
„Ach! moście dobrodzieje!
Źle się u nas dzieje:
Panna leży bez duszy, już, już dogorywa,
A paź kiedy niekiedy sam się jeszcze kiwa.“

MĄDROŚĆ.

Ktokolwiek całe życia powaby
W samych dostatkach pokłada,
Błądzi mém zdaniem, i umysł słaby
Więcéj niż rozum nim włada.

Ja, ile ze mnie, tych tylko w życiu
Chciałbym nazywać szczęśliwych,
Co przy rozumie, a mierném byciu,
Wolni od trosków zgryźliwych.

Cóż jest to złoto, które tak mocne
W ludziach pragnienie podnieca?
Pewnie do zdrowia jest im pomocne,
Albo im w nocy przyświeca?

Jest prosta ziemia; lecz za niecnotę
Bóg chcąc nas pono ukarać,
Tak wielką do niéj wlał w nas ochotę,
Że o nią musim się starać.

Już i przestrzenie mórz zbyt głębokich
Ułomną łodzią zbiegamy,
Skryte pod niebem Andów wysokich
Śnieżne wierzchołki zwiedzamy.

Z wieków nietknięte indyjskie niwy
Kolumbus pierwszy splondrował,
Mniéj baczny, czy gdzie Bóg sprawiedliwy
Końca zuchwalstwa nie chował.

Nie chcę ja skarbów, co tam za niemi,
W życiu nieznając pokoju,
Przewraca murzyn wnętrzności ziemi,
Oblany we krwi lub znoju.

Bo któż przy kupach potężnych złota
Doznał prawdziwéj swobody?
Nie zasłoniły złociste wrota
Krezusa, ni liczne grody.

Ów, co przezacny stem grodów władał.
Kreta go cała wielbiła,
Lubo z bogami za stoły siadał,
Śmierć go zarówno zgładziła.

Mądrość jest sama, mądrość boginı
Szczęściu ludzkiemu przyjazna;
Kto się polecił do jéj świątyni,
W życiu ten smutku nie zazna.

Widokiem śmierci nieustraszony
Ateński mędrzec spoczywał,
Mało pamiętny, iż naznaczony
Moment dekretu przybywał.

Ni śmierci widok, ni wzrok tyrana
Cnoty prawdziwéj nie zmaże:
Mądrość im bardziéj prześladowana
Tém się wspanialszą ukaże.

Niech kto chce ołtarz fortunie stawi,
Ja się jéj darem nie nęcę:
Mądrość i cnota mię tylko bawi,
Tym życie moje poświęcę.

NICE.

Tam pod zielonym lasem
Poniżéj małą dolinę,
Gdym do dom wracał, nawiasem,
Zoczyłem śliczną dziewczynę.

Pasła bieluchne owieczki,
A siedząc w cieniu bukowym,
Wiła różane wianeczki
Z rutą i liściem mirtowym.

Ledwiem ją zoczył z daleka,
Serce mi gorzeć zaczyna,
Ogień mi zewsząd dopieka,
Biegnę gdzie owa dziewczyna.

Przyskoczę do niéj, przywitam,
Mile przyjmuje co czynię,
Zkąd i co robi się pytam,
Siadam przy grzecznéj dziewczynie.

Z oczu, z uśmiechu, wejrzenia,
Poznałem, że mną nie gardzi,
Przyjęła mile ściśnienia,
Pocałowałem tém bardziéj.

Ślicznych ust wdzięczne jagody
Niezbronne ustom mym były,
Nie dla każdego te gody
Podobnoby się zgodziły.

I mleczne piersi choć z strachem
Po trosze przecie ściskałem,
Ale tym samym zamachem
Że więcéj wolno, doznałem.

. . . . . .

Skorom skosztował do woli
Co Nice miała słodyczy,
Opuściłem ją powoli,
Wziąwszy wianeczek w zdobyczy.

Odtąd jużem jéj nie zoczył,
Choć nieraz długo szukałem,
Choć okolicem wszystkie okroczył,
Choć niejednego pytałem.

Aże dopiero pszenicę,
Kiedyśmy żęli w tém lecie,
Postrzegłem jako ma Nice,
Niosła na ręku swe dziecię.

Ale bojąc się, by z żalu,
Nie chciała wydać mię komu,
Ominąwszy ją pomalu,
Uciekłem spieszno do domu.

CO KTO LUBI.

Niechaj się opój kieliszkiem bawi,
Szuler przy kartach niechaj czas trawi,
Jeździec na koniu niechaj uwija,
Żołnierz na wojnie niech drugich zbija,
Dworak w pałacach niech piętą kręci,
Lichwiarz niech piątki, soboty święci,
Jurysta niechaj z swych kratek gada,
Xiądz niechaj zdziera, choćby i dziada,
Mnich niech po domach sandały gubi:
Bo tak najlepiéj, jak kto co lubi.

DO ROZYNY.

Spojrzyj Rozyno jak świat szeroki
Na ziemię, morze i na obłoki;
Bogów i ludzi, ryby, zwierzęta,
Słodka miłości wabi ponęta.

Jaki błąd próżny wielu z nas łudzi,
Że miłość tylko służy dla ludzi!
Już my się dzisiaj bardzo zepsuli;
Ptaszki, ach! ptaszki kochają czuléj.

Czyś nie widziała gołębi dwoje
Jak pyszczki łączą miłośnie swoje?
Czułość wzajemna, co ich upaja,
Zda się, że każde piórko podwaja.

Dla czego słowik przed słońcem wstaje?
Bo miłość tkliwa spać mu nie daje.

Czemu tak jego przyjemne pienia?
Bo to miłości czułéj natchnienia.

I takich istot w naturze siła,
Którym że czucia dar odmówiła,
Same się kochać nie będąc w stanie,
W innych przynajmniéj niecą kochanie.

Dla tego strumyk szemrze w swym biegu,
By amant wzdychał przy jego brzegu.
I wonne kwiaty i miękkie trawy
Są dla miłosnéj stworzone sprawy.

Idąc Rozyno za przyrodzeniem,
Żyjmy jedynie miłości tchnieniem;
Związek na wieki słodki i ścisły
Niech nasze spaja serca i zmysły.

MYSL O POEZYI.

Jeśli do ciężkiéj przykuty roboty
Mam bawić innych wśród mojéj tęsknoty;
Jeśli wiersz tylko z pracą wymuszony
Wiecznéj pamięci ma być poświęcony;
Jeśli smutnego słuchając prawidła,
Mam bujnéj myśli hamować wędzidła:
Zbyt obarczone chętnie kruszę pióra,
Dla mnie świat polem, granicą natura.

NA ŚMIERĆ MARGRABINY DU CHATELET.

Ozdobę swą świat stracił w téj pani osobie,
Kochała rozkosz, prawdę, nauki i cnoty,
Bogowie swą jéj duszę dając i przymioty,
Jedynie nieśmiertelność zachowali sobie.

W KARLSBADZIE, NA STUDNIĘ NEUBRUN, GDZIE PIŁ WODY KS. KRASICKI B. W.

Ten co kastalskie zdroje czerpał, gdy był młody,
Czerpał dziś z tego źródła karlisbadzkie wody.
O wody! bądźcie mu tak jak tamte skuteczne,
Dajcie mu życie długie, bo z tamtych ma wieczne.

ROZWAGA.

Więzień do kajdan swych przyuczony,
Tak jak do klatki ptaszyna,
Dopiero gdy z nich jest uwolniony,
Czuć ciężar onych poczyna.
Nie czuje razów ognia, żelaza,
Ciężką niemocą zwątlony;
Lecz gdy choroby minie zaraza,
Poczuje, że był raniony.

DO .....

Wody żyjące, co w waszym biegu
Ożywiać cały kraj macie,
Jeśli mdlejecie zaraz u brzegu,
A na cóż potém się zdacie?
Z waszych czekają darów ochłody
Łąki i role spragnione,
Wy ożywicie zwiędłe ogrody,
Nie gnijcież w źródle zamknione!

NAPIS NA DOMKU.

Na świecie z znajomymi, tu z przyjaźnią żyję,
Kocham ile sił starczy, miernie jem i piję;
Od pustego fircyków odłączon hałasu,
Przegwizdywać ich nawet nie staje mi czasu.
Szczuplejsza tu daleko zabaw moich sfera,
Rozkosz mi prawie wszystkie momenta odbiera.

I N N Y.

Śmiertelniku! o rozkosz masz się w życiu starać,
Nie wierz, by cię po śmierci miano za to karać:
W tym sposobie myślenia bądź jednak ostrożnym,
Poczciwemu jest tylko wolno być bezbożnym.

NAGROBEK BIELAWSKIEMU.

(Położony za życia.)

Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę,
Bo jak się obudzi, komedyą napisze.

SNYCERZ. [1])

Alegorya na hetmana Branickiego.

Snycerz za to, że sobie na klocu odpoczął,
Statuę Herkulesa robić z niego począł.
Jeszcze rąk nie dokończył, aż rycerz zuchwały,
Nie kontent że był w sieni, chciał osiąść dom cały.
Zląkł się snycerz nad takim wdzięczności owocem,
Uciął ręce i nogi — a kloc został klocem.

POTOK. [2])

(sen.)

Spadał potok w wielkiéj mocy,
(Dziś mi się to śniło w nocy;)
I deszczem go z wiatr nadymał,
Prosiłem go, by się wstrzymał.
Szumnej burzy mały płodzie!
Hamuj twe nurty spienione,
Pozwól mi miejsca w twéj wodzie,
Bym mógł przejść na drugą stronę.
Chlorys moja ukochana
Ma się tam znajdować z rana;
Niecierpliwość mi doskwiera,
A twa woda jeszcze wzbiera.
Pomnę, że przed burzy przyściem,
Sączyłeś się strumyk lichy,

---

[1]) Wiersz ten figuruje powszechnie jako utwór Trembeckiego.

[2]) Druk.: w „Zabawach przyj. i poż." tom XVI, rok 1777.

I gałązka swojém liściem
Wstrzymałaby twój bieg cichy.
Dzisiaj deszczami nabrzmiały,
Toczysz twój impet zuchwały,
I twa zapomniałość głucha
Głosu mojego nie słucha.
Ciesz się wielkością mniemaną,
Zniknie ona jak sen płochy,
A gdy powodzie ustaną
I twe koniec wezmą fochy.
Wtenczas dopiero z pogardą
Przeskakując twoje łoże,
Rzeknę: z każdą głową hardą
To się stać łacniuchno może.

DO AUTORA, WIERSZY MOICH BRONIĄCEGO.[1])

Ktośkolwiek jest, coś skrycie w przychylnym mi rymie
Przedsięwziął tak skutecznie bronić moje imię,
Odkryj się: wszak nie będziesz wstydzić się swéj ręki,
Niechaj wiem, komum winien i wdzięczność i dzięki.
Rzadko los nieszczęśliwym w gniewie swym udziela
Takiego, coby śmiał ich bronić, przyjaciela;
Często się zimna przyjaźń z pomocą wydziera,
Sto nas ludzi żałuje, a żaden nie wspiera.
Ten jednak, takiéj doznać mógł najlepiéj proby,
Kto miał nieszczęście możne rozgniewać osoby;
Słabe z niemi umysły i czeladka podła
Będzie mu dopiekała i będzie go bodła,

---

[1]) Obacz w dodatku do biografii: Wiersz Trembeckiego.

I ten motłoch, co ledwie godzien jest spojrzenia,
Będzie się z zacniejszego urągał stworzenia.
Jak kiedy lew ogromny wskroś strzałą przeszyty
Zgonem swym grożąc zbójcy wyzionie jelity,
Jeśli już w nim nie czuje dzielnéj krwi gorąca,
Gnuśny osioł go swojém kopytem potrąca ....
Lecz po co nad tym celem zastanawiam pióro?
Że żyją ludzie tacy, tyś winna naturo!
Tyś winna, że wydając nikczemne istoty,
Dopuszczasz najznacniejsze kazić twe roboty.
Ja, póki ten ród będzie, zawsze sarkać muszę;
Jeśli chcesz, żebym chwalił, pokaż wielką duszę!

DO BONAFINI.

(Kochanki Stan. Augusta. — Wiersz Bielawskiego.)

Każdy wzdycha do ciebie, ja do twego głosu,
Nie miała wierna Dydo tak pięknego losu,
Eneasz ją porzucił wzgardziwszy kochaniem,
Ta się z żalu zabiła niemogąc iść za nim,
Szczęśliwsza od Królowy śliczna Bonafini,
Co stary Rzym z Kartagą, ona z nami czyni.

DO TEJŻE, RADA Z OKAZYI WIERSZA BIELAWSKIEGO.

(Węgierskiego.)

Et patior telis vulnera facta meis.
Ovid.

Niechaj cię Bonafini nie unosi pycha,
Że do głosu twojego cny Bielawski wzdycha,
Frant to wielki i nieraz przyznał się przed nami,
Że zwyczajny za progiem wzdychać i za drzwiami.

DO WĘGIERSKIEGO.

(Przez Bielawskiego.)

Quid me remursurum petis.
Horat.

Nieznałbym cię był, ale pioro cię wydało
Co z kiepska po węgiersku Woltera przybrało,
Żałuję jego losu że w tak godnym stroju
Pojdzie na papiloty ciemnego pokoju.[1])

ODPOWIEDŹ BIELAWSKIEMU.

(Węgierskiego.)

Żal mi mocno żem na twe zasłużył niełaski,
Adjutancie Buławy i Feba — Bielawski!
Wyrzucasz mi że myśli pobrałem z Woltera,
Niechce się tego zaprzeć moja Muza szczera.

DO MĘŻA ZALOTNICY.

Gdzie Żona krok obróci tyś jest zaraz za nią,
Nie tak półrocznie jagnie za matką baranią,
Nie tak kurczę za kwoką, ni z taką pilnością
Płatny lokaj za swoją spieszy się Jejmością.
Czegoż chcesz? czy jej słabej żądasz ustrzedz cnoty?
Bracie! dla większej twojej powiem ci zgryzoty

---

[1]) Odnosi się zapewne do Listów, istotnie z Woltera „Epitres“ przerabianych.

Już nie czas: i wielkimeś w mych oczach partaczem,
Jeźli się być dotychczas nie sądzisz rogaczem.
Ale cię bojaźń taka pewnie nie zaprząta,
I jeźli łazisz za nią od kąta do kąta,
Inne masz ułożenie, znam ja cię moj Panie,
Nie mogłoby cię takie zatrudnić staranie,
Lecz jak dobry gospodarz masz inne zamiary,
Umiesz się obejść zręcznie z takiemi towary,
I dla tego na pilnej zawsze jesteś straży,
By cię nieoszukała żona na przedaży.

PSZCZOŁY. [1])

I któżby w drukowane nie wierzył Gazety?
Te pisały z Ameryki
Iż się tam liczne pszczółek zlatywały szyki,
Na pogrzeb jednej kobiety.
Ja temu łacno wierzę i nie bez przyczyny;
A że osobliwym trafem
Miałem szczęście być pszczółek Historiografem,
Powiem wam o nich nowiny:
Między lasem, przy łące w kwiateczki obfitej,
Mieszkały pszczoły w pośród lipowego Ula,
Rządząc się nakształt niby Rzeczypospolitej
Pod zwierzchniem władaniem króla.
Wszystko im szło pomyślnie jak z rąbku wywinął,
I chociaż żyły spokojnie
Nigdy nie słysząc o wojnie,

[1]) Ten wiersz figuruje w Dziełach Trembeckiego, edycya Korna. Wrocław 1828, T. II, str. 45. W poprzednich edycyach nie ma go.

Bez godziwej zdobyczy żaden dzień nie minął.
Dla swej i obcej wygody,
Słodki nektar i zapachy,
Ściągając pod swoje dachy
Przedziwne tworzyły miody;
Kiedy zaś te robaczki myślały o rodzie:
Ten zrobił dziecka połówkę,
Ten dodał nóżkę, ten główkę,
Wszystko w miłości i zgodzie.
Taka bowiem społeczność najlepiej się darzy,
Gdzie się nikt o to nie swarzy.
Hej! hej! i któraż długo trwa szczęśliwa doba!
Przerwała te rozkosze strata i żałoba.
Posłuchajcież co się stało:
Jednej się z pszczółek koniecznie ubrdało
Ażeby straszyć i szkodzić,
I niedopuszczać blisko siebie chodzić;
A gdy tamtędy kogoś prowadziła droga,
W kark mu swój sztylecik wbiła:
I cóż potem, gdy zaraz nieboga
Skoro swe żądło puściła,
Zasłabiała i oddała
Bogu duszę, jaką miała.
A gdy sława doniosła w ulową gromadę,
Wnet Król pszczeli jako głowa,
Starszych obywatelów wezwawszy na radę,
Te właśnie potem rzekł słowa:
„Zatrudniajcie się pracą, będzie mi to miło,
„Róbcie miód, bo wam z tym błogo;
„Lecz niekąsajcie nikogo,
„Żeby was to nie zgubiło.

NA BAL KSIĘCIA MARCINA LUBOMIRSKIEGO.[1])

Biedziłem się sam z sobą w domu przez czas długi,
Nareszcie od przyjaciół będąc nakłoniony,
Pomimo ciemnej nocy i przykrej szarugi,
Mimo tylu zmartwienia którym otoczony,
Śmieszną na siebie postać wziąwszy Arlekina,
Jechałem sobie na bal Xiążęcia Marcina.

Ledwie com wysiadł z fiakra ujrzę dwie dziewczęta,
Przebrane po wieśniacku z swoim motyantem,
Kładły w kieszeń trzewiki biedne niebożęta,
Znać złotówek nie miały i z Panem Amantem.
Wolałbym moje maski, rzekłem, pierze targać,
Niźli się po tym błocie tak daleko szargać.

Nic mi na to nie rzekły zabrudzone maski.
Ja też wcale nie wchodząc w dalsze ich poznanie
Przebyłem Liberyi uszczypliwe wrzaski,
Zły niezmiernie na takie mnie nieszanowanie,
Pytałem się jednego, jeśli się to godzi,
Usłyszał Xiąże i rzekł: Masce to nieszkodzi!

Kiedy to więc nie szkodzi, pomyśliłem sobie,
Będęż więc wszystkie maski obchodził koleją,
A naprzód miły Xiąże niedaruję tobie,
Na co masz drzwi otwarte gdy ludzie potnieją
Powtóre, Mości Xiąże, mało masz powagi,
Wdawać się z lada maską wcale nieprzystoi,
Tak zbytne upodlenie złe gdy bez uwagi,
Równie jako i duma, gdy się komu roi,
Wszystkiego miernie użyć trzeba mości Xiąże
Resztę ci potem powiem: bo do kogoś dążę.

---

[1]) Jest i Trembeckiego wiersz znacznie krótki z okazyi widowisk dawnych przez M. Lubomirskiego. Jest też bezimiennego: „Wielki Post po balach Xcia Marcina.“

Właśnieś mi w oczy wlazła z swoją starą Matką,
O córo zbyt poczciwa przed kilkoma laty,
Pokiś jeszcze nieznała jak to kartę gładko
Zsuwać pod stół, a kiedy brać za nią dukaty,
Na szulerkę cię całkiem Wiaziewicz wystroił,
I co wiedzieć nie trzeba, on to w ciebie wpoił.
I ty tu także jesteś wyłupiwszy oczy,
Podwiązawszy twarz wstęgą, babo opętana!
Patrzysz czy syn twój dobrze walkę z asem toczy,
Lecz przegrał i wzywa cię Matulu kochana,
Próżno cię pot oblewa, darmo pragniesz zwady,
Lepiej dobądź dukatów i daj z niej porady.
A to wy, piękne córki, w tym kąciku sali
Paziami, jak na przekór, żywo się bawicie,
Czyście wy się to jeszcze w tym nieprzekonali,
Że ten rodzaj drwi sobie z wszystkich kobiet skrycie,
Tak naprzykład Karłowicz między innych zgrają
Baje sam nie wie o czem, ztąd go wszędzie znają.
Życzę ci Przewielebna Matko wraz z córami,
Przez wzgląd na lata stare nie grać młodej roli,
Już to szósty dziesiątek upływa za nami,
A ty jeszcze chcesz chłopców próbować swywoli,
Porzuć tę myśl zatęgą, zdejm zasłonę z twarzy,
Amantki opuszczone w niej się widzieć darzy.
Któż jest ta w pudermantlu wstęgą przepasana
Ma kapelusz na głowie dziwacznie włożony,
Spódnica jakaś brudna, jeszcze uszargana,
Cerowane pończochy i trzewik znoszony?
To zapewne być musi Panna Podczaszyny,
Zgadłem, chociaż nie z twarzy, poznałem cię z miny.
Tę maskę co na głowie ma chustkę turecką
W lewitce z Angielszczyzny i w białej spódnicy
Poznałem, tydzień temu: dobre to jest dziecko,

Mieszka tu naprzeciwko Bednarskiej Ulicy,
Pewny xiądz w niej się kocha i ją utrzymuje,
Ona też go w potrzebie dźwiga i ratuje.
To być musi Marysia w tym czepku gazowym,
Co ma kurtkę złotemi galonki obszytą,
Ona, jak widzę, codzień jest z Amantem nowym,
Kręci się, tę ma wadę, że jest nieużytą
Gdy dukata nie widzi: ja jej w tym nie ganię,
Patron darmo nie gada i darmo nie stanie.
Któż to tego kadryla tak tańczy dziwacznie,
Nogami tak przebiera jak koń gdy spętany,
Uczy wszystkich, sam niezna, spytam się nieznacznie,
Przecież on z swych manewrów może tu już znany,
Pewnie swego konceptu kradryle rozdaje,
Nikt mi o nim nie powie lepiej, jak Zagraje.
Chcę się pytać Leymana kto ten kadryl robił,
A w tém hałas na sali słyszeć się nam daje,
Lud się zbiera w gromadę, ktoś tam kogoś pobił,
Szulery za pieniądze, Fleming grać przestaje,
Xiąże woła huzara, aby wyprowadził
A kogo? Falińskiego; dobrze ktoś doradził.
Bo też to człowiek jeden kiedy się zapije,
Każdemu w oczy wlizie o każdym źle trzyma,
Co się też go niejeden nabił i nabije
On i z plastrem na twarzy znowu się nadyma,
O! bodajbyś był głupi nie znał tych kamratów
Miałbyś więcej odzienia a mniej kondemnatów.
Otóż jak to niemówić, że gdzie są Grodaki
Tam się nigdy spokojność pomieścić nie zdoła,
Tak kaptur, jako fartuch, kontusze i fraki,
Niechaj w dom ten nie wchodzą, lecz krążą obkoła,
Przez cóż ten marsz zagrano, przez co do dom jadę,
Przez co niewiem kto tańczył, przez hałas, przez zwadę.

BIELANY.

W poniedziałek Zielonych Świąt.

Cóż za traf niespodziany
Dziś nie jechać na Bielany!
Nie módz dostać z cudzej łaski
Choć o dwóch kołach kolaski!
Niebędę wdzięczen nikomu
Tylko tobie, co w swym domu,
Pozwoliłeś tej wygody,
Patrzeć bez żadnej przeszkody,
Na te różne ludzi stany,
Co to lecą na przemiany,
To w powozach, to piechoto
A wszyscy z wielką ochotą.
Otoż to pędzi w zawody
Nasz Pan Kleant, Panicz młody,
Siedząc w Warszawie czas długi,
Dla Nimf tutejszych przysługi,
Złorzeczy na wyrok Boski
Że się śmierci niemoże doczekać Ojcowskiéj.
Szulery go zgrali w karty
Z fantów od krupierek zdarty.
Lichwiarz zaś tak niełaskawy
Niepożycza bez zastawy;
Dwa ostatnie wziął mu fraki,
Że dał konia i kulbaki.
A to co się znowu dzieje!
Młódź nasza widzę szaleje.
Niewidziałem tej rozpusty,
Żeby Panny na odpusty,
Jechać miały bez straży Ojca, Ciotki, Matki,
Lub czułej jakiej mężatki.

Żal mi was panny kochane
Jesteście nierozeznane.
Ta zgraja bystrej młodzieży
Co za wami wszędzie bieży
Są to pstokrate motyle,
Lubią kwiatki, lecz na chwilę.
Darmo kokietujesz Basiu,
Próżno nastawiasz się Kasiu,
I ty z nasiekaną buzią
Nieułowisz chłopca Rózio!
Oto jedzie Maryś z brzuszkiem,
Darmo zakrywa fartuszkiem,
Ani rogówka szeroka
Od bystrego schroni oka.
Tobie tłusty Bucefale
Nieprzeszkadzają rywale
Jedziesz sam na sam z swą Florą,
Lecz mnie na to złości biorą,
Że pod płaszczem przyjaciela,
Ma ktoś z ciebie zwodziciela.
Owoż ta przy srogiej cnocie,
Na wsi schowana w prostocie,
Już Adonisa złapała,
I co gadać nieumiała,
Sam widziałem jak na migi,
Wiodła miłosne intrygi.
Mąż zaś, aby był zawsze dobrej o niej wiary,
Kolorowe mu na nos wdziała okulary.
Patrzy na wszystko bez trwogi,
Jakbym przysiągł że ma rogi.
Przykładne, czyste dziewice,
Rodzoniutyńkie siostrzyce,
Idźcie pobożne dewotki!

Od was mamy wszystkie plotki,
Przed waszém świętém obliczem
Żaden się nieskryje z niczem.
Co za klauzurą w klasztorze,
Co w domu, lub wielkim dworze,
Co w pokątnej kamienicy
Robią ciszkiem kanonicy,
Co mężatki, co mężowie,
Wszystko wasz język opowie,
Jesteście czasem łaskawe
Sprawujecie nam zabawę,
Pewne przez wyrok niebios będąc o swój wieniec,
Że się nań nie pokusi swywolny młodzieniec.
Hej waleczny wojowniku!
Walisz na siwym koniku,
Dobrze mieć u Panów względy
Gładko idą facyendy,
Coś niedawno był gołotą,
Świeci się w kieszeni złoto.
Najlepszy zysk początkowy
Który poszedł od Montowy,
Niezbaczaj z drogi poczciwéj,
Przez żonę będziesz szczęśliwy.
Życzę chciwym handlarzom towar schować wszelki,
A nadewszystko wino z czarnemi butelki.
Jedzie Mars w ludzkiej postaci,
Zje, wypije, niezapłaci,
Przez sam kredyt tylko żyje,
Kto niewierzy, tego bije,
Świadkiem z Jeziorną jest Wola,
Kędy zbroczył suche pola,
Szczęście, że niekrwawym sztychem,
Ale rzęsistym kielichem.

Coś przyrzekał swoje względy,
Chronisz się odemnie wszędy,
Jedź dobrodzieju szczęśliwy
Nie będę ci natarczywy.
Cierpliwie me losy znoszę,
O nic nikogo nie proszę,
Wszakżeś bywał w moim domu
Niekłaniałem się nikomu,
Kontent zawsze z mojej doli
To mię tylko nieco boli,
Że ledwo coś urosł krokiem,
Hardym na mnie patrzysz okiem,
Jak traf podniósł, tak traf może
Strącić cię, strzeż się nieboże!
Wszystkich zgoła asystencie,
W wesołej minie natręcie,
Pełno cię jak widzę wszędy
Masz swe i u kobiet względy,
Jesz i pijesz trunek wszelki,
A nie kupisz swej butelki,
To mi rozum! to mi głowa,
Cudzym żyje, swoje chowa.
Wieź żonkę mężu łaskawy
Dla dziarskich chłopców zabawy,
Tylko cię skóra a kości
Takeś usechł ze zazdrości,
Na cóż oszalałeś człeku
Wsześćdziesiątym będąc wieku,
Piętnastoletnią dziewicę
Wziąć ci za oblubienicę! —
Co za tłok nieprzeliczony
Z każdej widzę leci strony:
Lichwiarze z dużemi nosy,

Z dziewczęty gołe młokosy,
Wojciechowa z swą drużyną,
Z mostu panny z Podczaszyną,
I ta w poszóstnej karecie
Co mieksza na Nowym Świecie,
Co zdarł innych, sam wyzuty
Z wszystkiego, jedzie z bankruty.
I dowcipni intryganci,
Cudzej fortuny liwranci
Alchemik co robi złoto [1])
Z jakimże siedzi niecnotą!
Gonią swe żonki Rogale,
A za niemi tuż rywale.
Co niedawno byłeś goły
Jedziesz strojny i wesoły,
Cnota też twa wszędzie słynie,
Żeś jest wdzięczen Starościnie,
To rzecz prawie niepodobna
Żeby każdego z osobna,
Można widzieć, już mi oczy
Kurz wygryzł, a dzień się mroczy.
Idźmy — jednak z tej podróży
Lichwiarz szczęście sobie wroży.

SĄD CZTERECH MINISTRÓW. [2])

Święty Paweł co widział w Niebie nam objawił,
Com i ja w zachwyceniu widział, będę prawił,

---

[1]) Czy Cagliostro? Był w Warszawie 1780. Uciekł 27 Czerwca.

[2]) And. Młodziejowski, bisk. pozn. kanclerz W. Kor. — Jan Borch, podkanclerzy. — Sapieha Alex. kanc. W. lit. — Chreptowicz Joach. podkanc. litew. — Około 1780 r. lub wcześniej.

Gala była na ten czas w siódmem niebie wielka,
Z chwały się Bożej dusza radowała wszelka.
U drzwi niebieskich stały Cherubiny zbrojne
A nektar roznosiły Serafiny strojne,
Sam na dyamentowym siedział Stwórca tronie
Bóg Syn, naprzeciw stojąc patrzał w Jego skronie,
A Duch święty, jako nam pismo przypomina,
Ustawnie się przewijał od ojca do syna,
Dzień był właśnie ktorego boski wyrok bystry
Miał sądzić, z popełnionych win, polskie Ministry,
Zatrąbiono: aż żywot pozbywszy dozgonny
Stanął pierwszy u Sądu Xiądz Kanclerz Koronny.
Święci ciekawi jeden drugiego popychał
Gdy przeczytał takowy dekret święty Michał:
„Przekupna sprawiedliwość twych sądów zadwornych,
„Gorsząca okoliczność twych zabaw wieczornych,
„Na złe przemysł użyty, szachry niegodziwe,
„Dla Króla co cię wyniósł chęci nieżyczliwe,
„Z cudzą krzywdą, dobrego mienia żądza wściekła,
„Sprawuje, że na wieki musisz iść do piekła.“
Ustąpił ów, a po nim ten co się uśmiecha
Wezwany Xiąże Kanclerz Litewski Sapieha,
Jego że nikt nie chwali, ani też nie gani,
Kazano mu na wieki chodzić po otchłani.
Borcha na jeden tydzień, przyjął czyściec brudny,
Bo chociaż jest poczciwy, ale nadto nudny.
Że swego zdania nie ma Litwy Podkanclerzy
Kazano mu być w czyścu na jednej wieczerzy.
Do jutra sąd Ministrów reszty odłożono . . .
A ja nad wyrokami myśląc niebieskiemi,
Rzekłem, toż samo sądzą i u nas na ziemi.

ROZUM BEZ PRZESĄDÓW.

Ów pogardziciel wszelkiego prawa,
Człowiek bez Boga, bez duszy,
Patrz co za mina u niego żwawa,
Jak go nic wcale nie wzruszy.

Chmurzy się niebo, błyszczą gromnice,
Wianki się kurzą na koło,
On ma płaszcz dobry od nawałnice,
I śpiewa sobie wesoło.

Pytasz go czemu o grzmot nie stoi,
Wszakże to Boska obraza;
On odpowiada że się nie boi,
Niema przy sobie żelaza.

Bezbożnik mówisz w swem zaślepieniu,
Czy to Bóg patrzy metalu?
Wszak on go może zgubić w tem mgnieniu
Ni mu dać czasu do żalu.

Idź kiedy łaska za nim z tą mową,
Mów mu to w oczy, szczęść Boże!
Znajdziesz odpowiedź zaraz gotową,
„Głupiś, żal mi cię nieboże".

O! taki to jest przyjaciel wierny
Człowiek poczciwy bez miary,
Lecz go nie złudzi profit mizerny,
Ni najobfisze ofiary.

Pan swego serca i swojej woli
Umię utrzymać na wędzie,
Jeźli mu kiedy więcej pozwoli,
Wie gdźie się wstrzymać w zapędzie.

Rozum jest jego wszystkim i prawa
Za tego idzie ukazem,

Gdzie przekonanie przy tem obstawa
Nie gdzie tysiące praw razem.

Przybierz go sobie w sprawie za Sędzię,
Choć nie przysięże na stole,
Rozumnie, wiernie, sądzić cię będzie
Ni się przekupić dozwoli.

Nie wierz człowiecze, że ci są święci
Co się żegnają krzyżami.
Nie są i oni jak my wyjęci
Mazać się czasem zbrodniami.

Święcona woda, wianki, gromnice,
Świętym nikogo nie zrobią;
Mniejsza do jakiej kto wszedł świętnice,
Gdy tylko cnoty go zdobią.

Pierwszy polityk co swe przeważne
Sidełka na nas zastawił,
Wynalazł takie cacka poważne
Żeby nas niemi zabawił.

A ci co cnoty nauczać mieli,
Skoro im zyski ukazał:
Wnet mu w pomocy z krzyżem stanęli
On na ciemnotę nas skazał.

Rozum tymczasem gdy się nałożył
Innym polegać na woli,
My kark schylili, polityk włożył
Haniebnej jarzmo niewoli,

Póki za tchnieniem natury chodził,
Nim się z nią człowiek pominął,
Instynkt wskazywał, rozum nawodził,
W szczęściu się rodził i ginął.

My tym wzgardziwszy co z przyrodzenia
Największej mamy hojności,

Najszacowniejszy sposób myślenia
W bezczynnej grzebiem podłości.

Boim się myśleć, a nie myślemy
Iż się z naturą mijamy,
I bardziej jeszcze przez to grzeszemy
Że jej natchnienia wzgardzamy.

Na to nam rozum natura dała,
Byśmy nim prawdy szperali,
Gdyby zaś tego bronić nam miała,
Próżnobyśmy go dostali.

Chcesz poznać Boga, nie idź do księgi
Szukać tam jego istoty;
Patrz na te wielkie światów okręgi,
Osądź o Mistrzu z roboty.

Ten co bieg równy słońcu naznaczył,
Co gwiazd tysiące szykował,
Nie jest tak mały byś go obaczył
Lub jego dzieła taksował.

Rownie monarcha, jak niewolnicy
Jednemu prawu poddany,
Natura nie wie o tej różnicy
Co nas rozdziela na stany.

Dobroć jest Boga darem istotnym,
Bo nasze plemię utworzył.
A gdy nas natchnął duchem żywotnym
Drogę nam szczęścia otworzył.

Inszej dla niego nie ma wdzięczności
Jak pełnić jego zamiary,
On cię utworzył do szczęśliwości,
Profitujże z tej ofiary.

Żaden bez pracy nie był szczęśliwy,
Trzeba ażebyś pracował,

Świat z twojej pracy będzie chełpliwy,
Ty będziesz z świata zyskował.

LIST Z WARSZAWY.

Nie życzęć przyjacielu jechać do Warszawy,
Chyba tylko byś młode pasł rozkoszą żądze,
Prawda jest, że najsłodsze tu znajdziesz zabawy,
Ale to tylko wtenczas kiedy masz pieniądze.

Masz rozum, statek, cnotę i jesteś poczciwy,
Toć myślisz że w Warszawie będziesz poważany?
Ale tu już nie jeden o cnotę gorliwy,
Poszedłszy torem prawdy, został oszukany.

Ździwiłbyś się tu słysząc jako chwalą cnotę,
Lecz też w samych pochwałkach zysk cnoty zamkniony,
Nikt nie wziął nic, co czyni przez szczerą prostotę,
To nie człek, co na wszystkie gracz w wykrętach strony.

Myśli kto u Panów stara się o względy,
I wiernych prac zakłada w ich łasce nadzieję,
Przez próbę to niemylną doświadczono wszędy,
Że pięknych słow są tylko hojni dobrodzieje.

Nie tak wiele ziarn rolnik w nadziejach swych mylnych,
W nieuprawny grunt rzuci bez żadnej korzyści,
Ile Pan w dniu wysieje obietnic przychylnych,
Lubo żadnej z nich skutkiem rzetelnym nie ziści.

Człek z cnotą wiernie służy, ma szacunek za to,
Lecz też nic prócz szacunku ztąd mu nie przychodzi,
Gdy drugi przez wykręty cieszy się zapłatą,
I zyskawszy ich łaski, na stopnie wychodzi.

Ów co u nas filutem tu zwany rozumnym,
Co poczciwych sąsiadów z majątków ołupił,
Co pognębiał swych równych umysłem zbył dumnym,
Dziś wstęgę przez brzuch zwiesił i urząd już kupił.

Szczęśliwym też tu torem poszedł swych obrotów,
Co u babki wlazł ktorej w łaskawe kredyty,
Bez rozumu, bez nauk, bez cnót i przymiotów,
Polazł w górę niejeden fartuszkiem okryty.

Lecz i w tym miałbyś biedę, boś Polak prawdziwy,
Podam ci jednak sposób, ty nie mów przed nikiém:
Jeźli chcesz byś u naszych był Panów szczęśliwy,
Zrób się na czas Francuzem albo też Anglikiem.

Rzecz jeszcze dziwną powiem, że w mieście tutejszym,
Tłok dziewcząt jest niezmierny a kochania mało,
Biedny chłopiec, Kupidyn, w walorze tu mniejszym,
Gdy Plutus złoty objął w sercach władzę całą.

Kto pragnie tu u dziewcząt zyskać sobie łaskę,
Niech gęsto złotem sieje, niech się stroi ładnie,
Niech o dwu piętrach modną zbuduje kolaskę,
Choć szpetny, bez talentów, znajdzie miłość snadnie.

Niektorzy inną sobie umieją dać radę,
Gdy worek wypróżniony na uczciwe dziewki,
Zrzuciwszy pychę z serca, rzucają paradę,
Idą taniej na Grzybów albo na Nalewki.

Lecz i tu jeden djabeł, kto tego niepoznał,
Niewiele ta oszczędność expensy odbiera,
Nie jeden nasz przyjaciel na sobie to doznał,
Że tam stracił na zbytki a tu na felczera.

Mówiliśmy też kiedyś gdzie są te dochody,
Co się tłuści w probostwach prałaci bogacą,
Co i z płodu i z śmierci zbierają przychody,
Widziałbyś tu, jak wszystko to na dziewki tracą.

Obaczyłbyś tu jeszcze lud jeden poczciwy,
A ci są bez talentów ubodzy poeci,
Często z nich tu niejeden rym skleiwszy dziwy,
Chcąc się czym jest okazać, z drukiem na świat leci.
Chceszże wiedzieć zkąd to wziąć pieniądze na straty,
Nie jak na wsi za zboże z czynszow lub arendy,
Parafialne u was to tylko intraty,
Tu są modne przychody, to jest faciendy.
Co też to jest za sposób, pytasz przyjacielu,
Jest handel w którym każden zawsze musi tracić,
A nawet i to bywa jak się zdarza wielu,
Że nie wziąwszy pieniędzy, w termin muszą płacić.
Wiele mi jeszcze donieść ci przychodzi
Lecz czas jest krótki a poczta odchodzi. —

DO PRZYJACIELA NA WIEŚ.[1])

Żałuję przyjacielu żeś nie jest w Warszawie,
Prawda jest, że okrutnie tutaj u nas goło,
Pieniędzy mieć nie można, chyba przy zastawie,
To zaś dobrze przynajmniej że żyjem wesoło.
Nigdy się świat nie naśmiał z naszych panów tyle
Jak gdy dziś po teatrach komedye grają,
A choć naród w ostatniej grzebie się mogile
Ich to nic nie obchodzi bo czasu nie mają.
O jak to miło widzieć naszych Excellantów,

---

[1]) Jest i St. Trembeckiego wiersz p. t. „Do przyjaciela na wieś“ lecz innej osnowy; zaczyna się: Zazdrości naszej godne twe chwile...

Jako ci naturalnie harcują zmienieni
W arlekinów, filutów, łajdaków, amantów,
Myślałbyś że są na to umyślnie zrodzeni.
I dobrze czynią: bo cóż że tam z przodków który,
Dla ojczyzny krew toczył, tracił dom i zdrowie,
Wyszły z mody te dzikie mężnych serc natury,
Lepiej dzisiaj szanują swe życie panowie.
Srogie boje pod Grunwald, Kircholmem, Zborowem,
Sławiąc dzieła Polaków mędrce ogłaszali,
Dziś będą komedyanci trybem cale nowym,
Sztuk mężow teatralnych kronikę pisali.
O wojnie, lub ugodzie, nic tu niegadają,
Bo te dobrą myśl psują smutne bagatele,
Handlom, zyskom publicznym nic nie zaradzają,
Bo to nadto do głowy dzisiejszej za wiele.
Co się też w Radzie, pytasz, nieustannej dzieje?
Oto jedna rzecz ważna dała powód swaru,
Na czym się wszystkie kraju wspierają nadzieje,
Kto ma pierwszy przybijać ćwieczek do sztandaru.
Projektów ważnych pełne nadto pańskie głowy,
Ledwie się niepękają pod ciężarem myśli:
Jeden szuka metressy po Nalewkach nowéj,
Ów systemma modnego fraku we łbie kryśli,
Każdy zaś z nich tu prawie dumną dmie się pychą,
Choć ubóstwo z hołotą zapędza ich wszędy,
Możeby niejednego wzięło dotąd licho,
Gdyby ich nie żywiły żydków facyendy.
Tanio dziś order, urząd, kupisz na tandecie;
Gdy się tylko poczuwasz do dukatów wiela,
Napisz, jeźli chcesz w urząd wléźć na wielkim świecie,
Jest ich kilka na przedarz u żyda Josiela.
Chcesz też wiedzieć co nasza młódź w Warszawie robi?
Oto, jedna w szulerskie zapuszcza się szachy,

Druga się na malarzów wybornych sposobi
Malując brudne żydom brody i pejsachy;
Inny szczęścia próbuje u młodych mężatek,
Ów płocho bałamuci niewinne dziewczyny,
Ten schwyciwszy w Nalewkach miłości zadatek,
Czeka biedny majowej rychło medycyny.
Poeci cicho siedzą i Węgierski przestał
Prawdę pisać, bo wielu ściągnął gniewy żwawe;
Lecz lepiej czynił, kiedy o ich gniewy nie stał,
Bo ich uczył rozumu, sobie robił sławę.[1])
Czasem się ozwie z kąta głos nudnej bandury,
I zwiędłe moralisty piejąc, próżnie mruczy,
Mało takiej są pisma płatne tu natury,
Gdzie kto swój rozum siląc nikogo nie uczy.
Chciałbym ci też o paniach napisać co są tu,
Ale się rozmyśliłem, lepiej je ominąć,
Niechcę sobie przyczyniać prożnego kłopotu,
Tybyś się zgorszył, a ja mógłbym przez to zginąć.
Więcej ci pisać będę pocztą drugą,
A teraz jestem twym uprzejmym sługą.

WYROK WIEŻY Z RADY NIEUSTAJĄCÉJ,

na ImP. Węgierskiego wypadły, za podany skrypt uraźliwy, przeciw ImP. Wilczewskiemu, tejże Radzie, przez tegoż ImP.

Gdybyś był wierszem pisał a nie prozą,
Wyrok szlachecką nie trąciłby kozą;

---

[1]) Ten czworowiersz, nasuwa wątpliwość, czyli **Węgierski** autorem? Chyba że dla zasłonięcia się, o sobie pisał.

Nie darmo latasz Pegaza zaszczytem,
Kiedyś aż w Wieży utchnął swym kopytem;
Góra się z górą nie znijdzie choć wiekiem,
Lecz wieża często, choć z najlepszym człekiem;
Głosząc cię wszędzie, sława lotnie bieży,
Ale sławniejszym z téj uczyni wieży;
Głos muz dziewięciu dzisiaj zabrzmiał w chórze,
Kto jest na dole bywa i na górze.

DO POPIOŁÓW KSIĘDZA WĘGIERSKIEGO. [1])

Jestestwa szacownego zbyt smutne ostatki,
Wy zwłoki, dla których ja szacunek mam rzadki,
Cóż dzisiaj nam śmiertelnym z wami czynić można?
Opuszczać was żałosna, zostawiać jest prożna.
Więc jak nam począć radzą te smutne koleje,
Prawdziwy, nie dla oka, szacunek się dzieje,
A chociaż śmiertelności uśpione snem wiecznym,
Nie każe mi nieczułość tu być niestatecznym.

TRZEJ TYLKO SZCZĘŚLIWI

(z Woltera).

Szczęśliwy, kto w swej nędzy przywykł żyć z pociechą,
Kontent że pod ustronnej swojej chatki strzechą,
Pełnym zdrowia czerstwego być doznaje siebie . . . .
(wierszy 16.)

---

[1]) Zapewne mowa o X. Antonim Węgierskim, Kanoniku Poznańskim.

ZDARZENIE OPUSZCZONE.

Nie mały czas upłynął jak Korynnę piękną
Dorant kochając, płonne tylko ognie niecił,
Nie spodział się, choć prawie wszystkie serca miękną,
Aby mu słaby promyk nadziei zaświecił.
Mało skutku czyniły ustawne wzdychania,
Ni zawiść podejrzliwa, ni kochanie draźni,
Ni gorącej miłości żywe oświadczania,
Wyjednać nie zdołały wzajemnej przyjaźni.
Niknął jawnie kochanek w smutku nieszczęśliwy,
Na wszystko z obrzydzeniem poglądał na świecie.
Wzruszony jego żalem Bożek litościwy
Kupido, raz się nad nim chciał użalić przecie.
Co tysiączne starania, tysiączne zabiegi,
Co dokazać nie może przeciąg czasu długi,
Co podarki nie mogą, to miłośne szpiegi,
Da czasem moment jeden bez żadnej zasługi.
Po smacznym raz obiedzie Korynna szczęśliwa,
Na miękkiej sofie wdzięczny brała odpoczynek.
Miłośny Dorant jakby przeczuł, sam przybywa,
Świadków nie było, tylko z matką Kupidynek.
Słońce nawet szanując spokojność Korynny
Przez firanki zielone tyle szle promieni,
Wiele trzeba ażeby wstyd onéj niewinny,
Nie spostrzegł, że się w żądzy pani zarumieni . . . .

(wierszy 84.)

OSZCZĘDNOŚĆ CHWALEBNA.

Jakaż to gospodyni ta Terenia miła,
W wszystkich działach oszczędna, strzeże się wydatków,
Nawet dwoje wesela bez kosztu zrobiła,
Kiedy na nich nie miała ni księdza, ni świadków.

WYZNANIE.

Moja matuś, był tu Maciek . . .
(czworowiersz.)

PRZECIWKO CUDZOŁÓZTWU.

Każący kaznodzieja gorliwemi słowy,
Rzekł, że tykać zamężnej grzech jest białogłowy . . .
(czworowiersz.)

ZAGADKI.

(wierszy 16.)

IV.

ORGANY.

POEMA HEROI-KOMICZNE

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PRZESTROGA

PRZY PIERWSZEM WYDANIU.

Rękopis pod tytułem „Organy“ lubownikom morału i pięknego wiersza, zapewne znajomy, a przed zdaniem ludzi przesądnych, lat kilka kryjący się, teraz dopiero na widok wychodzi Polski. Niewiem, za co stworzyciel dzieła tego w tak wielkim dowcipie, zabawną dla morału zrobioną bajkę, bezpożytecznie zostawił i porzucił. Nie szkoduje na tem dzieło, więcej owszem pożytku przynieść obiecuje. Głębiej upłyniony wiek ośmnasty pod panowaniem mądrego Króla, coraz więcej daje doskonałości naukom, czytości obyczajom. Mocniej pewnie będzie poznane, i więcej przyjęte. Słuszna jest, aby zrzucić dawną pomrokę, gdzie nie wielki dochodzi świat, by każdy jak w zwierciadle przejrzał się. Blask, który nas uderza w oczy, wszedłszy na komedye, odmiana komedyalni, i osób, niech nas nie mami i łudzi, ale słodkim łechcąc się wyrazem, wchodźmy w siebie, i poprawą ksobie stosujmy obyczajów. Te zaraz uwielbim dzieło, gdy go czytać stosownie będziemy. Jeźli nie większy, to równy z kazalnicą przyniesie skutek. Wielki świecie! pod twoje się to dzieło ucieka skrzydła. Ty mu daj wzrost i rozmnożenie. Stwarzaj podobnych więcej, aby nie znać w Prowincyach że oddalona Stolica.

w Sławińcach, na Podolu, d. 15. sierpnia 1784.

DO

IGNACEGO KRASICKIEGO

KSIĘCIA BISKUPA WARMIŃSKIEGO.

Nie książęciu i kawalerowi orderów, bo ten blask w oczy moje nie uderza; nie posiadaczowi prawie udzielnemu rozległego biskupstwa, bo kanonikiem warmińskim być nie myślę; nie faworytowi i poufałemu przyjacielowi dwóch królów, bo od jednego daleko W. Ks. Mość mieszkasz, a obcego łaska na mało mi się przyda; ale wielkiemu autorowi *Myszeidos*, ale dowcipnemu krytykowi trybunałów i sejmików w *Doświadczyńskim*,[1]) ale zabawnemu w posiedzeniu, ale jednemu z najpierwszych na Parnasie naszym poecie — to dzieło moje dedykuję.

Gdybyś W. Ks. Mość w kościele heilberskim nie miał organów, prosiłbym, żebyś tam moje postawił, a mnie na nich zrobił organistą; lepiejby mi może było niż teraz: składałbym godzinki i kantyczki, i więcejbym na nich zyskał niż na wierszach najdowcipniejszych, z przyczyny, że dotąd mamy więcéj nabożnych niż uczonych.

---

[1]) Wyszedł w Warszawie 1775.

Te to są same organy, do którychem jeszcze za bytności W. Ks. Mości w Warszawie[1]) klawisze i dudy sporządzał, i nierazem słyszał od niego, że ich dźwięk uszom jego, dobrze w téj mierze sądzić przyzwyczajonym, dosyć był przyjemny. Approbacya ta do zupełnego zachęciła mię zakończenia tego poema, i ofiarowania go W. Ks. Mości. Będę sobie winszował, jeśli ostatnie pieśni zabawią go tyle, ile pierwsze. Największy jest dowód dobroci dzieła, kiedy czytających nie nudzi. Pomyślne zdanie W. Ks. Mości wiele do sławy wierszom moim pomoże. Mało jest takich, coby przez siebie sądzić potrafili; rozsądek ich za cudzą znajomością jest zawsze na powodzie, chwalą lub ganią dzieło nie dla tego, że złe lub dobre, lecz dla tego, że się temu księciu lub panu podobało; a między nawałem wierszy, któremi na nieszczęście od lat dziesięciu zarzuceni jesteśmy, ledwie kilka osób osądzić potrafi przez siebie, że ich bardzo mało dobrych. Zbytek, który nas zgubił, do wierszy się nawet rozciąga; nie masz aż do ostatniego żaczka, któryby ich nie robił. Pewny zakon najbardziéj jednak w nich przesadza, i sądząc z pozoru, zdaje się, że wszystkie członki jego na złych poetów się poświęciły: nie masz święta, uroczystości, wesela, urodzin, pogrzebu, stypy, żebyśmy na nie z magazynu tego wierszy nie mieli; z czasem na wszystkie dni roku ich dostaniemy. Szczęśliwy W. Ks. Mość jesteś, że od tych parnaskich bredni wolne masz uszy; my niemi zupełnie jesteśmy przywaleni.

[1]) W lipcu d. 13. r. 1774 przyjechał z Heilsberga do Warszawy. Być więc może że to odnosi się do tej pory.

To szaleństwo już wszystkie organęło stany,
Poważne nawet wiersze piszą kasztelany;
I których jako dawna przypowieść nam niesła,
Ani głowa do rady, ani tył do krzesła.

Cobyś W. Ks. Mość rzekł, gdybym mu powiedział, że na sejmach nawet wierszami gadają? Jeśli Opatrzność bozka nad polskim ludem zmiłować się nie raczy, proza nawet z potocznéj mowy wypędzona będzie. To jednak przyznać trzeba, że poeci nasi w nagrodę tego, prawie wszyscy wiersze prozą piszą. Onegdaj przyniesiono mi dzieło od tysiąca wierszy; znałem człeka z inąd pełnego rozsądku i czułości; rzuciłem się skwapliwie do czytania tej produkcyi; nie wymawiam mu, że zupełnie od początku aż do końca żadnego z prawideł przyzwoitych nie zachował, że tytuł tylko jest prawdziwy, że wstęp nawet nie do rzeczy; ale gdzież tu poezya? (myślałem sobie) gdzie duch gieniuszu wszystko ożywiający? gdzie głębokość wierszy? gdzie harmonia kadencyi? gdzie żywość myśli i obrazów? Zdziwiłem się, ale sobie niedowierzając, zaniosłem to do jednego z przyjaciół moich, człeka obszernéj wiadomości i gustu niewątpliwego, którego zdanie za nieomylne w téj mierze dotąd wszyscy poczytują. Patrz (rzekłem) co teraz na imię poezyi zasługuje! Czytaliśmy to znowu razem, i on przyznać był przymuszony, że od deski do deski nudna tylko proza wszystkie kartki zastępowała. Wzięliśmy więc *Horacyusza*, i najpierwéj na to napadliśmy prawidło: *Mediocribus non licet esse poetis.* Co straszniejsza, że nam drugiém podobném dziełem autor grozi, i jeżeli W. Ks. Mość jako książę nasz, publicznych poetom na odwrócenie téj kaźni supplikacyi nie nakażesz, groźby jego po-

dobny skutek wezmą. Daruj mi W. Ks. Mość, że go tak długo nad tak błahemi zastanawiam rzeczami; i te uwagi mogą na moment go rozweselić. Nie chcę jednak zatrudniać mu czasu na sławę narodu naszego tak szczęśliwie zażywanego, i kończę wyznaniem, żem jest

Waszéj Książęcéj Mości,

najniższym sługą

AUTOR.

Dnia 22 stycznia 1877, w Warszawie.

DO CZYTELNIKA.

Nie pochlebiam sobie, aby to dzieło moje damy czytały; nie masz w niém ani miłości, ani lekkości, i do tego napisane po polsku, a ten język nie ma u nich łaski. To prawda, że wielka ich część innego nie umie, ale ich z sekretu wydawać nie trzeba. Wybór kawalerów naszych nie rzuci tu oka, bo każdy zatrudniony jest czémś ważniejszém, a do tego możnaż uczciwemu człowiekowi czytać pismo, któremu tytuł *Organy?* Skończy się tedy czytanie jego na osobach kilku, spokojniejszego życia, oświeceńszego dowcipu, pewniejszego gustu, i do tych mam honor mowę moją obrócić. Myśl moja pierwsza zaczynając to dzieło, była zupełnie imitować *Le Lutrin de Boileau*, poema w rodzaju swoim najdowcipniejsze, pełne zdrowéj krytyki i uciesznych fikcyi. Ale materya moja różniąc się w dalszym jego ciągu, oddalić mi się od oryginału częstokroć kazała; starałem się jednak jak najbliżéj w ślady jego wstępować, wyperswadowany będąc, że większéj mieć nie mogę zalety, jak mu zupełnie być podobnym. Pieśni wszystkie zaczynają się od krytycznéj moralizacyi: i niektóre wzięte są, z odmianą jednak, z szacownego dzieła *la Pucelle d'Orleans.* Zastanie czytelnik noty pod temi wierszami, które są zkądinąd czerpane, bo się tak ozdobnéj zapierać nie chcę kradzieży.

ORGANY.

POEMA HEROI-KOMICZNE.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Lubo nie krucyatę, wojnę śpiewam świętą,
Niemniéj jednak zażartą i niemniéj zawziętą;
Powiem wojnę, którą wiódł pleban z organistą;
Z szacownéj swéj powagi zgubą oczywistą.
Muzo! któraś wdzięcznemu Tassowi przychylnie
Darów swych użyczała, gdy opiewał pilnie
Wszystkie dzieła wielkiego Godfryda waleczne,
Jak pobożnych chrześcian wiodąc kupy sprzeczne,
Dobył Jerozolimy, starł Egipcyanów,
Poskromił dumną pychę wyniosłych sułtanów:
Natchnij mię duchem swoim, bym mógł śpiewać godnie,
Jakie czarna nienawiść zażegła pochodnie
Wśród spokojnéj przyjaźni, i jakiemi ścieżki
Ścisłą zgodę, w wichrzyste zmieniła zamieszki;
Jakie ztąd krwi rozlanie, jak zjadłe gonitwy,
Z jakim mężnym uporem wydawane bitwy,
Jakie z obu stron znaczne poniesione straty,
Klęski nienagrodzone późniejszemi laty!

Ale dość na tém. Muza prośb moich wysłycha.
Wy krytycy nadstawcie łaskawego ucha,
I czy to dla pożytku, czyli dla zabawy,
Cierpliwie posłuchajcie do końca téj sprawy.
Ledwie tylko jutrzenka nocne gubiąc cienie,
Jaśniejsze światu dawać poczęła odzienie,
Przez dziada organista nagle obudzony,
Co najrychléj uderzyć rozkazał we dzwony,
Ogłaszając śmierć baby, która téjże nocy
Bogu ducha oddała po ciężkiéj niemocy,
A księdzu testamentem za świadczone łaski
Krowę dała i masła starego pół faski.
Silnemi barki dziadów w tę i w ową stronę
Ogromne dyndy hałas czynią poruszone.
W miękkiej złożony chrapał ksiądz pleban pościeli,
Znużony nabożeństwem z wczorajszéj niedzieli:
Na jawie nabożnemi nabitą myślami
Mając głowę, nudził się podobnemi snami.
Śniło mu się, jakoby po ścieżce zbyt ślizkiéj
Na siwéj faworytce, do wioski poblizkiéj [1])
Gotować i wyprawiać jechał w drogę wieczną
Chorobą złożonego człeka niebezpieczną.
Wtém zbudzony brzękliwych dzwonów przykrym dźwiękiem,
Jeszcze niby nad chorym z pobożnym uklękiem
Ziewając i trąc ze snu oczy mdłe i mgliste,
Zdało mu się, że klektał modlitwy strzeliste;

---

[1]) Swawolny czytelnik niech nie mniema, żeby to o inszéj faworytce mowa być miała, jak o kobyle siwéj, na któréj ks. pleban zwykł był jeździć do chorego. Przykładne życie prałata, o którym tu mowa, od wszelkiego podejrzenia go uwalnia.

Ale go z tak świętego wywiódł rozumienia
Wszystkich zakrystanów ozdoba, z imienia
Matyasz, zakrystyan, co tego urzędu
Nie intrygą, ni doszedł z łaskawego względu,
Ale przez nieprzerwane i wielkie zasługi,
Służąc do mszy, i gasząc świece przez czas długi.
— „Ty śpisz (rzecze) prałacie, a w twoim kościele
„Rozrządza się kto inny, i to czyni śmiele.
„Co prawem, biegiem wieków bez liczby stwierdzoném,
„Tobie tylko samemu było pozwoloném:
„Ty śpisz gnusny, a nie wiesz, że tam organista [1])
„Z bezczynności i twego ospalstwa korzysta.
„I już na miejscu baby dzisiaj zeszłéj z świata,
„Bez względu na licznego o to kandydata,
„Bez uwagi na dawność, na moje żądania,
„Swojego koczkodana wziął do kalkowania.
„Zaraz siadł przy organach, już podobno słyszę,
„Kurzem zaszłe omiata i rusza klawisze.
„Ty nic na to, czy czekasz, iż inne ominę,
„Ażeby ci bezprawnie wydarł dziesięcinę
„I za mesznę odebrał, — to niech lepiéj sobie
„Będzie plebanem, być zaś organistą tobie."

Jak ostrem żądłem pszczoły buhaj obudzony,
Miota się i napełnia rykiem wszystkie strony,
Tak tą wzruszony mową ksiądz pleban gniewliwy,
Porywa się do zemsty cale nieleniwy,
Lecz jednak w tym zapędzie tyle miał pamięci,
Że siebie przeżegnaniem i łóżko poświęci,
Uczyniwszy intencyę, chociaż myślał sobie

[1]) [illegible] bliższa imitacya [illegible] zaczynając od wier-
[illegible]

W jakimby przeciwnika mógł zgładzić sposobie.
To zrobiwszy porywa rewerendę prędko,
Włożywszy wprzód kołnierzyk i koszulę miętką,
I zaraz szybkim krokiem, gdzie go sława woła,
Chce biedz z zakrystyanem razem do kościoła.
Zadziwiona tym gniewem, odstąpiwszy garnka,
Skoczy naprzeciw panu roztropna kucharka,
I hamując powoli tak żwawe zapędy:
— „Stój, rzecze, gdzie ty bieżysz panie? i o kędy
„Ten cię zapał porywa? co za sposób nowy,
„Iść wtenczas do kościoła, gdy obiad gotowy?
„Co cię dzisiaj do postu takiego zagrzewa?
„Wigilię? suchedni kalendarz opiewa?
„Pomiarkuj się, ale bądź o tém przekonany,
„Że nigdy nie był dobrym obiad rozgrzewany.“
To wyrzekłszy, na stole stawia rosół smaczny:
Daje się tym widokiem wzruszyć pleban baczny,
I lubo mu nienawiść szeptała do ucha,
On jednak apetytu i kucharki słucha;
Siada, lecz zawsze gniewny, połykając całkiem,
Ledwie się nieskąsanym nie zdławił kawałkiem.
O pańskie zdrowie nader Dorota troskliwa,[1])
Mocno na tę porywczość zbytnią ubolewa.
Widzi, że z niestrawnego tak bardzo jedzenia,
Srogich wiatrów nabędzie i głowy bolenia:
A ztąd niebezpieczeństwo czując oczywiste,
Skoczy po komendarza i po altarystę,
O przypadku każdemu z przyjaciół powiada.
Nie tak bieży na pomoc zgłodniała gromada,
Jak chcąc jeszcze pieczeni zastać kawał tłusty,
By nim żołądek mogła naładować pusty.

---

[1]) Dorota, imię kucharki.

Z radości prałatowi oczy się iskrzyły,
Gdy taką liczbę wiernych przyjaciół zoczyły:
Purpurowym kolorem zarumienił lice,
Po tak szczęśliwych twarzach wiodąc swe źrenice,
U wszystkich widzi szczerą chęć jemu służenia,
Gniew swój w pomyślną nader nadzieję odmienia;
Niezawodnéj zwycięztwa nabiera otuchy.
Tymczasem chcąc posilić wypróżnione brzuchy,
Szynkę przynieść rozkaże, a sam zaś z komory
Bardzo starego miodu wyniósłszy dzban spory,
Nalewa duży kufel: — „Niech się kto chce troszczy,
Rzecze, a ja do ciebie księże podproboszczy!“
Wypił, ten za nim, każdy nachylając dzbana
Starał się naśladować godnego plebana,
Tak dobrze, że się same już zostały męty,
Nim ostatni napełnił swój gardziel nadęty.
Sądził zaś zacny prałat, i bardzo roztropnie,
Że prędzéj tym sposobem swych zamysłów dopnie;
Bo łacniéj, kiedy trunkiem są zagrzane głowy,
Rozrzewniać miękkie serca żałosnemi słowy.
Zaczém, gdy zasiadł każdy miejsce naznaczone:
— „Odłóżcie, rzecze do nich, nienawiść na stronę,
„A względną sprawiedliwość wziąwszy za przewodnią,
„Rozsądźcie to uważnie, czyli nie jest zbrodnią
„W cudzą wdzierać się władzę, deptać dawne prawa,
„Słów mi do opowiedzi tego nie dostawa,
„Z jak haniebną uznanéj powagi pogardą,
„Organista podnosić chce swą głowę hardą.
„Ale ja go uśmierzę, was zaś proszę o to,
„Byście mi dopomogli do tego z ochotą.
„O was tu samych idzie, dajcie poznać śmiele,
„Że wy w swoim jesteście panami kościele,
„I że bez waszéj wiedzy, i bez pozwolenia,

„Żadna się rzecz nie staje, ani się odmienia;
„Pokażcie to bezpiecznie temu zuchwalcowi,
„Że to wszystko nieważne, co on postanowi,
„I że przy nas jest dawna władza wybierania
„Zdatnéj, z tak wielkiéj liczby bab, do kalkowania."
Do serca poruszona tą mową gromada,
Jednostajnie na chęci jego odpowiada,
Każdy mu pomoc swoją obiecuje szczerze,
Takie więc między sobą stanowią przymierze:
Żeby wszyscy złożywszy jutro radę walną,
Decyzyę w téj mierze wydali finalną,
Żeby podejściu były zagrodzone wrota
Obiecali obierać *per secreta vota.*

PIEŚŃ DRUGA.

To tylko, co dwaj wiedzą, sekretem się zowie,
Jako nas słusznie dawne naucza przysłowie;
Między trzema zapewne sekret się nie mieści,
Cóż dopiero, kiedy ich więcéj niż trzydzieści?
Każdy lubo niechcący, wyda się nieznacznie,
Drugi nie myśląc skończy to, co pierwszy zacznie.
Ciekawość, co na każde słowo pilnie godzi,
Zszywając te kawałki, wszystkiego dochodzi.
Dwaj u niéj zawsze na to czuwają ministry:
Słuch nad dzidy ostrzejszy i wzrok równie bystry.
Ta z ich pomocą kąty najciemniejsze zwiedza,
Najskrytsze tajemnice z łatwością wyśledza,
Wie, co się w domach dzieje, co na wsi, co w mieście,
O najmniejszym, najpierwszym, usłyszy szeleście,

Zawiłe i rozległe szybko przejdzie gmachy,
Boją się jéj królowie, kobiety i gachy,
Wszędzie jej pełno. Ma zaś stolicę w Warszawie;
Tam o najmniejszéj zawsze wiadoma zabawie,
Zna, kto z kim jest w przyjaźni, kto źle komu życzy;
Za co ten, co nic nie miał, dziś pieniądze liczy?
Jak ten, co ledwie kontusz dobry miał na grzbiecie,
Dziś się w zielono-żółtéj rozpiera karecie,[1])
A pyszny, strzyżonego pomuskując wąsa,
Z tych się biedy, co ich zdarł, bezkarnie natrząsa.
Zna, co komu dolega, czy odra, czy ospa,
Za co ten na wieś jedzie, po co tamta do Spa?
Kto się do téj umizga, ta wzajem do kogo,
Kto kiedy za wygraną sprawę płacił drogo,
Kto kiedy ograł kogo szulerską nauką,
Kto oddawał pieniądze tą nabyte sztuką?
Wie, kto się podłym czyni dla nikczemnych zysków,
Kto niesłusznie do mądrych przypuszczon półmisków?
A smacznemi kąskami pasąc brzuch i oczy,
Nigdy z żadnym konceptem w życiu nie wyskoczy.

Ta tedy tak przenikła bystrych oczu pani,
Organiście do ucha szepce jak najraniéj,
Że się naprzeciw niemu knuje spisek cichy,
Że pod zgotowanemi pewnie lęże sztychy,
Jeżeli ich nie zdoła odwrócić skutecznie;
Że księża chcą na swojém postawić koniecznie,

---

[1]) Te wiersze miały znaczną moc wtenczas, kiedy były pisane; świeża jeszcze trwała pamięć zdzierstwa człeka, o którym tu mowa. Teraz, że się już rany w workach tych, od których niesłusznie wyciągał, po części zagoiły, i karetka się zjeździła, mniéj mają znaczenia.

I że on razem z babą nabiorą się strachu,
Jeśli natężonego nie zwróci zamachu.

W przykrym był prawdę mówiąc organista stanie,
Największe mało pomódz mogło mu staranie;
Ciężko było złączonéj wydołać mu mocy,
Od nikogo ni wsparcia mając, ni pomocy;
A już jako w tych razach zwykło bywać zawsze,
Z bojaźni ustąpiły z głowy myśli żwawsze,
I mniéj w nieużytecznym smakując uporze,
Jako o jednym środku, myślał o pokorze,
Kiedy skołatanego uwagami temi
Sen zaskoczył i przykrył skrzydłami miękkiemi.

Ale ledwie mu tylko powieki złączone
Oczom spoczynku chcącym zrobiły zasłonę,
I jeszcze po zaśnieniu nie był czas tak długi,
Ażeby się przewrócić dał mu na bok drugi:
Gdy Niezgoda, rozterków, niepokoju chciwa,
Skrzydła z kłótni, z zamieszków sklejone porywa,
A rzucając w klasztorach swe kochane dzieci,
Pobudzać organistę wielkim pędem leci.
Lubo w tę jadąc drogę brała dość lot cichy,
Odjazdem jednak swoim pokłóciła mnichy,
I żeby ich do swego powrotu bawiła,
Z chęcią im kapitułę wcześnie naznaczyła.

Już dawno organista za oblubienicę
Wziął był sobie niewiastę wielką czarownicę,
Która w téj z księdzem sprawie od zgody daleka,
Darmo djabłów wzywała na pomoc człowieka.
Jéj tedy straszną postać, jéj oczy jaskrawe,
Zęby spróchniałe, nogi chude i koszlawe,

Wzięła na się Niezgoda, a z krzywego pyska,
Do jego się po macku przymknąwszy łożyska,
Te słowa wyzionęła: — „Z odważnych zrodzony
„Rodziców, i do wielkich dzieł mężu stworzony,
„Sławny po wszystkich karczmach, niezrównany męztwem,
„I niejednem z chłopami w załebki zwycięztwem,
„Doznany organisto! czy spodziałby kto się,
„Byś sobie plebanowi mógł dać grać na nosie,
„I cierpieć, aby na twe organy rozciągał
„Władzę przykrą, i z twéj się słabości urągał?
„Wierzaj mi, wolałabym skończyć żywot lichy,
„Niźli się stać ofiarą dumnéj jego pychy.
„Podwaja w przeciwniku dzielność, kto się boi.
„Przeraża nieprzyjaciół, kto oporem stoi:
„Stań się mężnym, a ujrzysz, że ten pleban podły,
„Co teraz, by cię zgubił, szle do nieba modły,
„I fałszywie mniemając, że mu Bóg pomoże,
„Papla pacierz, pierś tłucze, ostrząc na cię noże.
„Ten człowiek zniewieściały, ta nikczemna dusza,
„Którą przeciw cię teraz nienawiść porusza,
„Odstąpi swych zamysłów i placu odbiegnie,
„Gdy cię naprzeciw siebie śmiałego postrzegnie.“

Jak kiedy Feba duchem napuszony wieszczek,
Swój dwoisty z trzynożnych daje wyrok deszczek,
Chwytają wielkim ciągiem wszyscy święte smrody,
A kiedy nos zatyka, czy stary, czy młody,
On nowe biorąc siły z zapaśnéj jaskini,
Z głupich przychodniów żarty tylko sobie czyni:
Tak serce organisty tą mową zagrzane,
Poczuło w sobie męztwo dopóty nieznane.
Porwał się ze snu, jakby go piorun przeraził,

Zawstydzony, że siebie myślą podłą skaził,
I już o zgodzie żadnéj nie czyniący wzmianki,
Chcąc się tém lepiéj zagrzać, łyknął przepalanki.
Całą więc myśl już na to obrócił i siłę,
Aby raczéj śmiertelną tu znaleźć mogiłę,
Niż ustąpić haniebnie, i by te zamysły
Wzięły skutek, najprędzéj zawarł związek ścisły
Z Bartkiem, co blizko mieszkał, odważnym stolarzem,
I z Janem, bardzo śmiałym i zręcznym ślusarzem;
Ci zaś do księdza złości za to mieli wiele,
Że im bronił rzemiosła w święta i w niedziele,
I przeszłego tygodnia za pewną robotę,
Po długiém targowaniu urwał cztery złote.
Onym się więc sekretu całéj rzeczy zwierza,
Co chce robić, i kroki jakiemi tam zmierza,
Nienawiść i złość księdza przed oczy przekłada,
Blizkość niebezpieczeństwa bardziéj go rozjada.
— „Odwagi wielkiéj trzeba przyjaciele moi,
„Tę kiedy mieć będziemy, nic się nie ostoi.
„Trzeba, żebyśmy skrycie dzisiaj ciemną nocą
„Za wzajemną organy zniszczyli pomocą,
„I tak one zniszczyli, by nim kur zapieje,
„Powstania nawet kiedyś nie miano nadzieje.“

Oba mu na to przyjaźń obiecują szczerą:
Jan obiecał przyjść z młotkiem, a Bartek z siekierą.
— „Nie dość tu jest na waszéj słownéj obietnicy,
„Któż was wie? możecie być jak inni zmiennicy.
„Wszystkich was trzech przysięga zobowiąże sroga,
„Żadna się w tył nie będzie cofnąć mogła noga.“
Jak więc bohaterowie, co po runo złote
Za morze się wybierać powzięli ochotę,
Lub ci Grecy w trojańską co płynęli stronę,

Zbiegłą mężowi nazad chcący wrócić żonę,
Straszną przysięgą stałość wzajemną stwierdzili,
Tyleż i trzéj rycerze nasi uczynili.
Potém się pożegnawszy każdy szedł do siebie,
Czynić przygotowania ku walnéj potrzebie,
Ażeby skoro tylko światło słońca zgasło,
Dane im do kościoła zgromadziło hasło.

PIEŚŃ TRZECIA.

Jużem sobie ułożył, aby w trzeciéj pieśni,
Żeby ta cała kłótnia wzięła koniec wcześniéj,
Nic morału nie było, bo nie wiedzieć na co
Czynić usiłowanie, i starać się z pracą
Naprawić lud zepsuty; czy ja bocian, aby
Świat czyścić i krzykliwe z niego zbierać żaby?
Lecz wytrzymać nie mogę, nie wiem czém się dzieje,
Z chęciąbym się urzędu podjął kaznodzieje,
A machając rękami z wysokiéj ambony,
Wrzeszczałbym: Zaniechajcie niezgody szalonéj!
Potem zaś treść najprostszą na trzy dzieląc części,
Pismo i Ojców świętych cytowałbym częściéj,
A po plagach pamiętny lekcyi rozlicznych,
Wysypałbym gromadę figur retorycznych,
I niezgodę bym (za to niech mię nikt nie łaje),
Do brzydkiéj niedźwiedników równał szałamaje,
A z dęcia dud niezgodnych chrapliwego dźwięku,
I ruszania klawiszów od niezgrabnych ręku
Biorąc pochop, wniosekbym czynił nieomylny,
Że u nas dla niezgody dobry rząd bezsilny.
Potém się coraz bardziéj w mojéj szerząc mowie,

W dalszéj dowodzićbym się postarał osnowie,
Jak przez własne zawiści i szkodne niezgody,
Potężne w krótkim czasie upadły narody.
Że u nas osobliwie ta niechęć szalona,
Namiętność jest na naszą zgubę ulubiona,
I że nas nie zgubiła żadna więcéj jak ta;
Jeśliby mi kto przeczył, manifest *ad acta*
Zaniósłbym, i przed niemi stawszy osobiście,
Fałszbym przeciwnéj stronie zadał oczywiście;
A gdyby mi i za tém nikt nie ustępował,
Do przyszłegobym sejmu pewnie appellował.
Lecz po co w tak dalekie zabiegam granice?
Pewnie moją nauką Polaków oświécę?
Wolę powiedzieć teraz, przez jakie starania,
Do zamysłów szkodliwych przyszedł wykonania
Rozjadły organista i przez jak okrutny
Przypadek, swój organy wzięły koniec smutny.
Skoro tylko Morfeusz na tę sferę ciemną
Poczynał władzę swoją rozciągać przyjemną,
Zeszli się trzéj rycerze, i poczęli ściśle
Razem się o tak walnym naradzać zamyśle,
I sposobne do tego pobrawszy narzędzie,
Zaraz szli do kościoła patrząc w koło wszędzie,
I stąpając ostrożnie, bojąc się, by z boku
Dostrzedz ich ciekawemu nie zdarzyło oku.
Naprzód ich drzwi świętego wstrzymały kościoła,
Warowne żelaznemi sztabami do koła.
Ale mężnego serca Jan nie myśląc długo,
I w tak wspaniałém dziele śpiesząc się z przysługą,
Tak dobrze w mocny zamek tęgi raz wymierzył,
Że jak najsłabszy puścił, skoro go uderzył.
Runęły drzwi ogromne, a tak siły wspolne
Do wewnętrza kościoła miały przejście wolne.

Jak gdy z pomocą armat z swych murów spędzeni,
Już nie bronią przystępu smutni oblężeni,
Niczém niezatrzymany nieprzyjaciel wchodzi,
I dziękując, za tryumf *Te Deum* wywodzi;
Tak i oni jak tylko do kościoła weśli,
Zaraz trzykroć klęknęli, trzykroć się podnieśli,
Każdy się z nich do modlitw udając gorliwych,
Niebieskiéj chciał pomocy w zamysłach skodliwych.
Pierwszy się organista porwał niespokojny,
I drugich do rozjadłéj pobudzając wojny,
Rzekł głosem bohaterskim: — „Drogi czas ucieka,
„Teraz pora sposobna, nieprzyjaciel czeka.“

I światłem tlejącego prowadzon ogarka,
Co go od wiatru szklana broniła latarka,
Najpierwszy na złe wschody odważnie wstępował,
A swą śmiałością innym drogę pokazował.
Ale kiedy do góry prowadząc krok ślizki,
Wlazłszy na wierzch, organów samych już był blizki,
Sumienie go ruszyło, i nieznanéj trwogi
Pełen, sam poniewolnie musiał cofnąć nogi.

Jak kiedy idąc z wojskiem naprzeciw Rzymowi,
Trzeba było Rubikon przebyć Cezarowi,
I temu, który wiernym był obywatelem,
Stać się wiecznie ojczyźnie swéj nieprzyjacielem,
Myślał długo, nim przebył brzegi niebezpieczne,
Bojaźń w nim z ambicyą wiodła walki sprzeczne,
Jednak jak nieprzyjaciel wolał rozkazować,
Niż podległość, jak wierny obywatel, chować;
Tak i nasz organista, choć miał chęci szczere
Zburzyć organy, wstrzymał rozbójczą siekierę,
Wewnętrznym mimo siebie przerażony strachem,

Lubo już z wymierzonym cofnął się zamachem,
Lecz wkrótce nienawiścią podżarzony srogą,
Przez ławkę, co tam stała, przestąpiwszy nogą,
Chciał oburącz we środek organów uderzyć,
Lecz ślepa popędliwość nie potrafi mierzyć,
Chybił więc, ale miechy raz okrutny wzięły,
I pęknąwszy na dwoje, żałośnie jęknęły.
Usłyszały te jęki zatrwożone szczury,
Co dotychczas spokojne swe tam miały dziury,
Potomki tak sławnego w dziejach Gryzomira,
Którego sława dotąd jeszcze nie umiéra;
Nie przeto, że gnuśnego króla pasł się ciałem,
Lecz że jest w *Myszeidzie* rycerzem wspaniałym.
Przestraszone z miejsc swoich wychodzą gromadnie,
A gdzie, i jak kto może z popłochu przepadnie.
Za złą wieszczbę Jan z Bartkiem wziął przypadek taki,
Lecz Grzegorz nie uważał na te wszystkie znaki,
Ale porwawszy znowu kostur okowany,
W same z największą mocą uderzył organy.
Ach! któż to teraz zgadnie? i któż to opisze?
Jako się w różne strony rozpierzchły klawisze,
Jak leżąc skarżyły się żałośnemi jęki,
Że z téj, którą kochały, koniec wzięły ręki.
Kto nie zna bohatera dzielnéj krwi szafarza,
Jak go bardziéj zgiełk bitwy i tumult rozżarza,
Niech sobie organistę naszego wystawi;
Nad czułem użaleniem czasu on nie trawi,
Lecz w którą tylko stronę mężną ręką kinie,
Albo kilka klawiszów, albo duda zginie.

Zagrzani tym przykładem, daremnie nie stoją
Jan z Bartkiem, ale czynią też powinność swoją;
W najgorętszym zapale już jest bitwa wściekła,

Same mordy, zabójstwa, istny obraz piekła.
Tu widać ciał zabitych zaraźliwe kupy,
Tu ranni na pół żywi leżą między trupy,
Duda pchnięta ostatnim śmiertelnym tchem ziewa,
Klawisz jeden drugiego do bitwy rozgrzewa,
Tu na pół popękałe umierając miechy,
Z żalem nadprzyrodzonym żałują za grzechy.
Zgiełk, hałas, krzyk, zabójstwa, tumult, mordy, wrzawa,
I zewsząd krew niewinna lać się nie przestawa.
Święci tego kościoła, których dźwięk ten głuszy,
Niespokojnie trwożliwe nadstawiają uszy;
W kronice nawet nieraz czytać mi się zdarza,
Że chciał kościoła tego patron zejść z ołtarza;
Lecz że się znajdowały tam święte panienki,
Nie schodził dla zgorszenia, nie mając sukienki.

Tymczasem już organy na drobne kawałki,
Dokonali druzgotać ogromnemi pałki
Zapamiętali w gniewie, lecz mężni rycerze.
Każdy się potém zaraz do spoczynku bierze,
Oczekując dnia, srodze jednak niespokojni,
Po tak śmiałym uczynku i krwawéj rozbojni.

PIEŚŃ CZWARTA.

Gdybym był kiedy królem, byłbym sprawiedliwym,
Złychbym z dworu wyganiał, nagradzał cnotliwym,
Nie brałaby dostojeństw zasłudze intryga,
Źle w tym kraju, gdzie obrót prostotę wyściga.
Każdybym dzień jak Tytus dobrodziejstwy liczył,
Więcéj szczęścia ojczyźnie niż sobiebym życzył.

Nad próżnemi rzeczami czasu bym nie trawił,
Nadaniem praw narodom słodkich bym się bawił.
A gdybym był biskupem lub officyałem,[1])
Oto bym usiłował staraniem niemałém,
Żebym sam z siebie dając przykład nader rzadki,
Nie był nigdy zgorszeniem Chrystusa czeladki.
Nigdybym nic nikomu nie bronił drukować,
Tém się w narodzie rozum może polerować.
Ubogich bym wspomagał, w wydatkach był mierny,
Ojczyźnie dobrze życzył, królowi był wierny.
Gdybym zaś był ministrem pokoju lub wojny,
W bitwie byłbym rycerzem, a w izbie spokojny.
Dobre bym interesa skutecznie popierał,
Za danie protekcyi ludzi bym nie zdzierał.
A gdybym był uczonym, lub za niego mianym,
Nie przestałbym być w izbie niby malowanym;
Lub że zjem obiad mądry obok majestatu,
Pisałbym to i dowiódł niewiernemu światu,
Że zkądkolwiek zagadnie, z któréj chce tknie strony,
W prawie, w rymach i dziejach jestem nauczony.
Bym kiedy był małżonkiem, nie byłbym zazdrosnym,
Zazdrość, każdy to przyzna, jest zwyczajem sprosnym,
Zwłaszcza kiedy nie idzie komu o Delfina,
A ma jeszcze w zapasie niejednego syna.

Gdybym był księdzem owym, o którym tu mowa,
Nie wiele dbałbym, czy ta baba, albo owa
Na organach kościoła mego miechy depcze;
Lecz cóż począć? gdy komu ambicya szepcze,
I nienawiść podburza, poruszyłby piekło.
Zwołał był ksiądz na radę, jak się wyżéj rzekło,

[1]) Albertrandy.

Kommendarza; rozumem i latami stary,
Przywlókł się też o kiju zacny ksiądz wikary,
Pobożny podproboszczy, altarysta prawny,
Z sąsiadem o altaryę swą kłótniarz ustawny;
Ksiądz kapelan Bernardyn, który tam przebywa,
I pałka, *sed cum voce* siadł *informativa.*
Każdy się z nich z skromności najmniejszym być mniema,
I kłótni tam o miejsce między nimi nie ma.

Gdy się każdy przed Świętym Duchem upokorzył,
W te słowa tłusty pleban sessyę otworzył:
— „Wy, którzy tu te miejsca zasiadacie godnie,
„Wy kościoła podpory i wiary pochodnie,
„Nie trzeba wam powtarzać, bo znacie zaiste
„Chytrości i podstępy nadto oczywiste
„Gbura, któregom ja sam z błota wyprowadził
„I na tak znakomitym urzędzie posadził.
„Teraz pychą nadęty, papomniał ten złodziéj,
„Żem przecie jego panem, żem jego dobrodziéj;
„Teraz moją powagę, waszą razem szarga,
„Na nasze przywileje, na władzę się targa,
„A swoich nieprawości dopełniając miarę,
„Do kalkowania babę śmiał naznaczyć starę,
„I kiedym sam nie mógł być w kościele, bom chory.
„Ona miechy deptała w wczorajsze nieszpory.
„Wiem, że to z was każdego równie jak mnie boli,
„Czytam to w oczach waszych, że nikt nie pozwoli
„I nie dopuści, by taż baba miała zostać,
„Możemy dotąd jeszcze siłom jego sprostać;
„A dzisiaj potępiwszy tę zuchwałość winną,
„Na miejsce naznaczonéj obierzemy inną.“
Skończył pleban, a głuche u wszystkich milczenie,

Powszechne rokowało jemu zezwolenie.
Lecz z miejsca swego zabrał głos ksiądz podproboszczy:
— „Niech się, rzecze, plebańska mość o nas nie troszczy,
„Za całe zgromadzenie przyrzekam ja szczerze,
„Że nam nikt prerogatyw naszych nie odbierze,
„I wolimy zgubioną mieć z ojczyzną wiarę,
„Niż utracić na włosek przywileje stare.
„Jedna mi tylko na myśl uwaga przychodzi,
„Jeśli się absolutnie postępować godzi,
„I nie wiedząc czy nam jest wolno obrać babę,
„Chcieć obarczać przemocą naszą stronę słabę."
Na to poważny wiekiem wikary powstawa:
— „Prawda, rzecze, że nie masz wyraźnego prawa,
„Lecz podług aksyoma, kędy prawa niéma,
„Tam zwyczaj z dawnych czasów miejsce jego trzyma.
„Nie pierwszy rok już siedzieć tutaj mi się zdarza,
„Nie u jednego ja mszę miewałem ołtarza,
„Niejednego pogrzebłem na cmentarzu trupa,
„Niejednego widziałem z wizytą biskupa,
„I jeśli czas tych dziejów z pamięci nie zetrze,
„Szwedów jeszcze przypomnę i srogie powietrze.
„Bardzo dawno zasięgam, a zawsze i wszędy
„Plebani w swych kościołach dawali urzędy."
Do gustu prałatowi ta przypadła mowa,
Cała zatém przystała rada na te słowa,
Do kresek już więc skrytych pleban iść nie mieszka,
Dwie ich ma Małgorzata, a resztę Agnieszka.
Zapadła *pluralitas*, więc nie myśląc dłużéj,
Krzykną: „Niechże ten urząd już Agnieszce służy!"
A chcąc ją mieć gotową do tego rzemiosła,
Szlą do niéj jak najrychléj z dobrą wieścią posła.

Skacze baba z radości z takiego wybrania,
Swoim się dobrodziejom jak najniżéj kłania,
Schylone plecy bardziéj ukłonami garbi,
Uniżonością wszystkich serca sobie skarbi.
Tymczasem zacny prałat zaczął się gotować,
Aby ją mógł tegoż dnia zaraz installować,
Na organy z niemałym tryumfem wprowadzić,
I w przyzwoitém miejscu godności posadzić.
Lecz bojąc się odporu, kazał, aby cepy,
Drągi, siekiery, kosy, topory, oszczepy,
Wzięła czeladź odważna, sam swém męztwem zbrojny
Szedł śmiało, chociaż krwawéj spodziewał się wojny.
Za nim następowali księża nie z daleka,
Każdy z nich losu kłótni takiéj pilnie czeka,
Idą na pozór śmiało, a każdy z nich tchórzy,
Krew się w każdym z bojaźni porusza i burzy,
Każdy z nich patrzy w koło, by w przypadku sprzeczki,
Wolne mógł mieć którędy miejsce do ucieczki.
Wszędzie samo ponure panuje milczenie.
Ale jak srogie onych było zadziwienie,
Kiedy zamiast odporu i bitwy okrutnéj,
Stanął im przed oczyma obraz nader smutny!
Gdzie tylko wzrok obrócą, wszędy znak ruiny,
Tu drzwi mocą wyparte, tu zaś rozwaliny
Wdzięcznych leżą organów, tu miechy, tu duda;
Rozumieli nabożni, że to jakie cuda,
Że na ich ukaranie jaka ręka mściwa
Te dotąd niesłychane poczyniła dziwa,
Albo piorun zgruchotał z czarnéj spadłszy chmury,
Albo ziemi trzęsieniem obalone mury.
Lecz wkrótce niewątpliwe w ruinach oznaki
Umyślnéj zawziętości wskazały im szlaki,

A kłótnie, które mieli, i zawzięte zwady,
Wytknęły im autora tak wielkiéj szkarady.
Większą to w nich zajadłość, mocniejszy gniew sprawia,
Ochotę wzięcia zemsty tém chętniéj ponawia,
Im większy na ich sercach zostawuje smutek,
Że zamysły ich wzięły tak niedobry skutek.
Baba płakała, widząc nadzieje zmylone,
A ksiądz pleban lubo się starał cieszyć onę,
Lubo umysł w nieszczęściu pokazywał hardy,
Lecz nie mógł wstrzymać przecież na sercu żal twardy!

PIEŚŃ PIĄTA.

Wszystko to nie do rzeczy na tym naszym świecie:
Bogaty ubogiego ciemięży i gniecie,
Cnota nie ma nagrody, a występek kary,
Stępione prawa patrzą na zbrodnie przez szpary.
Kto sprawniejszy ten lepszy, poczciwość nie płaci,
Talentem się nie wesprze człek ani zbogaci,
Na urzędach intryga i kredyt osadza,
Ten szczęśliwy, co kradnie i ojczyznę zdradza.[1])
Jeśli się godni o tém ludzie mówić ważą,
Odpowiedź cała: że tak interesa każą.
Uwielbiam was i ukłon oddaję wam nizki,
Klęknę, jeśli zechcecie, będę się bił w pyski.
Niezgruntowani w rządach swoich politycy,
Nie jest to dzieło mojéj słabéj mózgownicy
Przenikać co czynicie, bo w fryzurze więcéj
Macie rozumu, niż ja w méj głowie cielęcéj.

---

[1]) Poniński Adam.

Niechaj jednak z pokorą spytać mi się godzi,
Czy to w dobrego rządu maksymy nie wchodzi,
Ażeby ludzi godnych, wartych z każdéj miary,
Wasze łaski i hojne nie mijały dary,
A tam się zaś bogatym nie gnieździły rojem,
Kędy głupstwo przesiada z pysznym niepokojem?
Ale na co ja gadam, i na co mózg suszę?
Powiedzą mi: — Mój panie, radzibyśmy z dusze
Uczynić ci: znamy to, że masz talent rzadki,
I prozą piszesz dobrze, i wiersz robisz gładki,
Miéj trochę cierpliwości miły przyjacielu,
Oto jeszcze od ciebie zasłużeńszych wielu,
Prace trzeba nadgrodzić i ciężkie mozoły,
Czekaj. — Czekam ci, zawsze jak goły, tak goły.
Kiedy kto w niedostatku, i rozum się cieśni:
Ot. nie wiem co wam powiem w téj tu piątéj pieśni,
Jak organów przywiodę znowu na plac dzieje?
I kogut zjadłszy ziarnko, miléj trochę pieje.
Noc, w któréj pan swych bogactw, a ubóztwa nędza
Zapomina, uśpiła i babę i księdza;
A sen twardy leniwych skrzydeł swych powłoką,
Dla spoczynku powszechnie ludzkie przykrył oko.
Wszyscy spali, przy żonie tu mąż snu zażywał,
Tu kochanek miłością znużony spoczywał,
A świeżych rozkosz przez sen zażywając prawie,
Tak się pieścił i cackał, jak gdyby na jawie.
Sam jeden organista oczu nie mógł zmrużyć,
Lubo się onegdajszą pracą musiał znużyć.
Ale jakże spać można, kiedy tu kto czuje,
Że na karę po jakiéj zbrodni zasługuje?
Bo nazajutrz jako wieść doszła jego uszu,
Miało wejście świętego być Jubileuszu,
Podczas którego każdy czy młody, czy stary,

Wolny był zawsze z zbrodni od winy i kary,
Byle księdzu powiedział, co był niebu dłużny,
Obszedł kilka kościołów i dawał jałmużny.
Już się zeszła z okolic gromada poddaństwa,
Wiele się też zjechało nabożnego państwa.
Kolasą bułanemi ciągnioną kobyły,
Przywlókł się z swą imością podsędek otyły;
Sześcią zdobną gałkami karetą powoli
Przyjechał na ten odpust wielmożny podstoli;
Tuż za nim, co go każda mieć musi publika,
Widziano jadącego téj ziemi skarbnika;
Sześć koni trochę lepszych, liczna czeladź dworska,
Wydała, że się wali godność podkomorska.
Za nimi wielka mnogość ziemianek, ziemianów,
Ludzi różnego wieku, rozmaitych stanów,
Kupców swarnych, przekupek, opojów, kramarzów,
Między którymi dwóch też przybyło księgarzów.
Słowem, mówiąc na odpust, tak wielki, tak rzadki,
Dość się panów zjechało i wiele czeladki.
Już się sproszone z inąd mnichy i kanony,
Jedni na mszę gotują, drudzy na ambony,
Już się ciekawsza niźli nabożna gromada
Wali kościół i ławki najpierwsze zasiada;
Gdy przez cmentarz śpiesząc się pleban do kościoła,
Ujrzał w nim organistę: — „A tuś mi! zawoła,
„Tyś to jest, co do złości łączący odwagę,
„Tak znaczną méj godności uczynił zniewagę?
„I jeszcze po téj zbrodni śmiesz mi włazić w oczy!
„Zaraz ja cię!“ — Wnet kniemu z impetem przyskoczy.
Strwożył się tym zamachem pan Grzegorz zmieszany,
Umyka się, by tyłem gdzie przypadł do ściany,
I takie gdy z szybkością wciąż czyni cofanie,
Trafiło się, że stanął przy księgarzu Janie.

Dopadł go tam ksiądz pleban, lecz nim doń przyskoczył,
Tak go rznął *Brewiarzem*, że aż się potoczył.
Zmieszany przywitaniem takiém organista,
Z łatwości, co pod ręką mógł ją mieć, korzysta;
A pewną plebanowi chcąc gotować zgubę,
Oburącz porwał w gniewie swym *Ateny* grube,[1])
Cisnął je, i tak mocno w głowę go uderzył,
Że ciosem zagłuszony mój ksiądz ziemię zmierzył.
Na krzyk jego bolesny, na wrzask i lamenta,
Porzuciła ornaty i mszę zgraja święta;[2])
A małe uchyliwszy w zakrystyi drzwiczki,
Spieszno biegła na miejsce stoczonéj potyczki.
Zaraz się organisty przyjaciele zbiegli,
Skoro na placu księży gromadę postrzegli;
Wielka się między nimi zatém bitwa wszczyna:
Temu oczy podbiła zwycięzka *Janina*,[3])
Ten ogłuszony upadł i ledwie nie kona,
Wziąwszy w łeb tłómaczeniem *Rozmów Focyona*.[4])
Najpierwéj altaryście zgruchotano kości
Zbawiennym, *Tylkowskiego*, *Stolikiem Mądrości*,[5])

---

[1]) Nowe Ateny, Ks. Chmielowskiego. Książka pełna omyłek geograficznych, bajecznych opisań, fałszywych wiadomości. Dawali jednak ją czytać dzieciom. Ja przypominam sobie, że była częścią edukacyi mojéj.

[2]) To jest księża tego probostwa.

[3]) Janina zwycięzkich tryumfów, albo życie Jana III. przez Kazimierza Rubinkowskiego. Autor odejmuje męztwo Janowi III, a przyznaje wszystko cudom, których tam jest większa liczba, niż zwycięztw przez króla odniesionych.

[4]) Rozmowy Focyona, przez L'Abbé de Mably, po francuzku napisane, a przez Ks. Chrościkowskiego niemiłosiernie tłómaczone.

[5]) Stół Mądrości, przez Ks. Tylkowskiego.

I tobie podproboszczu zadał raz niezmierny
Koloander kochany *Leonildzie wierny.*[1])
Wieleż to ksiąg pierwszy raz z pyłu wydobytych,
Do bitwy tak zażartej było tam użytych?
Jan ma *Wiankiem Różanym* nos srodze podbity,[2])
Tego zranił *Do Nieba Gościniec ukryty.*[3])
Darmo księgarz troskliwy nie rad takim gościom,
Tym się pragnie opierać gotyckim wściekłościom,
Ledwie na ich zażartość i księgi wystarczą.
Bartek podproboszczego zwalił *Królestw Tarczą;*[4])
Ten chociaż ciosem takim mocno był dotknięty,
Rzucił nań, lubo słabo, ubogie *Natręty.*[5])
Niewiele szkodzić mogła Bartkowi broń krucha,
Chociaż śmiały tłustego nie umykał brzucha;
Ale go jeden z tyłu z najbardziej zawziętych,
Ksiądz kommendarz dojechał *Żywotami Świętych;*
Lecz on lubo stłuczony wyszedł ztąd z honorem,
Przywaliwszy obudwu ciężkim *Rymów Zbiorem.*[6])
Szwank dwu zacnych rycerzów pomieszał prałata,

---

[1]) Koloander wiernej Leonildzie przyjaźni dotrzymujący, przy różnych nienawiści, wojennych awanturach i przypadkach. Romans srodze głupi.

[2]) Wianek różany wielu rozlicznego nabożeństwa kwiatów; w Poznaniu, 1758.

[3]) Gościniec ukryty do Nieba, albo pewny sposób osiągnienia Niebios. Autor musiał być nieomylnie świętym.

[4]) Tarcza Królów i Królestw, pobożność gruntowna codziennemi zabawami wzmacniająca się; 1773 w Warszawie.

[5]) Natręty, komedya Bielawskiego, ze wszystkiém zarzucona; po 26 scen w jednym akcie.

[6]) Zbiór Rymów przez Załuskiego, pięć grubych tomów in 4-to.

Więc sam już miłosnego schylił *Fortunata*,[1])
I ostatnie do kupy zgromadzając siły,
Między oczy Janowi cisnął romans miły.
Mgłą mu grubą do razu zaszły obie oczy,
Skrzepła krew już mu zwolna po żyłach się toczy,
Słowem: po strasznych nudach i ziewaniu ciężkiém,
Wywrócił się i zasnął twardo w błocie grzęzkiém.
Przypadł śpiącemu Bartek szybko na ratunek,
W przyzwoity porządnie opatrzon rynsztunek,
A mszcząc się na prałacie, porwał *Banialukę*,[2])
I nią mu fryzowaną wysadził perukę.
Spadła, a ksiądz ukazał z pod niéj łeb tak goły,
Że się w niebie zdziwili święci i anioły,
A w jasne i glansowne wpatrując się ciemię,
Mniemali, że się słońce przeniosło na ziemię.
Bardziéj tém rozgniewany prałat i rozżarty,
Widząc się tak haniebnie z swych ozdób obdarty,
Radby był na hultaja sprowadził pioruny;
Chciał mu ze łba swą ręką pozrywać kołtuny,
Bez uwagi czy siły wystarczać mu będą,
Rzucił się nań nakrywszy głowę rewerendą.
Cofnął się baczny na dwa kroki Bartosz w stronę,
I oburącz mu w piersi cisnął *Magiellonę*,[3])
A sam zaś do wrodzonéj powracając broni,
Z pięścią się począł krzątać koło księżéj skroni.
I byłby pleban nie chcąc legł tam męczennikiem,
Gdyby bolesnym jego obudzony krzykiem,

---

[1]) Fortunat, romans nudny, którego kartki bez ziewawania czytać nie można.

[2]) Banialuka, dawna bardzo historya romansowa, pozbawiona sensu, ledwo już podsędków jest zabawą.

[3]) Historya całkiem podobna Banialuce.

Co po rannéj gdzieś blisko odpoczywał pracy,
Nie przypadł mu na pomoc ojciec Bonifacy.

PIEŚŃ SZÓSTA.

Rodzona siostro śmierci, wojno zapalczywa!
Prawo zbójców, których świat rycerzmi nazywa,
Zbrodniarko z skamieniałych wnętrzności spłodzona,
Wieleś ludzi do swego zagarnęła łona.
Jużem mniemał, że nasz świat opuściwszy stary,
W nowymeś przedsięwzięła wybierać ofiary,
I na Amerykanach wolnych i cnotliwych
Szłaś próbować dzielności twoich razów mściwych.
Ale się z dawném rozstać nie możesz łożyskiem,
Lubém widzę każdy kraj dla ciebie siedliskiem,
W najspokojniejszy kącik codzień twoje zbrodnie,
Najzjadliwszéj niezgody zanoszą pochodnie;
Żaden od cię niewolny, kiedy pleban cichy
Doznał nawet, jak są twe niebezpieczne sztychy.
Onby dotychczas pewnie pod stolarzem leżał,
By mu nie był na pomoc Bernardyn przybieżał,
Bernardyn młody, żywy, rubaszny i śmiały,
Wart być pomiędzy dzielne liczon generały,[1])
Choć znużony, ksiądz jednak przy takiéj pomocy,
Byłby do późnéj bitwę mógł przeciągnąć nocy,
Gdyby co niecierpliwie już w kościele siedział,
Pan podstoli o téj się bitwie nie dowiedział,

---

[1]) Nie pomiędzy generałów-majorów lub lejtnantów, ale pomiędzy bernadyńskimi czyni go pomieszczenia godnym. Kto czytał *Le chapitre des Cordeliers*, wie jak wielkie przymioty powinien mieć ich generał.

A zawsze służyć swemu bliźniemu gotowy,
Nie wstrzymał zajuszonych mocą swéj wymowy.
— „Stójcie! rzecze, jaka w was zażartość uparta!
„Boga się bójcie, gdy się nie lękacie czarta.
„O co idzie? zkąd kłótnia? jaka jéj przyczyna?
„Jak ją chcecie zakończyć i kto ją z was wszczyna?
„Można znaleźć sposoby, co was mogą zgodzić,
„Dajcie się tylko proszę trochę ułagodzić.
„Niechajże się rozsądek w waszéj głowie mieści,
„Rzecz mi całą powiedzcie w niewielkiéj słów treści.“
Zaraz chciał organista ułatwić pytanie,
Ale mu odpowiedzieć pleban nie dał na nie,
I sam zaczął; ale mu przerwał organista.
— „Rzecz widzę, rzekł podstoli, jest to oczywista,
„Że będąc rozgniewani, i w tém zamieszaniu,
„Memu nie uczynicie zadosyć pytaniu.
„Lecz każdy niech na moment nienawiść zagrzebie;
„A tymczasem proszę was na obiad do siebie.
„Po dobréj sztuce mięsa i klarowném winie,
„Łatwiéj w was zapalczywość zapewne przeminie.
„Dopiero po obiedzie zasiadłszy do zgody,
„Starać się będziem wszystkie ułatwić przeszkody.“
Choć srodze rozgniewani byli i zawzięci,
Przyrzekli to mocnemi przyczyny ujęci.
Podstoli ich do swojéj powsadzał karety,
A stangret siekąc konie w osednione grzbiety,
Wlókł się, i choć we wrotach dwa razy zawadził,
Przed dworem ich po krótkiéj podróży wysadził.
Po pierwszych przywitaniach, co prędzéj z apteczki
Po kieliszku cukrowéj wniesiono wódeczki;
Każdy wypił swój wydział, imość dobrodzika
Toruńskiego w zakąskę przyniosła piernika.
Lecz że tak prędko obiad nie mógł być gotowy,

Wszedł znowu na stół likier wyborny pestkowy,
Likier przedni, lecz to w tym domu nie nowina,
Bo go sama swą ręką pędzi podstolina.
Dwojaką wódką mając rozegrzane głowy,
Polityczne z ochotą zaczęli rozmowy,
I każdy z nich powiedział co do saméj treści,
Jakie miał ze stolicy najpóźniejsze wieści.
Jeden twierdził, że wojna nieochybnie będzie,
Że do tego gotowość już jest znaczna wszędzie,
I pozawczoraj oczy to widziały nasze,
Jak sobie dwa dragony ostrzyły pałasze.
Rozszerzył się gazeciarz, i pochwał nie skąpi
Nad tym, że niezawodnie lepszy rząd nastąpi,
I takoż jest nadzieja tego oczywista,
Bo o tém napisano arkuszy ze trzysta;
Lecz co mnie także z nowin niepomału cieszy,
Że się dobry porządek do Warszawy śpieszy;
Bo chłopca, co bił żydów przed czerterema dniami,
Z powagi urzędowéj obito rózgami.
Rzekł podstoli: — „To widzę, nowiny pisane,
„Ale ja mam gazety świeżo drukowane,
„Tysiąc rzeczy ciekawych. W ostatnią niedzielę,
„Na wielkiém nabożeństwie było ludzi wiele,
„I żeby przyzwoitą wspaniałość zachował,
„Mszą *pontificaliter* biskup celebrował,
„Ksiądz N. N. miał kazanie, wielki kaznodzieja,
„Mówią, że swą wymową nawrócił złodzieja,
„I odtąd poznajemy tę prawdę dość jasną:
„Nikomu nic nie wezmą, kto ma kieszeń ciasną.
„Dnia ósmego Septembra wielki fest w Piotrkowie,
„Bito z armat, i liczne dopełniano zdrowie,
„Był obiad, podwieczorek, wieczerza, bal walny,
„Pan starosta odprawił wjazd swój tryumfalny.

„Za rzecz zaś osobliwszą piszą z tego miasta,
„Umarł człowiek, który miał lat już półtorasta.
„To nowiny, lecz jakie uwagi są przytém,
„Jak żartuje sposobem autor wyśmienitym,
„Jak rozsądnie przyczyny każdych nowin szuka,
„Z gazet jego wiadomość razem i nauka.
„To jest, co z doświadczenia wiem, a niezawodnie
„Można się na nich czytać nauczyć wygodnie.“
Chwalić zatém zaczęto gazety pospołu,
Tymczasem pan marszałek prosił ich do stołu,
Cała się zatém zgraja do sali przeniesła,
Musiał siedzieć na stołku kto nie dopadł krzesła:
Lecz pani cześnikowa obiadu nie jadła,
Że od niéj wyżéj pani skarbnikowa siadła.
Ci, którzy głodni byli, zajadali smacznie,
I wielmożny podstoli uważał to bacznie,
Że ani mięsa, ani dość zostało sosu,
Aby się mógł na wieczór spodziewać bigosu.
Powtórzone kieliszki jednak i butelki
Z podstolskiéj duszy smutek wypędziły wszelki,
I żeby wesołości oddalić przeszkodę,
Na wieczór obiecaną odłożyli zgodę.

V.

PIGMALION.

SCENA LIRYCZNA

Z JANA JAKÓBA ROUSSEAU.

(Grana w Warszawie 1782.)

DO KRÓLA.

Do Tronu Królewskiego nie godziłoby się przystępować, tylko z takiemi darami, któreby warte były Monarsze być ofiarowane. Nie śmiałem, Najjaśniejszy Panie, nic do tego czasu W. K. Mości dedykować, bo choć miłość własna niektóre z pism moich dobremi przedemną wystawiała, lękałem się jednak mieścić siebie pomiędzy tym tłumem pisarków, którzy stopnie tronu W. K. Mości, od lat kilkunastu, nudnemi zarzucają szpargałami. Ale kiedy powszechny oklask to tłómaczenie Pigmaliona zaręczyć mi raczył, niosę go do stop W. K. Mości tém chętniéj, im żywiéj pragnę zaszczycić siebie przed nim pracą jaką, któraby mię godniejszym względów uczynić potrafiła. Geniusz Najjaśniejszy Panie między *Trembeckim* i *Krasickim* łaski swoje podzieliwszy, pozostawiał drugiego rzędu pisarzom tylko niewolniczą naśladowania drogę, którą iść mierne przymioty koniecznie nakazują. Ale po rzadkiéj tworzenia dzielności, najtrudniejsza jest tłómaczyć wierszami: sztuka ta dawnym wcale była nieznajoma. Naśladowali oni, ale nie tłómaczyli. Osobisty języka naszego obrót, mechanizm poezyi naszéj, zdawał się nam tęż samą przepisywać drogę. I jakoż

do tego czasu mimo najczęstszego usiłowania, słabe tylko imitacye, a rzadko gdzie tłómaczenie widzieć można. Nie jest to łatwa rzecz, jak powszechnie rozumieją; co jest w narodzie jednym pięknością, wadą się o kilkaset mil staje. Malarz Chińczyk, któryby mitologii greckiéj zasłyszawszy, Wenerę odmalować przedsięwziął, wziąłby sobie zapewne za model piękność chińską, z małemi oczkami i brwiami wcale nie albo mało co rzęsistemi. Każdy by ziomek robocie jego przychwalił i matkę wdzięków podobną téj postaci osądził: niechże toż samo polski malarz naśladuje, i dzieło swoje i siebie na śmiech wystawi koniecznie. Strzegłem się, Najjaśniejszy Panie, w tłómaczeniu mojém téj szydności jak najbardziéj. Żywość myśli, moc wyrazów, chciałem oddać jak najwierniéj, alem się nigdy dla słowa nie więził: starałem się być równym Roussowi; jego duszę, jego ogień przejąć w siebie usiłowałem. Mimo tego jednak —

Jeśli się zazdrość krzywi,
Żem tu słabym śpiewał tonem,
Bądź dla mnie Pigmalionem.
Wdzięczność mię pewnie ożywi.

W. K. Mości

Wierny Poddany

T. K. Węgierski.

PIGMALION.

Scena liryczna.

Pigmalion siedzi wsparty i zamyślony, w postawie niespokojnego i smutnego człeka; potém razem się porywając, bierze narzędzia ze stołu i kilka sztychów niemi daje; odstępuje od roboty i okiem nieukontentowania pełném na nią pogląda.

(Między każdym przedziałem symfonia przegrywa.)

Nie masz tu w téj robocie ni czucia ni duszy,
Lecz same oziębłe głazy.
Cokolwiek tylko teraz moja ręka ruszy,
Już to są słabe wyrazy.

Zniknąłeś talencie dawny
I ty geniuszu sławny!
Twoje mnie ognie rzucają,
I moje prace trwożliwe,
Nie tak jak przedtem szczęśliwe,
Marmurom życia nie dają!
Straciłem imię dawne...
Ma ręka bogów nie stwarza...

Idźcie narzędzia niesprawne,
Niech się więcéj ma sława wami nie umarza.

(Rzucza ze wzgardą młotek i dłóto; przechadzając się z założonemi rękami:)

Ach! jak się straszna we mnie zrobiła odmiana.
Tyrze! ojczyzno kochana!
Twe piękności, co mię tak bawiły przyjemnie,
I te kunsztów i nauk pamiętniki trwałe,
I te posągi wspaniałe
Nie budzą podziwienia we mnie...
Ani mię filozofów obcowanie wzruszy,
Malarzów i poetów rozmowy mnie nudzą,
Sława ani pochwała nie wznoszą méj duszy...
Czucia nawet przyjaźni już się w mnie studzą.

I wy młodziuchne piękności,
Wy życia mego rozkosze,
Natury doskonałości,
Które naśladowałem po trosze...
Wy mię przyjemne modele
Dowcipu i miłości ogniem zapalały...
Lecz i o was nie dbam wiele,
Dla mojéj Galatei w podziwieniu cały.

(Siada na moment, i na około siebie spogląda.)

Dziwem tajnym jakimści tutaj zatrzymany
Niczego kończyć nie zdołam...
Z kamienia do kamienia przechodzę zbłąkany,
I darmo na mój talent utracony wołam...
Od świtu do późnéj nocy
Próżnować moja robota cała,
Same tylko nieśmiałe poczynam osnowy...
I te martwe posągi... i te nieme głowy...
Już nie czuję dzielnéj mocy,
Która by im duszę wlała.

(Porywa się ze stołka.)

Ani skry geniuszu we mnie nie zostaje!
Młody... przeżyłem siebie, straciłem me siły...
Lecz co za ogień wkradł się w moje żyły?
Że się cały gorzeć zdaję...
Jakże w oziębłéj myśli, w dowcipie stępionym
Czują się te poruszenia?
Te namiętności nagłe uderzenia?
Podlegaż człek tak szybko odmianom szalonym?
Ta niespokojność okrutna,
Która duszę moją trawi...
I ta nadzieja smutna,
Któréj umysł przyczyny sobie nie wystawi...
Bałem się, by w podziwieniu
Własnego mojego dzieła,
Rozpacz mię jaka nie wzięła,
O innych robot dalszém powodzeniu:
Schowałem je pod zasłonę...
I ręce moje śmiały
Zakryć swój zaszczyt cały,
I tę wdzięczną pamiątkę odłożyć na stronę?
Nic mi to nie pomogło przejrzenie subtelne,
Smutniejszy odtąd jestem, lecz niemniéj leniwy...

Lecz jak mi drogie jesteś dzieło nieśmiertelne!
Jakem z tobą jest szczęśliwy!...
Gdy mój dowcip darmo się będzie sposobił,
By coś mnie godnego zrobił;
Wtenczas się pokażę światu,
I rzeknę: Nieszczęście mi sławy nie odjęło,
Bo oto jest dawne dzieło
Pigmaliona warsztatu.

Ach! Galateo! kiedy smutną probą
Nic wcale dla mnie nie będzie na świecie,

Ty mi się zostaniesz przecie...
I będę się cieszył tobą.

(Przybliża się do zasłony, i wzdychając patrzy na nią.)

Po co ją ukrywając przymnażam méj męki?
Gdym się poświęcił próżnować...
Czemu najpierwszém dziełem mojéj ręki
Nie mam wzroku kontentować?...
Ach! może jeszcze jaką upatrzę w niéj wadę,
Może strojowi jaką dać mogę ozdobę.
Wszystkich talentów zawołam na radę,
Żeby zupełnie piękną zrobić tę osobę:
Może też to mój dowcip zgaszony zapali....
Obaczmy ją raz jeszcze,
Rozważmy na gustu szali,
Czy się nie darmo nią pieszczę?
Bo dotąd zawsze pełen podziwienia,
Nie miałem nigdy czasu rozważenia.

(Chwyta zasłonę, i z przestrachem ją opuszcza.)

Lecz jakie straszne czuję poruszenie
Tykając się téj zasłony!
Bojaźń po wszystkich członkach rozsyła mi drżenie.
Czego się lękasz szalony?
Czyli się zbliżasz do bogów świątyni?
Kamień to, twoje to dzieło....
Cóż z tego? co nam bóztwem lekkowierność czyni,
Innyż-li początek wzięło?

(Podnosi zasłonę i uniża się pod nią; widać statuę Galatei na piedestale małym, ale wywyższonym kilku stopniami marmurowemi.)

Bierz cześć odemnie Galateo miła;
Wybacz, dotąd się myliłem;

Chciałem cię stworzyć nimfą, boginią zrobiłem,
Wenus ci miejsca swego ustąpiła.

Próżności ludzka! pocieszna słabości!
Moją ubóztwiam robotę,
I własnéj pełen miłości,
Siebie w niéj czcić mam ochotę....
Nie... nie! nic piękniejszego natura nie dała,
Ani stworzyła bogów możność cała...
I jakże? z mojejże ręki
Nieporównane wyszły te wdzięki?
I moje usta mogły... Lecz Pigmalionie
Widzisz ten defekt mały:
Oto zbyt ciało pod tą suknią tonie,
Trzeba jéj ująć nie wiele;
Nadto piękności zakrywa,
Których się oko spodziéwa
W tém nieporównaném ciele.

(Bierze narzędzia i zwolna na stopnie wstępuje; podniósłszy nakoniec dłóto wstrzymuje się.)

Przez zbytnie pomieszanie zniknęła ta wada,
Ledwie mię wstrzymują nogi,
Nie chcę... dłóto mi z ręku wypada,
Popsułbym ten posąg drogi.

(Ośmiela się, a potém podnosząc dłóto uderza raz, lecz przejęty strachem upuszcza go z krzykiem.)

Co widzę! ciało żywe! czy mię też kto drażni?
Jakaś mię moc odpycha...

(Schodzi pomieszany i drżący.)

O! niepotrzebna bojaźni!
O! nieukrócona pycha!...

Nie tknę jéj... Bogowie by mię skarali.
Do swéj ją społeczności już pewnie wezwali.

(Znowu na nią spogląda.)

Jakich jéj dodasz wdzięków? co chcesz w niéj odmienić?
Zbyteczna doskonałość jedynie jéj szkodzi;
Żebym cię mógł mniéj Galateo cenić,
Już ci na niczém nie schodzi.

(Czule:)

Ale ci na duszy zbywa,
Postać jéj twoja wymaga koniecznie.

(Z większą jeszcze czułością:)

Ach! jak piękna ta dusza, i jak jest szczęśliwa,
Która twe ciało ożywi skutecznie!

(Zatrzymuje się chwilę, potém siadłszy mówi głosem przerywanym i mienionym:)

Lecz gdzie mnie tak okrutne szaleństwo unosi?...
O co Pigmalion prosi?...
O! Nieba.... już spadła zasłona błędu;
Nie wartem żadnego względu.
Przewiniło serce moje...
Gniewam się sam na siebie, i wniść się w nie boję.

(Ponurzony wgłębokiém zamyśleniu.)

Taż to śliczna twą duszę miłość rozpaliła?
Tymże się martwym poruszasz obrazem?
Kamień, marmur, niezgrabna bryła,
Którą tém kształcę żelazem...
Szaleńcze!... pomiarkuj się... co robisz? niestety!
Ale nie...

(Gwałtownie:)

Nic tu od rzeczy nie robię....
Nie marmur mię pociąga, lecz postać kobiety,
Co téj podobna osobie...
Ach! gdziekolwiek jest ta postać miła,
Jakie ją kolwiek ma na sobie ciało,
Jaka ją kolwiek ręka zrobiła,
Zawsze jéj serce me będzie sprzyjało....
Całe moje szaleństwo piękność rozeznawać,
Całym moim występkiem być dla niéj dotkliwym...
Nie można tu imienia winy temu dawać,
Bo to mnie czyni szczęśliwym.

(Mniej żywo, zawsze jednak z passyą:)

Lecz jaka dzielność promieni żywa,
Z tych oczu na mnie wypada!...
Wszystkie me zmysły ten ogień obsiada,
I duszę moją z sobą porywa....
Posągu przecie to nie ocuca.
Choć me serce wdziękami jego rozżarzone
Gwałtem moje ciało rzuca
I chce przejść na tamtą stronę....
W mém szaleństwie mi się zdało,
Żebym sam wyskoczył z siebie,
Sam bym ożywił twe ciało,
Duszę moją przelał w ciebie....
Ach! niech mię wszystka opuści siła,
Byle Galatea żyła!....
Ale gdzie mię chęć unosi płocha?
Gdybym umarł dla tego, żeby ona żyła...
Gdybym nią był... nie byłbym już tym, co ją kocha...
Nie mógłbym widzieć jak jest Galatea miła.
Ach! niech będę czém jestem, bym nią być mógł żądać.

Bym ją mógł kochać, być od niéj kochanym,
Bym ją mógł zawsze oglądać
I być wzajemnie od niéj widzianym!

(W zapale:)

Męki srogie! pomieszania!
Chęci! niemoc! szaleństwo! gniew! próżne żądania!
Miłości straszna! miłości burzliwa!
Piekielnym ogniem me serce się pali....
Bogowie możni! których ręka litościwa....
Bogowie! coście ludzkich słabości doznali,
Nieraz darmoście cuda czynili na ziemi....
Spojrzyjcie na me serce, na cel méj miłości,
I dziełem pełném sprawiedliwości
Bądźcie ołtarzów wartemi.

(Z większém uczuciem, jak najdotkliwéj:)

I ty, Najwyższa Istności,
Któréj subtelność przed zmysły się kryje,
Którą jedynie świat żyje....
Początku wszelkiéj bytności,
Ty, która dajesz żywiołom zgodę,
A ciałom czucie potrzebne:
Od ciebie mają ludzie urodę;
Życie, istoty podniebne.
Ogniu niebieski! Dzielności wszechmocna!
Którym się wszystko żywi, wszystko utrzymywa!
Twa moc dziś jest bezowocna,
Twa waga niesprawiedliwa.
W czuciu, którego doznaję,
Krzywda się czyni naturze,
W mém sercu wszystek ogień zostaje
A śmierć zimna na marmurze....

(Żywiéj:)

Ten mię zbytek życia dusi,
Na którém mu dotąd zbywa ....
Ale się Pigmalion cudu niespodziéwa ...
Już cud jest ... i przestać musi ....
To porządku przewrócenie
Zbyt znieważa przyrodzenie ...
Niech twoja dzielność łaskawa,
Powróci mu dawne prawa;
Do zupełności na świecie,
Na dwóch mu istotach schodzi ....
Między dwa serca podziel ogień przecie,
Co nie żywi jednego, a drugiemu szkodzi ....
Tyś kierowała ruszeniem méj ręki,
Kiedym te formował wdzięki.
Dzisiaj im zbywa na duszy,
Ja im życia mojego połowy nie skąpię,
Bierz ją, a jeśli to ich jeszcze nie poruszy,
I całego im ustąpię.
Ty! która śmiertelników hołd wdzięcznie odbierasz,
Kto nie czuje, oddać ci winnéj czci nie zdoła;
Rozciągaj sławę, gdy twe dzieła rozpościerasz,
Przyrodzenie na cię woła:
Z jego by to bogini było ukrzywdzeniem,
By posąg tak doskonały
Był tego wyobrażeniem,
Czego nie ma okrąg cały.

(Siada, chcąc odetchnąć i przychodzi do siebie powoli; z poruszeniem upewnienia i radości:)

Powracam do mych zmysłów, ach! spokojność miła,
I radość niespodziana boleść moją słodzi ...

Śmiertelna już gorączka krew moją paliła,
Słodki balsam ufności po niej się rozchodzi.
Zdaje mi się, że młodnieję.

Czasem pociechą czucie podległości bywa,
Rodzą się w człeku nadzieje,
Gdy na pomoc bogów wzywa.
Lecz i ta ufność omyli...
Któż kiedy miał szaleńsze życzenia odemnie...
Ach! wszystkich wzywam w téj chwili.
Ale ich wzywam daremnie...
Dzika nadzieja, która powiększa mą winę,
Śmieszniejsza jest od żądania.

(Wstaje.)

Wstydząc się tego zbłąkania.
Już się nie ważę spojrzeć na jego przyczynę.
Kiedykolwiek śmiem tylko rzucić na nią oczy,
Pomieszanie czuję nowe;
Serce drży, oko się mroczy,
I bojaźń zawraca głowę.

(Z przykrą ironią:)

Bądźże mężnym nieszczęśliwy!
I waż się spojrzeć na kamień nieżywy.

(Ujrzawszy ożywioną statuę, odwraca się z przestrachem i podziwieniem.)

Bogowie! cożem widział? lub co mi się zdało?
Żywość w oczach, ruszenie, zrumienione ciało....
Niedosyćże się cudów spodziewałem,
Na spełnienie méj nędzy.... oto je widziałem.

(Jak najmocniéj:)

Jużem zginął.... Nieszczęśliwy!
Szaleństwo rozum wygania....
Lecz się nie skarżę na ten los nielitościwy,
Strata jego od hańby przecie mię zasłania....
Jest to łaska przyrodzenia,
Gdy się szalonym staje miłośnik kamienia.

(Widząc ruszającą się i zstępującą Galateę, klęka, wznosi ręce i oczy ku niebu.)

Wenero!... Galateo!... O! wielcy bogowie!
Okrutnéj miłości dziwie!

Galatea.

Ja....

Pigmalion *(rozżarzony).*

Ja....

Galatea.

Ja....

Pigmalion.

Ty, co łudzisz me uszy szczęśliwie,
Śliczna obłudo! zostań na wieki w méj głowie.

Galatea *(dotykając się marmuru).*

Już to nie ja.

(Pigmalion w pomieszaniach, w zapałach, które wstrzymać mu ciężko, pilny na każde jéj poruszenie, słucha i przypatruje się z jak największą uwagą, która mu ledwie odetchnąć pozwala.

Galatea zbliża się ku niemu. Pigmalion podnosi się, wyciąga ręce do niéj, poglądając na nią z zachwyceniem. Galatea dotyka się go, on pełen radości, bierze jéj rękę, przyciska ją do serca i żywo ją całuje).

Galatea *(z westchnieniem).*

Ja jeszcze . . . .

Pigmalion.

Tyś jest moje życie,
Ty mych rąk, mego serca, bogów pierwsze dzieło.
Tobiem me poświęcił bycie,
Bo dla ciebie istność wzięło.

VI.

PISMA PROZĄ.

MOWA.

Do Jego Królewskiej Mości P. N. M. miana w Colleg. Nobil. S. J. od J. P. Kajetana Węgierskiego, Starościca Korytnickiego.[1])

Nie pierwszy to raz, Najjaśniejszy Królu, Panie nasz Miłościwy, jako dom ten i z zamierzenia swojego, i z przedsiębranych środków, od wiernych Monarchów i Ojczyznie usług młódź szlachetną sposobiący, Pańską W. K. Mością zaszczycając się przytomnością, nowe coraz szacownych łask Jego odbiera dowody. Cieszymy się ztąd jak najuprzejmiej, a słodką razem podjętych prac odbierając nagrodę, dziwić się przestajemy, że tak prędki i tak znaczny wzrost pod panowaniem wyzwolone nauki biorą, kiedy nam Niebo takiego zdarzyło Króla, który i wysokim przykładem swoim, i nieustającym zachęcaniem, i niesłychaną od dawnych czasów na ludzi uczonych hojnością, do zaszczepiania, pomnożenia i utrzymania onych łaskawie dopomagać nie przestaje. Poznajesz W. K. Mość doskonalej niżeli kto z nas, potrzebę ich w każdym oświeconym na-

[1]) Drukowana w dziele: „Mowy wyborne", to II^gi Wilno, 1784.

rodzie nieuchronną, dopieroż w tym wolnym, nad którym mądrze panujesz; i z tego to powodu, oprócz innych o dobro publiczne ojcowskich troskliwości, jednym z najcelniejszych Tronu obowiązków być sądzisz, aby młódź szlachetna, młódź niegdyś prawodawcze, wojenne, sądowe i radne urzędy sprawować mająca, stanowi swemu jak najprzyzwoitsze, a całemu Narodowi tak potrzebne i pożądane brała wychowanie. Wielu z poprzedników twoich Miłościwy Panie, na obecne tylko patrzało czasy, a blaskiem Majestatu otoczeni nie przenikali podobno owej grubej umysłów ciemnoty, w której gdy się już prawie cała Europa we wszystkich wydoskonaliła umiejętnościach, nasz tylko kraj z niepowetowaną szkodą jedynie zostawał. W. K. Mość tu urodzony, wychowany, Król i Obywatel, Syn Ojczyzny i Ojciec, Pan i przyjaciel, nie sobie tylko żyjąc, zasięgał bystrym przeniknieniem późnej następnych wieków potomności, a dopomagając Narodowi wynajdowaniem najskuteczniejszych środków do nabywania pożytecznych wiadomości: zakładasz, iż tak rzekę, na dobrze wychowanej młodzi, nowy jakiś, gruntowniejszy i okazalszy gmach Rzeczypospolitej, któraby ze zdolnych Obywatelów, Ojczystemi zdaniami napojonych, pięknie, porządnie i mocno spojona, w jeden z najznakomitszych w Europie narodów niegdyś zakwitnąć mogła. Wielkie to zaiste i trudne nader do wykonania dzieło, Miłościwy Królu, ale tym samym łacne, że takiemu zachowane Panu, który największym przedsięwzięciom, najsilniejszym trudnościom równy umysł nosząc, tam tylko sobie prawdziwej sławy kres zamierza, gdzie przystęp najtrudniejszy. Lecz nim wdzięczna potomność w całej swej zupełności, tak chwalebne

obaczy zamysły; dają się widzieć i teraz nawet, usilnych starań Twoich o rozkrzewienie nauk pożądane skutki, a sześcioletni ten, daj Boże by jak najdłuższy, panowania przeciąg, w krótkim niejako pokazał abrysie, czego się uczona Rzeczpospolita w przyszłe czasy spodziewać powinna. Już się tyle ksiąg wybornych, bądź przekładaniem z obcych języków pism uczonych, bądź własną Autorów pracą i wynalazkiem wydanych, ustawicznie pokazuje. Już tyle zacnej młodzieży, z cieniów prywatnego wychowania na publiczne do usług Ojczyzny i Twoich, Miłościwy Panie, wychodzi światło: drudzy jeszcze dalszy polor biorąc, niepospolite prac swoich owoce wydać obiecują. Już starsi nawet sami przez chwalebną z młodemi emulacyą, porzuciwszy uprzedzone starożytnością zdania, a prawdziwemi pożytecznych Krajowi nauk powabami zachęceni, jeśli sami dopomódz nie zdołają, tedy, przynajmniej uprzejmie życzą, aby tak śliczne początki wzrost brały prędki, stateczny i jak najdoskonalszy. Wszędy się rozkrzewia dowcipny przemysł, zakwita ojczysty język, a przez odkrywanie zakopanych w uczonej starożytności bogactw, piękniej się niż przedtym w mowach, listach, rymach i innych pismach wydając, w krótce o prym z obcemi ubiegać się pocznie. Wszystkie zgoła, mało przedtem komu znajome nauki, i te co do pożytku, i te co do ozdoby krajowej służą, stateczne sobie u nas obierają siedlisko, przyszłemu narodowi niechybną szczęśliwość, a W. K. Mości sławę rokują nieśmiertelną. Tak jest Miłościwy Królu, ta to jest największa, a wszystkich wieków i narodów zdaniem potwierdzona dla Monarchów zaleta, pokazać poddanym najskuteczniejsze do uszczęśliwienia środki i

sposoby, których oświecony naukami rozum, źródłem jest najpewniejszym. Niechaj sobie kto chce, na samych dziełach wojennych, na zdobywaniu obszernych krain, na hołdowaniu nowych poddanych, na wspaniałych z nieprzyjaciół tryumfach wieczność imienia zakłada, i z ludzkiej częstokroć nędzy gwałtownej sławy szuka, będą się temu bardziej dziwić, niżeli kochać następne czasy. I kiedy pochlebstwo na trwałych marmurach wysokie bohatyrów swoich przewagi i dzieła ryć będzie, strapiona razem ludzkość klęski swe i uciski na czułych sercach rysować nie przestanie. Dla W. K. Mości wspanialszy nierównie, i wszystkim towarzystwom ludzkim milszy, późna potomność gotuje zaszczyt, że wprowadzając, zaszczepiając i utrzymując w Narodzie swoim nauki i rękodzieła pożyteczne, stałeś się jego prawdziwym Ojcem i Dobrodziejem.

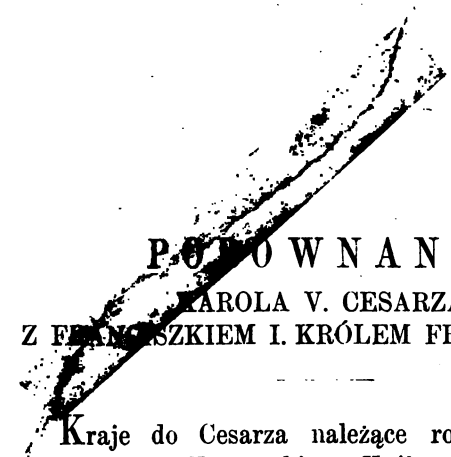

P[illegible]OWNANIE

[illegible]AROLA V. CESARZA, Z F[illegible]SZKIEM I. KRÓLEM FRANCUZKIM.[1])

Kraje do Cesarza należące rozleglejsze były, dzierżawy zaś Francuzkiego Króla szczuplejsze, ale w kupie. Franciszek rządził swem państwem samowładnie, Karol miał władzę określoną, lecz to nagradzał przemyślnym dowcipem. Wojsko pierwszego żwawsze i odważniejsze było; drugiego cierpliwsze i ćwiczeńsze. Tak się różniły od siebie przymioty obu tych Monarchów, jaka była różnica upatrzonych pożytków, która się też nie mało do przedłużenia wzajemnych między niemi kłótni przyczyniła. Franciszek przedsiębrał wszystko bystro, trzymał się swoich układów żwawo, wykonywał prędko i odważnie; lecz nie miał potrzebnej w przełamaniu zachodzących trudów cierpliwości, porzucał częstokroć przedsięwzięte zamysły, albo się w ich wykonaniu opieszalszym stawał, czy to przez niecierpliwość, czyli przez lekkomyślność.

---

[1]) Rzecz drukowana w tomie IV „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“. Warszawa, 1793.

Karol, każdą rzecz powoli rozbierał, i z równą powolnością do [redacted]sięwzięcia się nakłaniał; lecz co u siebie raz po[redacted]nowił, to z nieprzełamanym wykonywał sercem; tak dalece, że mu potem żadne zawady, żadne niebezpieczeństwa wstrętu uczynić nie mogły.

Odmienny zatem obu charakter, który wpływał w ich przedsięwzięcia, musiał koniecznie równą uczynić różnicę w skutkach przedsiębranych zamysłów. Franciszek przez wrodzoną bystrość, mieszał częstokroć zamysły przeciwnika swego, chociaż najlepiej ułożone. Karol powolniejszy, ale nie poruszony, zastanawiał nieprzyjaciela w popędliwych zapędach, i najtęższe jego wstrzymywał usiłowania. Pierwszy w pierwiastkach wojny spadał na wojska cesarskie, podobny do gwałtownego potoku, równając wszystko z ziemią, co mu tylko oporem stawało. Drugi oczekiwając, aż się porywcza Francuzów wysili żwawość, odzyskiwał nakoniec cokolwiek w początkach utracił, i często nowe z nieprzyjaciela pożytki odnosił.

Król Francuzki, układał różne do nabycia nowych dzierżaw projekty; których, lubo dosyć pozorny i pomyślny zdawał się początek, koniec jednak rzadko był szczęśliwy. Przeciwnie, wiele zamysłów Cesarza, lubo się na pozór zdawały niepodobne do wykonania, i z rozpaczy prawie przedsięwzięte, roztropna rada do zamierzonego przywodziła kresu. Franciszek często się dawał blaskiem ułożonego kształnie projektu ułudzić, a Karola, upatrzone na dal pożytki, które mógł odnieść, zawodziły.

Atoli, kto kogo sławą i zasługami przewyższył, nikt jeszcze tego, ani najściślejszym roztrząsaniem

przymiotów, do rządu państwa potrzebnych, ani nie przywiązaniem do żadnej strony, wielkości i szczęścia ich zamysłów rozwiązaniem, dokładnie nie pokazał. Franciszek może być liczony w poczcie tych Monarchów, których sława dzieła i dowcipnych przechodzi; zaś między nim a Karolem różnica, wynika z różnych życia jego okoliczności z sobą razem złączonych. Zwycięstwo pod Pawią odniesione, tak znacznie na stronę Karola, aż do końca panowania jego, potęgi przeważyło szalę: że usiłowania Franciszka, dla osłabienia niezmiernej i zawsze wzrost biorącej przeciwnika swego mocy, nie tylko mu zjednały parcyalność innych narodów, temu pospolicie przychylniejszych, który się mężnie z potężniejszym od siebie nieprzyjacielem potyka; ale nawet zaszczyt i chwałę winną tym bohatyrom, którzy przemagającego nad drugiemi i wszystkim groźnego Monarchy zamysłom odpór dać usiłują.

Mówiąc w powszechności, sława Monarchów, u współwiecznych mianowicie ludzi, równie od osobistych przymiotów, jako od ich zdolności do rządu zależy. Franciszek wiele popełnił błędów tak w powszechnej Europy polityce, jako wewnętrznym państw swoich sprawowaniu; ale był ludzkim, dobroczynnym, wspaniałym; powagę miał bez pychy, przyjemność bez podłości, grzeczność bez obłudy. Wszyscy go kochali, którzy kolwiek do niego przystęp mieli, a ten był zawsze wolny każdemu godnemu człowiekowi.

Uwiedzeni osobistemi jego przymiotami poddani, zapominali w nim na wady Monarchy; a mając go za najdoskonalszego w królestwie Kawalera, poddawali się bez szemrania rządowi groźnej zwierzchności;

czegoby podobno, mniej kochanemu od siebie Panu nie uczynili.

Zdaje się atoli, że te osobiste pochwały powinne były trwać tylko do czasu, i ustać z dworem tego Monarchy, a sprawiedliwej potomności sądzić należało, nie zastanawiając się nad prywatnemi przymiotami obywatela, same tylko polityczne sprawy rządzącego narodem Króla. Atoli zaszła pewna okoliczność, podała imię Franciszka wdzięcznej potomności, a czas następujący coraz mu więcej sławy przyczynił.

Pod jego panowaniem kunszty i nauki wyzwolone nie wielki postępek we Francyi uczyniły, przebywając prawie w samych Włoszech, kędy się z Grecyi, prostotą obywatelów i jarzmem pogańskim wystraszone, po części przeniosły. Franciszek wziął Muzy pod swoją opiekę, chcąc wyrównać Leonowi X. żądzą i wspaniałością, którą ten Papież one wspierał i pomnażał.

Tym umysłem sprowadził do dworu swego uczonych, rozmawiał z niemi poufale, używał do spraw główniejszych, dawał łacny do siebie przystęp, i na rozmaite ich godności wywyższał stopnie. Ludzie nauk pilnujący, jako do dalszych prac pochop biorą, kiedy się im jakowe czynią względy, tak słusznym prawem mogą się żalić na nieczułość rządzących, jeśli im winnej ubliżają pochwały i nagrody. Poznali oni, że się nie mogli zupełniej wdzięcznością tak wspaniałemu wypłacić Panu, jako podawając potomności sławę imienia, tak szczodrobliwego i łaskawego na siebie Monarchy. Pisarze późniejsi przyjęli chętnie te pochwały, i więcej jeszcze onych przyczynili. Tytuł *Ojca Nauk* dany Franciszkowi I.